



Ann Brashares



Ostatnie lato

Nikt nigdy jeszcze nie przebrnął bez skazy przez pierwszą nieuczciwość. Nikt z wyjątkiem Piotrusia. Często spotykał ją, ale zawsze o niej zapominał. Myślę, że to właśnie stanowiło rzeczywistą różnicę pomiędzy nim a wszystkimi innymi chłopcami.

J.M. Barrie, „Przygody Piotrusia Pana” (przełożył Maciej Słomczyński)

RS

Czekanie

Alice czekała na przystani. Paul zostawił na automatycznej sekretarce wiadomość, że przyżywa popołudniowym promem. To do niego podobne. Nie mógł powiedzieć wprost, że będzie o 1:20 albo o 3:55. Długo przyglądała się rozkładowi rejsów, próbując odgadnąć, o który mu chodziło.

Trochę na siebie zła wyszła na pierwszy prom o 1:20, choć wiedziała, że go na nim nie będzie. Nieobecny wzrokiem przesuwiała po twarzach wysiadających, wmawiając sobie, że wcale go nie wyczekuje. Siedziała na najdalszej ławce, trzymając na niej bose stopy i książkę na kolanach, żeby nie musieć z nikim rozmawiać. Wiem, że cię nie będzie, więc nie sądz, że się ludzę, oświadczyła Paulowi, który mieszkał w jej głowie. Nawet tam, niby pod jej kontrolą, droczył się z nią i jak zwykle był nieprzewidywalny.

Przed przybyciem promu o 3:55 posmarowała usta wazeliną i wyszczotkowała włosy. Następny miał przypląć dopiero o 6:10, i nawet Paul nie nazwałby go popołudniowym. Choć mógł się spóźnić na wcześniejszy.

Często próbowała przeniknąć myśli Paula. Zbyt poważnie traktowała jego opinie i długo je pamiętała, gdy tymczasem on szybko o nich zapomniał.

Ale to zupełnie coś innego próbować przejrzeć myśli Paula, kiedy był blisko, kiedy jego słowa naprowadzały ją na różne tropy. Po trzech latach milczenia sprawa wyglądała nieco inaczej. Pod pewnymi względami trudniej, pod innymi łatwiej. Alice poczynała sobie swobodniej. Sama formułowała jego myśli tak, jak chciała.

Dwa razy nie przyjechał na wakacje. Nie mieściło jej się w głowie, jak mógł coś takiego zrobić. Bez niego letnie miesiące były zaledwie cieniem tych dawniejszych. Wydawały się nijakie. Nie pozostawiały po sobie wspomnień. Siedzenie na przystani, na tej czy innej drewnianej ławce, i wyglądanie jego promu nie było dla Alice niczym nowym. Właściwie zawsze na niego czekała.

Gdy wyjeżdżał, nie potrafiła odtworzyć w pamięci jego wyglądu. Każdego lata wracał z taką samą twarzą, a ona i tak nie mogła jej zapamiętać.

Z roztargnieniem stwierdziła, że ludzie, którzy przyplnęli promem, już się rozeszli, a ona nadal czeka. Pomachała paru znajomym, głównie przyjaciółom rodziców. Czuła, że wiatr

chłodzi jej rozgrzane słońcem plecy. Wbiła paznokiec kciuka w deskę i próbowała oderwać drzazgę, ale jedynie wydłubała trochę brudu.

Jeśli chodzi o czekanie, Riley zawsze miała inne zajęcia. Paul był jej najlepszym przyjacielem. Alice wiedziała, że Riley za nim tęskni, ale oświadczyła, że nie lubi czekać. Ona też nie lubiła. Nikt tego nie lubił.

Alice jednak była młodszą siostrą. Nie przychodziło jej do głowy, że można czegoś nie robić tylko dlatego, że się tego nie lubi.

Wyteżyła wzrok, szukając na horyzoncie małego białego trójkąta. Zawczasu nigdy nie potrafiła go sobie wyobrazić. Nie było go i raptem się pojawiał. Szybko się powiększał i wkrótce przybijał do brzegu.

Wstała. Nie mogła się powstrzymać. Zostawiła książkę na ławce. Papierowa okładka łopotała na wietrze. Czy to jego prom? Czy Paul na nim będzie?

Zdjęła opaskę, rozpuszczając włosy. Naciągnęła bluzkę na biodra. Chciała, żeby zobaczył ją w pełnej okazałości, a jednocześnie się tego bała. Chciała, żeby był oczarowany fragmentami i zarazem oślepiony całością. Miała nadzieje, które trudno spełnić. Przeszepowywała z nogi na nogę, obejmując rękami brzuch. Nagle zobaczyła, że zbliża się do niej ubrana w różowy sarong kobieta w średnim wieku, do której jej matka chodziła na zajęcia jogi.

- Na kogo czekasz, Alice?

Alice była tak podenerwowana, że przyjacielskie pytanie odebrała jako okrucieństwo.

- Na nikogo - skłamała z zakłopotaniem.

Nie miała pojęcia, jak kobieta ma na imię, choć jej śniada twarz była znana Alice tak dobrze jak wiklinowa kanapa stojąca na ganku. Wiedziała, że jej pudel wabi się Albert, a grupa jogi ma kłopoty ze śpiewem. Tutaj dorośli zawsze znali imiona dzieci, ale odwrotna sytuacja prawie się nie zdarzała. Ich wzajemne relacje były od początku asymetryczne i rzadko trafiała się okazja do zmiany. Nawet gdy się dorosło, pozostawało się z ludźmi w takich samych stosunkach jak w dzieciństwie.

Kobieta spojrzała na stopy Alice. One zawsze zdradzały prawdę. Kiedy się idzie na prom o 3:55, wkłada się buty.

Zażenowana Alice ruszyła powoli w stronę rampy załadunkowej, jakby miała tam coś do załatwienia. Kłamstwo nie przychodziło jej łatwo. Prowokowało niechcianą zażyłość, a ona wolała zachowywać swoje bajeczki dla ludzi, których imiona знаła.

Nie mogła patrzeć na zbliżający się prom. Wróciła na swoją ławkę i usiadła, zaplótłszy ręce na piersi i krzyżując nogi. Zwiesiła głowę.

Mała wioska na małej wyspie miała własne obyczaje i zasady. „Żadnych kluczy, żadnych portfeli, żadnych butów”. To powiedzenie najlepiej oddawało tutejszy wakacyjny sposób życia. Kiedyś nie było tu w ogóle samochodów. Nikt nie zamykał domów. W jedynym sklepie Waterby, handlującym głównie słodyczami i rożkami lodowymi, nie przyjmowano gotówki, a za jedyne zabezpieczenie służyło nazwisko. Buty oznaczały, że właśnie się przyjechało na wyspę, opuszcza ją albo idzie grać w tenisa. Nawet w klubie jachtowym. Nawet na przyjęciach. Panowała powszechna duma z tego, że ma się dostatecznie stwardniałe stopy, żeby chodzić po drewnianych chodnikach najeżonych drzazgami. I to wcale nie dlatego że nie wchodziły w ciało. Zawsze wchodziły. Po prostu się o tym nie mówiło. Każde dziecko to wiedziało. Pod koniec każdego lata spody i boki stóp Alice były poznaczone czarnymi kropkami od starych drzazg. W końcu ślady znikwały, nie wiadomo jak i kiedy. „Wchłaniają się”, wyjaśnił jej kiedyś przemądrzały siedmiolatek Sawyer Bond.

Wszystkie sprawy skupiały się na tym nabrzeżu, według rytmów i hierarchii obowiązujących tylko tutaj. Ludzie przyjeżdżali, wyjeżdżali, czekali. Ich rzeczy leżały w stosach na pomoście, dopóki nie władowali ich na wózki i nie zawieźli do domu. Wiadomo było, jaki rodzaj papieru toaletowego kupują. Alice nadal uważała dwuwarstwowy za luksus, który o człowieku mówi więcej niż torebka czy buty. Ci z torbami i produktami papierniczymi Fairway zaopatrywali się w Waterby albo w Saltaire. Ludzie kupujący w Kismet zawsze mieli piwo.

Samochody zapewniały trochę prywatności. Bez nich prowadziło się życie na widoku. Wszyscy wiedzieli, gdzie kto jeździ i z kim. Na kogo czeka na przystani. Dla kogo szcztokuje włosy. Człowiek był tutaj całkowicie odsłonięty, ale również bezpieczny.

Swoboda panująca w tym miejscu zawsze przemawiała do pewnego typu osób o utopijnych poglądach, choćby i płytkich. „Pozbyć się samochodów, a zniknie problem globalnego ocieplenia, wojen na Bliskim Wschodzie, otyłości i wielu przestępstw”, mawiał jej ojciec.

Prom kursował regularnie. Dorośli przez cały czas wyjeżdżali i przyjeżdżali, ale zdarzały się też takie wakacje, podczas których Alice i Riley ani razu nie opuszczały wyspy. Przybywały blade, z fryzurami mającymi przetrwać całe lato, z delikatnymi stopami, nieśmiałe. Wyjeżdżały z brązową, piegowatą, wygarbowaną skórą, zmierzwionymi włosami, podeszwami stóp grubymi jak opony, pewnością siebie graniczącą z nieokrzesaniem.

Alice pamiętała powitania, a jeszcze lepiej pożegnania. Tradycja nakazywała, żeby ci, którzy mieli pozostać na wyspie do końca lata, na cześć przyjaciół wskoczyli do wody po wypłynięciu ostatniego promu.

Teraz usłyszała za plecami warkot silników i plusk wody o pomost. Rozplotła ręce i położyła je na siedzeniu ławki. Opuściła jedną nogę i postawiła na deskach.

Wolałaby sama przybywać niż czekać. Wolałaby wyjeżdżać niż zostawać, ale nigdy nie miała tego szczęścia. Z jakiegoś powodu zawsze to ona czekała i zawsze ona dawała nurka do morza.

Prom był niczym kapsuła czasu. Wysyłał podróżnych z brezentowymi torbami przez tunel czasoprzestrzenny, za każdym razem tych samych.

Paul stał w wilgotnym wietrze na górnym pokładzie i patrzył, jak wielkie domy wyrastające na południowym brzegu Long Island ustępują miejsca ciemnej morskiej toni.

Wsiadając na prom, człowiek zaczynał wyraźnie odczuwać gęstość powietrza. Kleistość wszystkich powierzchni. Gdy wiatr rozwiął mu czuprynę, Paul pomyślał o Alice szukającej w plecaku gumki. Pamiętał, jak trzymała ją w ustach, zaplatając warkocz. Podziwiał wtedy jej zręczność - jakiego chłopca nie fascynują warkocze? - ale ponieważ miał wtedy krótkie włosy, ta umiejętność wydawała mu się niepotrzebna. Teraz sam nosił długie.

Najpierw w oddali ukazał się obelisk Roberta Moseesa, potem wysoka, smukła latarnia morska. Właściwie wcale nie była wysoka i smukła, ale stała się dla Paula wzorcem, tak że w porównaniu z nią wszystkie inne wyglądały na przysadziste i niezgrabne. Kocha się to, co się zna. Nic nie można na to poradzić. On nie mógł, choć się starał.

Ona tam będzie. Jeśli jest dawną Alice, na pewno na niego czeka. W przeciwieństwie do swojej siostry; o ile Riley pozostała sobą. Uprzedził, że przyjeżdża, więc jeśli Alice nie zjawiała się w porcie, to będzie coś oznaczało. Jeśli przyszła, to również będzie znaczące. Trochę żałował, że zadzwonił i nagrał się na sekretarkę. Z drugiej strony, po tak długiej nieobecności nie mógł przybyć ukradkiem, bez zapowiedzi.

Mogło się zdarzyć, że nie odsłuchiwała wiadomości, ale znając Alice, wiedział, że to mało prawdopodobne. Ona zawsze czekała na dobre albo złe nowiny.

Teraz w polu widzenia pojawiło się starsze, bliskie jego sercu wybrzeże wyspy. Ujrzał znajomy szeroki łuk nabrzeża.

Dostrzegł na nim postacie. Wiedział, że Riley się nie zmieniła. Sadząc po listach, które do niego pisała, czuł, że będzie wyglądała, zachowywała się i mówiła tak samo jak kiedyś. Ale na myśl o dwudziestojednoletniej Alice ogarniał go niepokój.

Ciekawe, czy będą ich rodzice? Czy on potrafi stawić czoło całej gromadce zebranej na wąskim skrawku lądu wcinającym się w zatokę?

Budynki urosły i przybrały wyraźne kształty, twarze osób stojących na przystani odwróciły się z wyczekiwaniem w stronę promu, jasne owale bez widocznych rysów. Paul wstał z ławki i rozprostował nogi. Dłoń zaciśniętą na worku marynarskim miał wilgotną od potu.

Nie ruszając się z miejsca, zaczął wodzić wzrokiem po czekających. Starsze twarze w większości były znajome. Niezły deblista z pożyczką na łysiejącej głowie... Jak on się nazywa? Przygarbiony facet, który dbał o stan techniczny wozów strażackich, opalona na brąz dama z pieskiem pod pachą. Bywalec klubu, Don Rontano, w wykrochmalonej koszulce polo z postawionym kołnierzykiem, ulubieniec samotnych pań. Dzieci Paul nie był w stanie rozpoznać, a osobom w swoim wieku bał się przyglądać. Czy jej włosy tak bardzo pociemniały? Czy aż tak mogła jej się zmienić figura?

Nie, oczywiście, że nie. Z takiej odległości poznaje się ludzi po sylwetce, po pewnych nieokreślonych cechach, a te wydawały mu się całkiem obce. Może nie przyszła? Może w ogóle nie ma jej na wyspie. Ale co się stało, że jej nie ma?

Zauważył jeszcze jedną osobę, chyba dziewczynę. Siedziała na ławce, na podkulonej nodze. Ale była odwrócona do niego plecami i w przeciwieństwie do innych nie patrzyła w stronę nadpływającego promu.

Paul jeszcze raz powiódł wzrokiem po małej grupce, zły na siebie i swoje rozbiegane oczy. A jeśli jest teraz zupełnie inna? Jeśli będzie musiał zrewidować dawne wyobrażenie o Alice?

Kiedy prom wpłynął do portu, dziewczyna wstała z ławki. Włosy zasłaniały jej twarz. Może dlatego jej nie rozpoznał, choć był dostatecznie blisko.

Przez kilka chwil, rozgorączkowany i jednocześnie spokojny, patrzył na nią uważnie, czując mrowienie w starych, zamkniętych obwodach nerwowych. Neurony aż iskrzyły w części jego mózgu odpowiedzialnej za obecną percepcję, a także w części poświęconej wspomnieniom.

Może dlatego doszło do przeciążenia sieci, kiedy ją rozpoznał i zarazem nie rozpoznał. Zalały go obrazy i emocje, które wolałyby trzymać na wodzy.

- Hej - powiedział.

Uściskała go, opierając mu brodę na ramieniu, zwrócona twarzą do latarni morskiej. Nigdy wcześniej nie robili takich rzeczy. Do takiego powitania sprowokowała ją nie tyle bliskość Paula, ile obawa przed patrzeniem na niego.

Nie czuła go ani nie potrafiła skupić wzroku. Miała odrętwiałe ciało i zawodził ją wzrok. Nagle przestraszyła się, że Paul wyczuje jej dudniące serce, i cofnęła się szybko.

Wskazała na jego worek.

- To cały twój bagaż? - spytała, nie unosząc głowy.

- Tak.

Głos Paula zabrzmiał niemal żałośnie. Alice chciała zerknąć na jego twarz, ale tego nie zrobiła.

Co się z nią działo? To tylko Paul! Ten sam stary Paul. Ale jednocześnie wydawał się najbardziej obcy z obcych, przez to, że był również jej najstarszym przyjacielem.

- Ciężki? - wykrztusiła.

- Nie.

Alice wydawało się, że słyszy śmiech w jego głosie. Zamierzał się z niej naigrawać? Zawsze tak robił. Droczył się z nią i wyśmiewał bez litości. Ale jeśli zrobi to teraz, ona padnie trupem na miejscu.

Zamierzała odnosić się do niego chłodno. Za to, że zostawił ją na tak długo i całkiem o niej zapomniał. *Zapomniałeś o mnie?* Doskonale potrafiła gniewać się na niego, kiedy był daleko, ale w jego obecności szło jej dużo gorzej.

Bez słowa ruszyła przed siebie, a Paul podążył za nią. Pani McKay ładowała wózek, Connie, ich stary trener pływania, łowił ryby. Gdyby Alice uniosła głowę, zobaczyłaby innych. Wszyscy znali Paula. Ciekawe, czy rozpoznaliby go z tymi długimi skołtunionymi włosami i szczecina na brodzie?

Wszystkie jej plany wzięły w łeb: to, co zamierzała czuć, jak się zachowywać, co mówić.

- Poszukajmy Riley - rzucił idący za nią Paul, a jej serce zadrżało z ulgi.

Świetny pomysł. Przynajmniej zrobią coś pożytecznego.

Zaproponowała mu rower matki, a sama wsiadła na swój. Paul wrzucił worek marynarski do kosza i ruszył pierwszy wąskim drewnianym chodnikiem, z wprawą i gracją prawdziwego wyspiarza. Kiedyś zdarzyło mu się jechać na trzech rowerach naraz. Potrafił śmigać na tylnym kole bez trzymanki. Dla Alice był mistrzem.

Pojechali prosto na plażę i zsiadli w rowerów. Paul zdjął buty i skarpety, prawie nie zwalniając kroku. Potem stanął na schodach na szczycie wydmy i przez dłuższy czas chłonił widok. Idąc za nim, Alice nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, jak dzisiaj wygląda ocean.

W dzieciństwie mieli wiele nazw dla plaży, tak jak Eskimosi dla śniegu, i wciąż wynajdowali nowe określenia. Biały piasek i spokojną, iskrzącą się turkusową wodę nazywali Tortolą, od karaibskiej wyspy, na którą kiedyś zaciągnęła Paula matka. Takim widokiem pogardzali. Plaża Riley - albo inaczej Bitwa - była wtedy, kiedy ziarenka piasku siekły skórę niczym małe odłamki szkła, a rozhukane fale chłostały brzeg. Plaża Alice, prawdziwa rzadkość, oznaczała kałuże, które pozostawiał przyływ.

Alice chciała dzisiaj ujrzeć plażę Paula - piasek chrzęszczący po odpływie, ostry spadek do wody i armię krótkich, zielonych fal. Jakże znajoma reakcja! Zawsze pragnęła tego, co on.

Kiedyś Paul powiedział jej, że plaża jest jak on, bo zmienia się codziennie, ale nie robi żadnych postępów. Później Alice rozmyślała, że ktoś inny zacząłby od stwierdzenia, że on jest jak plaża.

Teraz odgarnęła włosy do tyłu i doszła do wniosku, że dzisiaj przydałoby się jeszcze inne określenie. Nerwowa plaża. Rozgniewana plaża. Piasek był gładki i łagodnie opadał ku wodzie, ale wzburzone fale napływały ukośnie. Gdy Paul ruszył w dół po rozpadających się schodach, Alice postanowiła, że nie będzie pływała. Spojrzała na wschód, w stronę budki ratownika, w której siedziała Riley. Powiewała nad nią czerwona flaga.

Paul nie skręcił w stronę Riley, tylko poszedł prosto na brzeg. Alice osłupiała, gdy wszedł do wody w ubraniu. Potem dał nurka w oliwkową ścianę. Tymczasem ona wypatrywała niespokojnie, kiedy jego głowa wyskoczy ze spienionej toni. Zerknęła na siostrę. Riley stała na krzeselku, z rękami na biodrach i wyciągała szyję w pozie czujnego ratownika.

Głowa Paula w końcu pojawiła się co najmniej dwadzieścia jardów od brzegu. Choć był poza linią załamywania się fal, i tak nim miotały.

Riley powiedziała coś do drugiego ratownika, stojącego na piasku, i zagwizdała dwa razy.

- Wychodź z wody! - wrzasnęła, wskazując na czerwoną flagę. Potem mruknęła pod nosem: - Dupek.

Paul pomachał do niej.

W tym momencie Riley najwyraźniej zorientowała się, kim jest nierozważny pływak, bo głośno krzyknęła z radości. Następnie obejrzała się przez ramię i dostrzegła siostrę.

Natychmiast się uspokoiła. Opuściła gwizdek i wzruszyła ramionami. Alice się uśmiechnęła.

- Zdaje się, że Paul wrócił! - zawołała Riley, przekrzykując szum wiatru.

- Zostawmy go - powiedziała do kolegi. - Nic mu nie będzie.

Usiadła z powrotem na krzeselku i obserwowała podskakującą głowę Paula. Nie zamierzała po niego iść. Niech tonie. Poza tym da sobie radę,

Paul razem z nią przeszedł wszystkie etapy szkolenia na ratownika i robił wszystko, żeby być od niej lepszym. Riley sama przyznawała, choć nigdy wprost, że dzięki niemu stała się twarda. Nie tyle podejmowała kolejne wyzwania, ile starała się pokonać rywala. Lecz w dniu egzaminu - w ich wypadku to była zwykła formalność - Paul się nie pokazał. Kiedy zobaczyła go później na nabrzeżu, tylko wzruszył ramionami. Dla niej to była najważniejsza chwila w życiu, a on zachował się, jakby ten mało istotny drobiazg wypadł mu z głowy.

Ale w pierwszy dzień oficjalnego dyżuru, kiedy ona pękała z dumy w swoim czerwonym kostiumie ratownika, Paul znowu się zjawiał. W pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy, że ciemnowłosy mężczyzna wypływający poza fale przyboju to on. Dmąc w gwizdek, błyskawicznie zeskoczyła z krzeselka i zgarnęła ekwipunek, jednocześnie wykrzykując polecenia.

Kiedy dotarła na głębinę i zobaczyła, kogo próbuje ratować, miała ochotę utopić go naprawdę. Wyzwała go od sukinsynów i zawróciła, czerwona z wściekłości. Na plaży ujrzała tłumek zaniepokojonych mieszkańców i głównego ratownika, bliskiego apopleksji, bo przekonanego, że zostawiła ofiarę na pastwę losu. A Paul nadal odgrywał swoje przedstawienie. Co mogła zrobić? Wróciła i uratowała mu tyłek. Holując go do brzegu, z całej siły uszczypnęła go w kark. Przynajmniej raz nie udawał, kiedy szarpnął się gwałtownie.

W dzieciństwie ona i Paul byli tacy sami. Rozumiała go doskonale, choć wcale się nie starała. Czasami ze sobą walczyli. W trzeciej klasie kopnęła go tak, że upadł. W piątej on pchnął ją na drzwi, tak że trzeba było jej założyć sześć szwów na łuk brwiowy. Potem już się nie bili, choć Riley nieraz go prowokowała. Paula zapewne powstrzymywał widok jej blizny. Ona ją lubiła.

Po szkole średniej wszystko się skomplikowało. Paul bywał milczący i zamyślony bez żadnych wyraźnych powodów. Riley zawsze uważała, że byłby szczęśliwszy, gdyby po prostu zdał egzamin na ratownika. Później kilkakrotnie przyłączał się do dziwnych ugrupowań politycznych i próbował zorganizować zbieraczy owoców z Ameryki Środkowej. Niestety, ci okazali się zbyt sprytni, żeby kupić kit, który usiłował im wcisnąć.

Przybyłem tutaj pełen ideałów, ale wobec otaczającej mnie biedy i smutku stają się one całkowicie nieważne, napisał do niej z farmy niedaleko Bakersfield. Zeszłej nocy, kiedy spałem, ktoś ukradł mi portfel z kieszonki spodni. Jestem durniem.

Riley nie zamierzała się z nim spierać. *Powinieneś zostać*, odpisała.

A jednak go kochała. Dlatego nienawidziła jego rozczarowań, choć nie rozumiała pragnień.

- Możesz mnie zastąpić? - spytała Adama Pryce'a, swojego pomocnika, młodszego od niej o sześć lat.

Gdy się zgodził się, zeskoczyła na piasek. Z dawnym uczuciem radości zanurkowała w morze, do którego nikt rozsądny tego dnia nie wchodził. Kilkoma silnymi pociągnięciami ramion dopłynęła do Paula.

I tak podskakiwali razem na falach i drwili sobie z nich, unikając prądów odpływowych, podczas gdy Alice obserwowała ich z brzegu.

RS

Okazesz się zwyczajna, jeśli nie będziesz uważać

W dawnych czasach Paul przychodził rano w piżamie, żeby się bić o najlepsze płatki. Alice podejrzewała, że to była jedna z niewielu potyczek, które był w stanie wygrać lub przegrać. Chodziło o to, żeby zjawić się jak najwcześniej.

Jego ogromna rezydencja stała między oceanem a ich domem, tak blisko, że w te noce, kiedy na morzu panował spokój, można było słyszeć, jak rodzice Paula się kłócą. Panował w niej idealny porządek, miała siedem sypialni i telewizor, a także całą półkę dobrych płatków. Ale jak daleko Alice sięgała pamięcią, nikt nie chciał tam jeść Fruity Pebbles, nie mówiąc już o tym, żeby się o nie bić. Widać małe dzieci instynktownie wolą mieszkać w małym domu niż w dużym.

Tego ranka Paul też się pojawił, ale nie w piżamie. Miał na sobie spodnie, tak jadowicie żółte, że Alice omal się nie roześmiała.

Przyszedł jak zwykle, od tylnych drzwi swojego domu do ich kuchennych drzwi. Jeśli szło się normalną drogą, po drewnianym chodniku, cała trasa liczyła co najmniej sto pięćdziesiąt kroków. Trochę więcej w wypadku Alice i dużo mniej, jeśli się było Paulem i oszukiwało. A piaszczysta ścieżka wiodąca między trzcinami miała długość najwyżej trzydziestu kroków i była ukryta przed światem.

- Jadłeś śniadanie? - zapytała Alice. Jak zwykle przejmowała się drobiazgami.

- Nie. - Paul zrobił skruszoną minę. - Ale wszystko w porządku. Nie musisz mnie karmić.

Alice pchnęła w jego stronę paczkę Rice Krispies, miskę i łyżkę. Paul nasypał sobie płatków.

- Mleka?

- Dzięki.

Opierając łokcie na stole i brodę na dłoni, Alice obserwowała jedzącego Paula. On nigdy nie miał nic przeciwko temu, żeby ktoś na niego patrzył.

- Co z twoimi włosami? - zapytała Riley, przechodząc przez kuchnię w drodze do pralni.

- Urosły - odparł krótko Paul, z zadowoleniem chrupiąc płatki.

- Aż tak?

- Aż tak.
- Moje nie rosną w ten sposób - odezwała się Alice.
- Bo pewnie je myjesz i szczotkujesz.
- Owszem.
- No właśnie.
- Wcale nie wyglądają dobrze - stwierdziła rzeczowym tonem Riley.

- Wiem - powiedział Paul, biorąc w palce jeden z kołtunów. - Trochę swędzi. Chyba ze-
tnę je na lato. - Odłożył łyżkę i spojrzał na Alice. - Nadal masz swoje nożyce fryzjerskie?

Alice potrząsnęła pudełkiem z płatkami, żeby sprawdzić, czy wystarczy na jeszcze jedną
porcję.

- Tak. Chcesz je pożyczyć?
- Mogłabyś to zrobić? - zapytał Paul.

Alice odstawiała pudełko. Przygryzła policzek od środka.

- Chodzi o to, czy mogę ściąć ci włosy?
- Tak.

Czasami strzygła Paula, Riley i inne dzieciaki. W ramach przysługi usuwała im z włosów
gumę do żucia. Nie dlatego, że miała do tego szczególnie talent, ale dlatego, że wujek Peyton
podarował jej kiedyś zestaw fryzjerski z dobrymi nożyczkami. Inaczej trzeba by było jechać
poza wyspę.

Czy mogłaby obciąć mu włosy? Dlaczego nie?

- Nic wymyślnego - zastrzegł Paul.
- Zrób mu tapir - podsunęła Riley.
- Spróbuję.

Paul wstał od stołu, patrząc na nią wyczekująco.

- Teraz? - upewniła się Alice. Później mógłby zapomnieć o swojej prośbie.
- Tak. W porządku?

Automatycznie ruszyła za nim po schodach. W ich domu była tylko jedna łazienka, a ona
i Riley od wieków toczyły spór, czyja kolej na jej sprzątanie. Paul usiadł na brzegu wanny, tak
jak zawsze to robił.

Riley stanęła w drzwiach, z wyrazem rozbawienia na twarzy.

Przybory leżały w szafce, w oryginalnym plastikowym opakowaniu, i wyglądały jak nowe, bez śladu rdzy. Alice wolałaby, żeby Paul i Riley na nią nie patrzyli. Wstydziła się, że tak dba o głupie nożyczki.

- No dobrze... - zaczęła z wahaniem. - Ja tylko... ee...

- Tnij.

Paul ściągnął podkoszulek przez głowę, co wcale nie dodało jej śmiałości. Zmusiła się, żeby do niego podejść. Jego twarz znalazła się na wysokości jej klatki piersiowej. Zwykle bywało odwrotnie. Teraz, gdy Paul spojrzał na nią z dołu, poczuła się nieswojo. Zupełnie jakby się składała z samych nozdrzy.

- Wszystko? - Nie chciała, żeby został łyсы.

- Same dredy. Zresztą zdaję się na ciebie.

- Obawiam się, że znajdziesz tam różne żyjątka - rzuciła Riley.

Alice pokiwała głową. Dorastając z taką siostrą, nie można być zbyt wydelikacowanym.

Gawędzili o najróżniejszych rzeczach. Głównie o przyziemnych. Albo metafizycznych. Jedno albo drugie, nic pośrodku. To była kolejna pozostałość z dziecięcych czasów. Rozmawiali o rybach i o Bogu. Ale w miarę, jak człowiek dorasta, zaczyna go interesować cała reszta.

Poprzedniej nocy deszcz bębnił o gonty, a oni przez wiele godzin siedzieli na zapiaszczonej podłodze salonu i rozmawiali o wielkich sztormach, o domach zmytych przez wodę, o starej promenadzie, która kiedyś biegła wzdłuż brzegu, a teraz leżała głęboko pod falami. Mówili o tym, że wyspa pozostaje taka sama, choć wciąż zmienia postać. Alice cieszyła się, że są tylko we troje, bez jej rodziców, tak jak kiedyś. Dzięki temu czuli się swobodnie, nie przeszkadzało im, że ich rozmowa meandruje albo zamiera. Wiele tematów pomijali, na przykład to, co robili przez ostatnie trzy lata.

Alice sięgnęła po nożyczki i kilka razy szczeknęła nimi na próbę. Dotknęła czubka głowy Paula. Przedramieniem musnęła jego brodę i poczuła szorstki zarost. Ze wzruszenia ścisnęło się jej gardło. Jakże za nim tęskniła! Czasami trudno znieść smutek, że zostało się zapomnianym, ale potem pociechę przynosi świadomość, że jednak ten ktoś pamięta.

- Zaczynamy - powiedziała słabym głosem.

Wzięła do ręki sfilcowany strąk brązowych włosów i ucięła go bezlitośnie. Ostre nożyczki wydały cichy, miły dźwięk. Zawsze go lubiła.

Pod warstwą brudu włosy Paula były miękkie jak wtedy, gdy był mały, mimo że tak źle je traktował. Te, które zostawały po ścięciu kolejnych kołtunów, kręciły się i łagodnie układały na głowie. Przynajmniej one były potulniejsze i mniej skomplikowane niż reszta jego osoby.

- I co o tym sądzisz? - zapytała Alice siostrę.

Riley stała bez ruchu dłużej niż zwykle. Patrzyła na masę włosów leżących na linoleum.

- Musi posprzątać. - Powiedziała to przyjaznym tonem, co wskazywało chyba na aprobatę.

Potem zeszła na dół, a chwilę później trzasnęły frontowe drzwi.

Gdy Alice chwyciła ostatni dred u podstawy karku, Paul zadrżał. Potem delikatnie obcięła mu włosy wokół ucha, podziwiając jasny, jedwabisty meszek porastający brzeg płatka. Nie tylko teraz. Zawsze zwracała uwagę na takie drobiazgi.

- Jesteś bardzo grzeczny - pochwaliła.

Z początku sądziła, że nie usłyszał, choć znajdowała się zaledwie kilka cali od jego ucha.

- Staram się - mruknął w końcu.

Następnie przeszła na przód, coraz śmielsza w roli fryzjerki. Uniosła mu podbródek i oparła dłoń na policzku, nie całkiem z konieczności. Jego bliskość dodawała jej pewności siebie.

Pamiętała, że kiedy po piątej klasie nauczyła się robić na drutach od babci Ruth, przez całą zimę dziergała Paulowi czapkę. Chciała jakoś utrzymać z nim kontakt przez zimowe miesiące, kiedy go nie widywała, kiedy z powodu dystansu i nieporozumień między ich rodzicami stali się sobie niemal obcy. Następnej zimy zrobiła szalik w kolorach zielonym, niebieskim i szarym, żeby przypominał mu ocean. Posłała mu go, gdy zaczął pierwszy rok nauki w szkole z internatem. W ten sposób dotykała Paula, dawała mu ciepło, sprawiała, żeby o niej pamiętał.

Ukołysana dźwiękiem nożyczek, wpadła w medytacyjny nastrój. Wyrównywała, podcinała, nadawała kształt, wygładzała. Ogarnął ją spokój. Czuła, że on też się rozluźnia, poddaje jej dłoniom, obdarza zaufaniem.

Od jak dawna nie bawiła się we fryzjerkę? Zapomniała już, jak to jest.

Jednocześnie mu współczuła. Jak zawsze. Choć był od niej starszy. Choć okazał się podły, bo ją opuścił i całkiem o niej zapomniał. Może żałowała go, bo dawno temu umarł mu ojciec? Albo dlatego, że Lia zaniedbywała syna? Alice pamiętała z opowiadań matki, że kiedy miał kłopoty, mały Paul zwracał się do niej. „Wzruszyłam się, kiedy Paul pozwolił, żebym się

nim zajęła. Ale również ogarnął mnie smutek. Dziecko, które ma dobrą matkę, nie garnie się aż tak bardzo do obcych".

„Miała trudne życie", próbował usprawiedliwiać Lię ojciec Alice, ale zarazem przyznawał, że potrafi być nieznośna.

Lia, osierocona w wieku piętnastu lat, dorastała we Włoszech. Do syna zwracała się per Paulo, ale tylko jej na to pozwalał. Jeśli tym imieniem nazwały go Riley albo Alice, od razu je bił. Podobno otrzymał je po bohaterskim wujku szpiegu, który zginął w czasie drugiej wojny światowej, ale można było przypuszczać, że jego ojciec Robbie chciał raczej uczcić Paula McCartneya. Co było w metryce Paula, Alice nie miała pojęcia. W dodatku uważała, że jej przyjaciel zachowuje się dziwnie, udając, że nie mówi po włosku, choć wszyscy doskonale wiedzieli, że zna ten język.

Alice słyszała również, że dziadkowie Paula nie lubią synowej i obwiniają ją za wszystko, co przydarzyło się ich Robbiemu. Ale jeśli nawet Lia zasłużyła na krytykę, wcale nie musiała być odpowiedzialna za śmierć męża.

Paul był ich jedynym wnukiem i przyszłym dziedzicem gigantycznej góry pieniędzy, które tymczasem Lia wydawała tak szybko, jak potrafiła. Alice jednak słyszała to wszystko od rodziców, nie od Paula. Jego babka zwróciła się kiedyś do mamy Alice z prośbą o interwencję. Alice dobrze to pamiętała. „Powinna pani sama porozmawiać z synową", odparła wtedy Judy, ale starsza pani nie skorzystała z tej rady. Tylko prawnicy dzwonili do Lii.

Paul trzymał się z dala od dziadków. Nie układało mu się dobrze z matką, ale był wobec niej lojalny. O ile Alice potrafiła stwierdzić, po prostu ją kochał.

Odkąd Paul wyjechał do college'u, Lia większość czasu spędzała we Włoszech. Gdy wracała do Stanów, na wszystko narzekała: na jedzenie, tempo życia, język, muzykę. Alice zawsze sobie wyobrażała, że w ojczyźnie Lia jest szczęśliwa, ale Paul powiedział jej kiedyś, że tam jego matka również jest wiecznie niezadowolona.

Alice nie знаła ojca Paula, bo umarł, kiedy miała zaledwie kilka miesięcy. Natomiast Riley pamiętała Robbiego, a raczej takie drobiazgi, jak broda, gumowe sandały i zręczne palce, które potrafiły wiązać wszelkie rodzaje węzłów.

Alice nie lubiła o nim rozmawiać, bo wiedziała rzeczy, których nie powinna wiedzieć. Bo Paul jej o nich nie mówił. Prawdopodobnie sam nie miał o nich pojęcia. Alice nie podobało się, że matka zdradza jej cudze tajemnice. Judy zbyt skwapliwie dzieliła się informacjami,

przekonana o ich neutralności tylko dlatego, że były prawdziwe. „Tkwi we mnie dziennikarka”, tłumaczyła się z wyraźną nutą dumy w głosie.

Paul prawie nigdy nie mówił o ojcu, a kiedy to robił, sprawiał wrażenie, jakby pamiętał go doskonale. Alice jednak zauważyła, że nie podaje żadnych szczegółów.

Podejrzewała, że Paul nie potrafi go sobie przypomnieć, tak jak ona nie umiała przywołać obrazu przyjaciela, kiedy był daleko. Może tak bywa z osobami, na których człowiekowi za bardzo zależy.

Alice wrzuciła nożyczki do umywalki. Stała bez ruchu, z rękami na krótkich włosach Paula. Wypuściła powietrze z płuc, kiedy powoli oparł głowę o jej tors, tuż pod piersiami. Czuła jego kości policzkowe na swojej bluzce, zarost zahaczający o sploty bawełny, ciepły oddech.

Był przy niej. Był tutaj. Bała się zaczerpnąć tchu.

Nagle zagrzechotała siatka w drzwiach kuchennych. Paul uniósł głowę. Alice się cofnęła. Już nie był z nią.

Patrzył na nią przez chwilę, ale nic nie mówił. Alice sięgnęła drżącymi rękami po nożyczki i schowała je z powrotem do plastikowego opakowania.

Paul wstał i przyjrzał się sobie w lustrze.

- Ładna robota - stwierdził.

Alice uświadomiła sobie, że wrócił do postaci, którą dobrze знаła. Dokonali tej transformacji razem. Z dziwnego, obcego mężczyzny stał się znowu kochanym, starym Paulem.

Chwila, w której nawiązali ze sobą kontakt, minęła, ale na niej właśnie Alice zamierzała się skupić.

Po raz pierwszy od miesiący jego głowa leżała wygodnie na poduszce i nie swędziała. Paul jednak nie mógł zasnąć, i przypisywał ten stan obcięciu włosów.

Wyobrażał sobie albo raczej czuł paluch Alice muskający bok jego stopy, dotyk jej dłoni na głowie, na brodzie. Kiedy się nad nim pochyliła, wyczuł nowy zapach, mocno podniecający.

I właśnie pożądanie ogarnęło go, kiedy przytulił głowę do jej ciała. Dlaczego to zrobił? Co to miało znaczyć? Nie powinno się tak zachowywać wobec dawnej koleżanki. Takich rzeczy nie da się cofnąć. Ani ich zlekceważyć. Można udawać, że nic się nie zdarzyło. Ale przecież się zdarzyło. Na szczęście reszta dnia świadczyła, że oboje milcząco zgodzili się na wspólną amnezję.

Niepokój i przyjemność poeniły się i spłodziły kilkoro niesfornych dzieci. Może nie powinien tu wracać. Ale czy miał coś innego?

Sztuczka polegała na tym, żeby w miarę możliwości to zachować, nie niszczyć wszystkiego. Czy coś takiego w ogóle da się zrobić? Każde spełnione pragnienie jest końcem marzeń. Czy można przerwać ten cykl? Zatrzymać świat?

Nie było nic odkrywczego w tym, że kocha Alice. Zawsze ją kochał. Kochał ją, jeszcze zanim ona to sobie uświadomiła. I nic dziwnego. Jako dziecko była rozkoszna, pulchniutka, cicha. Wszędzie nosił ją na rękach. Psychiatra Lii stwierdził, że mała Alice jest dla Paula obiektem przejściowym.

W wieku czterech lat, kiedy umarł jego ojciec, Paul dowiedział się, że nie będzie miał rodzeństwa. Riley również to rozumiała.

- Dobrze, mogę dzielić się z tobą Alice - zaproponowała wielkodusznie.

Riley była jego rówieśnicą, rywalką, drugą połówką i najlepszą przyjaciółką. Czasami stwierdzał, że trudno mu odróżnić ją od siebie. Byli w tym samym wieku i przez długi czas tego samego wzrostu. Nosili takie same spodnie. Czuł się nielojalny, że nadal rósł po tym, jak ona przestała.

Alice nie traktował jak przyjaciółki, choć wiedział, że ona zawsze o tym marzyła. Była dla niego kimś innym.

Gdy o niej myślał, zwykle leżąc w łóżku, często wspominał lato, gdy on i Riley mieli po trzynaście lat. Wszędzie, gdzie spojrzeli, starzy koledzy i koleżanki wyraźnie głupieli i tracili zainteresowanie rzeczami, które kiedyś miały dla nich znaczenie. Megan Cooley i Alex Peterson zaczęli urządzać na zapleczu wiejskiej biblioteki prywatki z kręceniem butelką i zabawą w fanty. Riley ich nienawidziła, Paul się bał. Historie z ich rodzicami sprawiły, że oboje z tym większą determinacją trzymali się bezpiecznej strony dojrzewania. Dziesięcioletnia Alice we wszystkim ich naśladowała.

Jako banda dzieciaków stworzyli sobie magiczną krainę na wąskim skrawku lądu między zatoką a pełnym oceanem. Były tam dobre i złe miejsca, oraz istoty, a oni czarami mogli zmieniać strony, jeśli wymagała tego zabawa. Paul i Riley zdawali sobie sprawę, że ten świat jest kruchy. Gdyby na to pozwolili, zatonąłby w morzu, nie pozostawiając po sobie nawet śladu. Wymagał niewzruszonej wiary, a coraz mniej ludzi w niego wierzyło.

Tak więc z niesmaku i strachu zawarli z Riley niepisane przymierze. Ich szeregi się wykruszały, ale oni mieli siebie, żeby przypominać sobie nawzajem, co jest prawdą. Doszli do wniosku, że jeśli pozostaną szczerzy, nic im się nie przydarzy. Przywiążą się razem do masztu i poześlą przez sztorm dojrzewania. Mieli prawo mówić: „Taka jest prawda”. I jeśli ktoś

stwierdzi, że są w błędzie, będą wiedzieli, że to zło szepcze im do ucha, a wróg jest tuż-tuż. Nie zamierzali dyskutować. Ani się poddawać. Postanowili nosić pigułkę z trucizną i zażyć ją w razie konieczności.

Ale co się stanie, kiedy burza ucichnie? Nie sięgali myślą aż tak daleko. Nie zastanawiali się na tym, że skupiając się na jednej stronie życia, mogą zaniedbać pozostałe. Trzymając się wcześniejszej wersji samego siebie, człowiek wątpi we wszystkie przyszłe „ja”, które stoją z nią w sprzeczności.

Dziesięcioletnią Alice łatwo było zwerbować. Alice, której w wieku trzynastu lat urosną piersi i która dostroi się do szerszych i subtelniejszych częstotliwości ludzkich interakcji. Nie wiedziała, z czego będzie musiała zrezygnować.

Oni woleli patrzeć wstecz. Przypominać sobie, co jest prawdą, zamiast jej szukać. Byli świątobliwymi ludźmi zgłębiającymi starożytną księgę, sędziami interpretującymi własną konstytucję. Cofali się do spokojniejszych, bardziej sprawiedliwych czasów.

Ale czas biegł naprzód, pory roku się zmieniały. O rzeczach niezgodnych z przymierzem Paul nie opowiadał Riley i Alice. O ambicjach, błahych zainteresowaniach, seksie, który w końcu uprawiał na pierwszym roku historii z roześmianą dziewczyną ze swojej grupy. Robił to, co wszyscy, ale czuł, że jego prawdziwe życie jest tutaj, na tej plaży, z Riley i Alice.

To, co było silne w wieku trzynastu czy nawet siedemnastu lat, stało się osobliwe, kiedy skończył dwadzieścia cztery, lecz przymierze, ze swojej natury, nadal trwało. I nadal między nimi obowiązywało. Czuł to nawet teraz. Mogło go nie być przez miesiące albo lata, ale przywiązanie do tego, co kochał, nie osłabło ani trochę.

Podejrzewał, że Alice dotrzymuje umowy z lojalności. Dla Riley to w ogóle nie była kwestia wyboru. A dla niego?

Dla niego przyjaźń z Riley i Alice była najlepszą i najbardziej stałą rzeczą w życiu.

Butelki i kamienie

Przez dziewięć lat Paul nie zwracał się do niej po imieniu. Odkąd skończyła dwanaście, mówił do niej: Mała, Dzieciaku, Ty. Alice uświadomiła to sobie dopiero pierwszego wieczoru, którego zaczęła pracować jako kelnerka w klubie jachtowym.

To była piątkowa noc, więc nie zdziwiło jej, że w klubie pojawili się rodzice. Od końca szkoły średniej zostawiali w weekendy córki na plaży, a sami oddawali się bujnemu życiu towarzyskiemu. W ciągu roku szkolnego Ethan był nauczycielem historii i trenerem w prywatnej szkole na Manhattanie, a w lipcu i przez większą część sierpnia uczył na letnich kursach i udzielał korepetycji, żeby dorobić do pensji. Judy adiustowała i robiła korekty podręczników oraz artykułów na temat wychowania dzieci i pokrewnych dziedzin dla garstki znajomych wydawców. Dużo mówiła o własnych artykułach na etapie ich wymyślania, ale później jakoś nigdy nie mogła ich napisać i oddać do druku.

- Wezmę hamburgera z bekonem. Co jeszcze macie?

Alice stała ze skrzyżowanymi na piersi rękami, w ustach trzymała ołówek, pod pachą notes. Takie już jej szczęście, że pierwszy stolik z tych, które miała obsługiwać w pierwszym dniu swojej pracy, zajęli akurat rodzice.

- Tato, dobrze wiesz, co tutaj mają - rzuciła półgłosem.

Wywróciła oczami. W ich obecności nie mogła się powstrzymać. Nawet jeśli jej się to udało, nie potrafiła ukryć tonu zniecierpliwienia w głosie.

- No dobrze, niech będzie okoń - powiedział ojciec.

Jego czarne włosy były poprzetykane siwizną i gęste jak u gwiazdora opery mydlanej. Większość ludzi lekceważyła to, co ma, a zamartwia się tym, czego nie ma, ale pod tym względem jej ojciec był oryginałem. O swojej czuprynie myślał z przyjemnością, która dorównywała rozmiarami niemiłym odczuciom łysiejących.

Matka Alice była blondynką. Choć teraz farbowała włosy, uważała, że ma prawo do tego koloru, bo urodziła się z jasnymi. O nienaturalnych blondynkach wyrażała się niepochlebnie.

- To naprawdę nie wygląda dobrze - mówiła.

Alice odziedziczyła po niej jasne włosy, ale o lekko rudawym odcieniu. Przypuszczała, że jej ściemnieją, kiedy przestanie spędzać wakacje na plaży. Następnego lata, na przykład,

zamierzała pracować w firmie prawniczej. I w kolejnych również, podczas gdy Riley będzie w ciągu roku nadal prowadzić swoje kursy sprawnościowe, a latem zatrudniać się jako ratownik. Na wszelki wypadek Alice zaczęła sobie wyobrażać siebie w przyszłości z ciemnymi włosami.

Choć Riley spędzała większość czasu na powietrzu, nigdy nie była blondynką. Miała ciemne włosy, które łatwo się kręciły, o czym Alice doskonale wiedziała, bo nieraz próbowała je poskromić. Nawet kiedy Riley była mała, nigdy nie pozwalała matce ich szczotkować. Zawsze miała je równo obcięte do podbródka, czasami do ramion, najczęściej zatknięte za uszy. Ta fryzura i w jeszcze większym stopniu piegi sprawiały, że wyglądała na mniej lat, niż miała.

Od mniej więcej trzynastego roku życia Alice przywykła do tego, że ludzie myślą ją za starszą siostrą. I dobrze. Męczące natomiast były okrzyki niedowierzania, kiedy prostowała pomyłkę. Czasami czuła się niezręcznie, bardziej ze względu na Riley niż na siebie. Choć, prawdę mówiąc, wcale nie była pewna, czy siostrę to w ogóle obchodzi.

- Jesteś pewna, że nie macie żadnych specjalów? - Judy uśmiechnęła się szelmowsko.

- Mamo! - warknęła Alice.

Matka zadała pytanie tylko po to, żeby Alice wyrecytowała menu, a nie dlatego, że interesowały ją tutejsze potrawy. Od lat jedzenie w klubie jachtowym było kiepskie. Jedynie nowi klienci zamawiali bardziej ambitne dania niż hamburgery. Alice poszła z zamówieniem do kuchni. Im szybciej je zrealizuje, tym prędzej się pozbędzie rodziców.

Z zaplecza zobaczyła, że przy jej drugim stole siadają Kimballowie i jeszcze jedna para, której nie znała. Popatrzyli na nią wyczekująco i rozpromienili się tak jak jej rodzice, kiedy podeszła.

- Podać coś do picia? - zapytała nieśmiało.

O miejscowych wiedziało się najróżniejsze rzeczy. Na przykład to, że Kimballowie stracili małe dziecko. We wszystkim, co pani Kimball mówiła albo robiła, nawet w sposobie serwowania piłki tenisowej albo zamawiania wina, Alice czuła jej stratę.

Wiedziała, że pan Barger, który zajął stolik czwarty, zostawił żonę w dniu, w którym ich najmłodsza córka Ellie poszła do college'u. Teraz miał nowy dom na plaży i nową żonę ze sztucznymi zębami, a każda hostessa zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa związanego z posadzeniem starej pani Barger obok nowej.

- Ślicznie wyglądasz! - wypaliła nowa pani Barger.

Ze względu na Ellie, która szczerze nienawidziła macochy, Alice oparła się chęci, żeby odwzajemnić jej przyjazny ton. Wiedziała, że w pracy będzie musiała nosić granatową koszulkę polo i zawadiacką żeglarską czapkę, ale nie przypuszczała, że aż tak będzie się ich wstydzić.

Musiała zarabiać pieniądze. Wzięła dużą pożyczkę na naukę w szkole prawniczej, a potrzebowała jeszcze więcej na utrzymanie. Na wyspie trzeba było harować dwa razy więcej godzin, bo marnie płacono. Zarobki były kiepskie, bo większości rodzin dobrze się powodziło i ich latorośle pracowały tylko na pokaz. Alice w dzień opiekowała się dziećmi, a wieczorami... cóż innego mogła tutaj robić?

W dobrych restauracjach Fair Harbour albo Ocean Beach trudno było o pracę kelnerki, bo tam ludzie naprawdę dawali napiwki. Natomiast tutaj personel wciąż się zmieniał, ponieważ składał się z dzieciaków, które bawiły się w pracę, obsługując rodziców. Dwie inne kelnerki z jej zmiany były najbardziej postrzelonymi dziewczynami, jakie znała.

Jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi, sytuacja wyglądała podobnie. Znajomi rodziny płacili mało, bo uważali, że świadczą grzeczność, uznając córkę sąsiadów za dorosłą osobę. W opinii Alice przyjaciele i przysługi rujnowały interes.

Idąc do baru, żeby zrealizować zamówienie Kimballów, uświadomiła sobie, że zapomniała o drinkach dla rodziców. Cóż, nie straci dużego napiwku.

O dziewiątej rodzice ruszyli dalej na spotkanie ze znajomymi, a Alice rozboleły nogi. Bar zapełnił się jej przyjaciółmi. W końcu zjawił się również Paul, na co liczyła i czego jednocześnie się obawiała. Pokazanie się mu w żeglarskiej czapce wymagało od niej wielkiej odwagi.

- O, Alice! - rzucił Paul.

Alice zaniemówiła. Dopiero kiedy uciekła do kuchni, żeby złapać oddech, uświadomiła sobie, co ją tak zaskoczyło. Paul wypowiedział jej imię. Właściwie nawet podobało jej się, że przez lata zadawał sobie trud wymyślania dla niej przydomków (choć była rozczarowana, kiedy usłyszała, że do innych zwraca się tak samo). Z drugiej strony, nieraz się zastanawiała, co to za problem wymówić jej imię. Może je zapomniał?

Pomyślała o jego policzku tuż przy jej ciele. Wyjechał i był tak daleko, podczas gdy ona tylko czekała.

Teraz wypowiedział jej imię, a Alice nie była pewna, czy to skróciło dystans między nimi, czy go wydłużyło.

Paul przeszedł z piwem do sali rekreacyjnej na zapleczu klubu jachtowego. Niemal wyczuwał tutaj zapach swojego potu z okresu dojrzewania. Podłoga ściemniała od wody sodowej wdeptanej przez klejące się bose stopy. Paul pamiętał, jakie czarne miał nogi przez całe wakacje dzieciństwa. Pamiętał również moment, kiedy matka zaczęła zwracać na to uwagę. W domu Riley nikt nie zmuszał człowieka do mycia stóp przed pójściem do łóżka. W klubie jachtowym brud przeniknął do głębszych warstw poliuretanowej wykładziny, jego ścian również nie czyszczono ani nie piaskowano, tylko nakładano kolejną powłokę farby.

Paulowi nie przeszkadzało, że klub jachtowy jest taki zaniedbany. Wprost przeciwnie. Lubił jego swobodną atmosferę, wesołe postukiwanie drzwi z siatki. Odpowiadał mu ten stopień ekskluzywności: jeśli twój czek miał pokrycie, mogłeś wejść. Podobało mu się, że nie ma tu jachtów, bo przystań jest dla nich za płytka.

Paul podejrzewał, że odzywiają się w nim geny ojca. Bogatego chłopaka, który starał się kultywować swój liberalizm. Ale ojciec przeżywał wszystko głębiej i intensywniej. Brał narkotyki, pozował do zdjęć policyjnych, odbył podróż do Indii, żeby odnaleźć siebie. Dorastał w epoce bardziej sprzyjającej radykalizmowi. Co więcej, kiedy wpadł w otchłań autodestrukcji, niczego nie udawał. Gdy Paul miał cztery lata, Robbie zniknął na trzy dni i umarł samotnie z przedawkowania w szpitalu Bellevue.

Zielone sukno na stole bilardowym stojącym pod oknem było mocno przetarte po latach używania przez amatorów. Stół do ping-ponga zajmujący drugą stronę pomieszczenia rzadko wykorzystywano zgodnie z przeznaczeniem - tylko wtedy, gdy ktoś przypomniał sobie, żeby przywieźć z lądu piłeczki, które ginęły albo niszczyły się w ciągu kilku dni. Paul pamiętał, że zdarzało mu się grać kauczukowymi albo nawet tenisowymi. Letnie dni ciągnęły się tak długo, że w ten sposób można było się bawić przez całe deszczowe popołudnie. Szczególnie Riley celowała w wymyślanie takich gier. Lubiła tworzyć scenariusze. Niektóre dzieciaki zbyt przywiązywały się do reguł, nawet tych, które nie istniały jeszcze pięć minut wcześniej. Riley, owszem, doceniała zasady, ale zawsze pociągały ją nowe rzeczy.

Na scenie z podartą niebieską kurtyną, na początku każdego lata i na jego koniec, w Labor Day, odbywały się popisy talentów. W którymś roku Paul i Riley wykonali numer magiczny, a w następnym rzut bumerangiem, ale oba źle się skończyły. Później gardzili tymi przedstawieniami, bo w miarę, jak mijały lata, stały się dla dziewczyn okazją, żeby zrobić makijaż, włożyć lśniące stroje z lycry i udawać, że śpiewają kiepskie popowe piosenki. Mając piętnaście czy szesnaście lat, Paul i Riley nie występowali. Nawet nie raczyli chodzić na pokazy. Udawali,

że w ogóle o nich zapomnieli. Słyszeli litościwe brawa albo okrzyki radości, że nareszcie koniec, niosące się aż na plażę. Wtedy oboje mówili: „O, tak”.

W każdy czwartkowy wieczór sala zamieniała się w kino, w którym wyświetlano filmy dla dzieci. Połączenie ciemności, hałasu i tłumu dzieciaków o rozjaśnionych twarzach składało się na atmosferę nieznośnego podniecenia. Paul nie pamiętał akcji żadnego filmu, który tam oglądał, tylko wrażenia. Dorastając, dzieci nadal zbierały się na kinową noc, ale nie zostawały na seans. W tym czasie biegały samopas, korzystając z tego, że rodzice bawią się na hucznych przyjęciach.

W tamte wakacje Paul mieszkał z nianią, podczas gdy jego matka odwiedzała przyjaciół w Europie. Od dwunastego do osiemnastego roku życia każdego lata opiekowała się nim inna gospodyni. Podejrzewał, że matka nie chciała, żeby do którejś za bardzo się przywiązał. Zresztą, Paul i tak spędzał większość czasu w sąsiedztwie.

Na wyspie dzieciaki osiągały niezależność wcześniej niż gdzie indziej. Podobnie jak dla jeleni, główne zagrożenie stanowił dla nich samochód, a ponieważ tutaj aut się nie spotykało, i dzieci, i jeleni było dużo i cieszyły się prawdziwą wolnością. „To jedyne miejsce na świecie, gdzie nie muszę się bać porwaczy”, stwierdziła kiedyś Judy, maniaczka wiadomości telewizyjnych.

- A co z porwaniami przez obcych? - zapytała Riley.

Te ostatnie się zdarzały. Przynajmniej oni tak uważali.

Albo na przykład Rosie Newell. Paul pamiętał tę fatalną noc, kiedy zorganizowała zabawę w kręgu. Projektor był zepsuty trzeci tydzień z rzędu, więc większość małych dzieci poszła do domu. Zostało jakieś piętnaście osób w wieku od jedenastu do czternastu lat. I oczywiście Alice, wtedy dziesięcioletnia. Paul siedział po jednej stronie Riley, Alice po drugiej. Riley miała na sobie podkoszulek, który sami artystycznie ufarbowali poprzedniego roku. Teraz nie wiedzieli, co ich czeka, aż Rosie, otoczona przez świtę żujących gumę dziewczyn z gołymi brzuchami, teatralnym gestem wyjęła zza pleców butelkę. Przezroczystą szklaną butelkę po piwie „Korona”. Paul dobrze to zapamiętał.

- Ja pierwsza - oświadczyła Rosie.

- Co pierwsza? - zapytała Riley, łypiąc na nią podejrzliwie.

- To chyba oczywiste, nie? - powiedziała Rosie, spoglądając na swoje przyjaciółki, Becę Fines i Megan Cooley. Następnie wystąpiła do przodu i zakręciła butelką na podłodze.

- Jeśli dziewczyna trafi na dziewczynę, kręci jeszcze raz - wyjaśniła rzeczowo. - Jeśli chłopak trafi na chłopaka, to samo.

- A Riley? - wtrąciła Becca. Cała grupka zaczęła chichotać.

Paul pamiętał, że patrzył prosto przed siebie, oburzony i zawstydzony. Wolał udawać, że nic nie słyszał. Wolał udawać, że Riley też nie usłyszała. Nie był nawet w stanie odwrócić głowy, żeby na nią spojrzeć. Krew dudniła mu w skroniach.

- Zamknij się, Becca - rzuciła przez zęby Alice.

- Odwal się - odparowała Becca.

Sparalizowany Paul obserwował, jak butelka obraca się coraz wolniej i zatrzymuje.

- Wypadło na Paula - oznajmiła Rosie, choć właściwie butelka wskazywała na Alice.

Riley zerwała się z podłogi. Rosie też wstała, patrząc na niego prowokująco.

- Musi być w usta! - krzyknęła Jessica Loomis.

Te słowa wyrwały Paula z odrętwienia. Pamiętał, że Rosie ruszyła w jego stronę przez środek kręgu. Wtedy on się podniósł i zrobił krok do tyłu.

- Musisz, Paul, taka jest zasada - przypomniała Becca, żując gumę.

- On nie powiedział, że w to gra - odezwała się Riley spokojnym głosem.

- Nie gram - oświadczył Paul. Chciałby mieć choć połowę godności Riley. - To idiotyzm. Chodźmy.

- Tchórz - rzuciła Rosie.

Riley powiodła spojrzeniem po tej części kręgu, gdzie siedzieli jej przyjaciele: Alex, Michael, Jared, Miranda. Paul sądził, że oni też wstaną i pójdą z nimi, ale żadne się nie ruszyło. Większość koleżanek nie lubiła Riley za to, że była przywódczynią i jedyną dziewczyną, z którą chcieli się bawić chłopcy. Z ich strony Paul nie spodziewał się niczego dobrego, ale był zdziwiony zachowaniem pozostałych. Tylko Alice powłokła się za nimi.

Pamiętał, że potem włamali się do sklepu i ukradli trzy batoniki. Najpierw rzucali kamieniami w zatoce i Riley pobiła wszystkie poprzednie rekordy w puszczaniu kaczek. Później pływali w morzu tak wzburzonym, że Alice omal się nie utopiła. Ale nawet te rozrywki nie pozwoliły mu zapomnieć.

Kiedy w niedzielne popołudnie Alice czytała na plaży, podeszła do niej Riley. Opadła na jej ręcznik i położyła się na boku, trąc paluchem łydkę siostry. Alice wiedziała, że ten towarzyski nastrój nie potrwa długo. Riley nigdy nie spędzała czasu nad wodą beczynn timer, chyba że siedziała na krzesełku ratownika. Wciąż pływała, przy odpowiednich warunkach surfowała,

była mistrzynią krótkiej deski. Lubiła siatkówkę, a w dawnych czasach uwielbiała budować zamki z piasku. Nie cierpiała się opalać i nigdy nie czytała książek ani czasopism.

Młodsza siostra była zagorzałą czytelniczką, Riley nie. Alice pamiętała, jak dawno temu siedziała w kuchni ich mieszkania w mieście, naprzeciwko matki, która w tym czasie wykonywała duże zlecenie dla pewnego wydawcy podręczników. Było późne zimowe popołudnie, na małym kuchennym stole leżał stos korekt, a ona miała na nogach grube skarpety.

Od lat mieszkali w apartamencie z dwiema sypialniami przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej Ósmej, między Amsterdam i Columbus, blisko szkoły, w której Ethan uczył historii i trenował zapaśników. Alice poszła do niej zaraz po przedszkolu, Riley też tam chodziła aż do piątej klasy. Była to dobra prywatna szkoła, rodzice płacili połowę chesnego i między innymi dlatego nie śpieszyło się im z przeniesieniem starszej córki do placówki dla dzieci mających trudności z nauką.

Alice pamiętała, że było już po świętach, bo Riley dostała pod choinkę książkę o delfinach. Zostawiła ją na kuchennym blacie, a Alice sięgnęła po nią i zaczęła czytać na głos. Owszem, popisывała się; na szczęście jej mózg nie odwracał liter. Teraz, patrząc wstecz, miała wyrzuty sumienia. W pierwszej klasie już potrafiła czytać podręczniki przeznaczone dla klasy czwartej i piątej. Nie potykała się na trudnych słowach. W końcu matka zauważyła i doceniła jej starania. Alice nie zdawała sobie sprawy, że Riley weszła do kuchni.

Zbliżyła się do niej z wykrzywionymi ustami i wyrwała jej książkę z taką siłą, że Alice osłupiała. „To mój prezent”, rzuciła gniewnie i wymaszerowała z kuchni. Nie umiała radzić sobie z tym, że coś jej się nie udaje.

Teraz przysunęła się do siostry i nachyliła, żeby spojrzeć na tytuł książki.

- *Miasteczko Middlemarch* - przeczytała. - Dobrze?

- Świetne.

- George Eliot to kobieta, prawda?

- Tak.

Miło było mieć przy sobie Riley. Niezależnie od dzielących ich różnic, fizyczna bliskość nigdy nie stanowiła dla nich czegoś niezręcznego czy wymuszonego. Ciało siostry Alice traktowała prawie jak swoje. Odnosiła czasem wrażenie, że kończyny Riley są połączone z jej układem nerwowym, i na odwrót. Gdyby się bardzo skupiła, mogłaby zgiąć kolano siostry. Z dawną czułością położyła głowę na jej ramieniu. Robiła tak, kiedy była mniejsza.

- Chcesz pójść do Ocean Beach? - zapytała Riley. - Dzisiaj są tam zawody w budowaniu zamków z piasku.

- Dzisiaj?

- Widziałam plakat w sklepie. Werdykt o czwartej.

- Pójdę - zdecydowała Alice. Była to jedna z głównych atrakcji wczesnego lata.

Riley zerwała się z ręcznika i wyciągnęła dłonie do Alice.

Razem wznosiły wspaniałe zamki z piasku. W drugich z kolei zawodach wygrały, nie w dziecięcym konkursie, tylko w prawdziwym. Alice do tej pory przechowywała zdjęcie w albumie i wstążkę na drzwiach swojego pokoju w mieście.

Riley miała śmiałe projekty i ambicję. Była utalentowanym architektem i inżynierem. Natomiast Alice dawała od siebie cierpliwość wykonawcy. W skupieniu i sumiennie wypełniała polecenia. „Moja siostra nigdy się nie nudzi”, chwaliła ją Riley przed jednym z sędziów, gdy Alice po raz tysięczny wygładzała ścianę.

Ich zwycięski pałac był budowlanym arcydziełem i odznaczał się prawdziwą fantazją. W przeciwieństwie do innych dużych zamków nie wspierał się na ciężkiej podstawie. Ale jeszcze większy triumf osiągnęły w następnym roku, kiedy Alice skończyła piętnaście lat. Barnacle Tower stanowiła dowolną impresję na temat Chrysler Building. Była tak wysoka, że musiały zrobić podwyższenie z piasku, żeby skonstruować górę. Cała budowla została wykończona skorupkami pąkli, zebranymi przez Riley i pedantycznie ułożonymi przez Alice.

Niestety, ambicja je zgubiła. Zamek imponujący wielkością, pięknem i zdobieniami przyćmił wszystkie pozostałe. Spalony słońcem i rozdrażniony sędzia zdyskwalifikował siostry pod pretekstem, że nie są mieszkankami Ocean Beach. Pierwszą nagrodę dał braciom Pody, którzy zbudowali konwencjonalną średniowieczną fortecę. Najgorsze, że Barnacle Tower została w tajemniczy sposób zburzona, zanim przybył Ethan z aparatem fotograficznym. W ten sposób przetrwała jedynie w ich pamięci, gdzie z czasem stawała się coraz okazalsza.

- Ciekawe, czy Pody wystartują w zawodach - powiedziała Alice, kiedy ruszyły na wschód brzegiem morza.

- Są kiepscy - stwierdziła Riley, truchtając.

Zwykle wybiegała do przodu, zawracała, okrążała Alice, która szła spokojnym równym krokiem.

- Wcale nie.

- Właśnie, że tak - upierała się Riley.

- Pokonali nas.
- niesprawiedliwie.
- Jim Brobard jest kiepski.
- Prawda.
- To on zburzył Barnacle Tower.
- Nie wiem, czy to on.
- A ja wiem.

Alice schyliła się i podniosła muszlę.

- Chcesz ją? - zapytała siostrę.

Miały taki zwyczaj, że na spacerach pomagały sobie nawzajem uzupełniać swoje zbiory. Kolekcja Riley zawsze była łatwiejsza do zgromadzenia, ponieważ składała się z pozostałości najróżniejszych morskich stworzeń: muszli, pazurów, skorupki jaj, czasami kości albo zębów. Kiedyś od kawałka szczęki rekina długo śmierdziało w całym domu. Niesentymalna Riley wyrzucała wszystko pod koniec lata, a z początkiem kolejnego sezonu zaczynała zbierać eksponaty od nowa. Natomiast Alice kolekcjonowała tylko jeden rodzaj okazów: gładkie, półprzezroczyste kamienie o szczególnym różowopomarańczowym zabarwieniu. Szukała ich przez kolejne wakacje i nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby je wyrzucić.

- Nie, dzięki. - Riley wrzuciła ciemnobrązową muszlę do wody.

Już z daleka zobaczyły na plaży tłum ludzi w kostiumach kąpielowych. Do oceny było sześć zamków. Siostry obejrzały każdy okiem znawców.

- To bardziej jaskinia niż zamek - stwierdziła Riley, patrząc na ten, który stał pośrodku.

- Tamten jest dość ładny. Bardzo klasyczny. - Alice pokazała na budowlę wzorowaną na Panteonie.

- Myślę, że zaraz się zawali.

Alice podeszła do wymyślnego zamczyska wzniesionego na samym brzegu.

- Pody wrócili - skomentowała. - Znowu naoglądali się *Władcy pierścieni*.

Riley się roześmiała.

- Który to cię poprosił, żebyś poszła się z nim wykąpać na golasa?

Alice przewróciła oczami.

- Młodszy. - Miał czelność zaprosić ją po incydencie z Barnacle Tower, w dodatku z niebieską wstążką zwycięzcy zawieszoną na szyi.

- Chodźmy. - Alice nie miała ochoty na spotkanie z młodszym Podym. Tamte zawody zostawiły w niej jednak posmak goryczy.

Poszły na molo. Alice ostrożnie stapała po śliskich kamieniach, Riley skakała po nich jak kozica. Usiadły na końcu pomostu, zwieszając nogi nad falami. Lekka mgiełka otulała ich ramiona, zacierała granicę między niebem a wodą.

Później, w drodze do domu, Riley schyliła się po kamień.

- Spójrz, Alice. - Oplukała go w morskiej wodzie i podniosła do słońca.

- Och!

Riley położyła kamień na dłoni siostry.

- Idealny, co?

Alice pokiwała z podnieceniem głową.

- Możliwe, że najlepszy.

Był to przezroczysty kamień o idealnym bladym kolorze różowopomarańczowym, niemal dokładnie kształtu serca. Wyjątkowy okaz w kolekcji Alice.

4

Talent do bycia dzieckiem

Podopieczni Alice niespodziewanie wyjechali z wyspy we wtorek. Powinna wymieść piasek z domu albo nadać na pocztę rzeczy, które matka zostawiła na biurku, ale zamiast tego kupiła sobie w sklepie kanapkę z bekonem i jajkiem. Zjadła ją, siedząc na schodach na szczycie wydmy, tak że nawet Riley nie skarciłaby jej za śmiecenie na plaży. Alice musiała świecić przykładem.

Ze swojego miejsca miała rozległy widok. Widziała grupę ratowników w czerwonych strojach kąpielowych w stylu *Słonecznego Patrolu*. Słuchali prognozy pogody i innych ważnych komunikatów. Ich powaga zawsze trochę drażniła Alice i prawdopodobnie była powodem, dla którego nie została ratownikiem. Nie wspominając o cholernym motylku.

Dokończyła kaloryczną kanapkę i ukucnęła, żeby umyć ręce i twarz w brodziku. Prysznic był zepsuty odkąd Alice pamiętała. I choć mógł już zostać naprawiony, to Alice tego nie wiedziała, bo nigdy więcej nie sprawdziła, czy działa.

Nie zeszła na piasek, tak jak planowała, tylko usadowiła się z powrotem na najwyższym stopniu schodów i oparła brodę na ręce. Od powrotu Paula świat wyglądał jakoś inaczej, jakby się znajdował trochę dalej niż zwykle.

Alice zauważyła, że stojąca pośrodku grupy Riley jest mała. Wiedziała, że jej siostra jest niska - co najmniej cztery cale niższa od niej - ale zwykle tego nie dostrzegała.

Matka twierdziła, że Riley nie urosła z powodu choroby, którą przeszła w wieku niemowlęcym. Alice nie pamiętała jej nazwy, ale w każdym razie siostra omal nie umarła. Niedługo później Judy zaszła w drugą ciążę. Jej zdaniem dysleksji starszej córki również była winna ta sama choroba. Zawsze tak mówiła: „dysleksja Riley”, jakby chodziło o jej rzecz osobistą albo psa. Zdaniem Alice wybielała w ten sposób swoje geny. Może to był kolejny wyraz napięcia między nią a mężem.

Alice zawsze była dumna z twardej i odważnej siostry. Riley nigdy nie przejmowała się takimi babskimi głupstwami, jak cellulit czy zmarszczki. Nigdy się nie śmiała, jeśli uważała, że coś nie jest śmieszne. (Alice tak robiła). Nie bała się wody. Nigdy nie rozpamiętywała długo wyrządzonych jej niesprawiedliwości.

Patrząc teraz na siostrę, Alice czuła dumę, a jednocześnie smutek. Kiedyś Riley była najmłodszym ratownikiem w historii Fire Island, teraz chyba najstarszym. Niewielu dwudziestoczterolatków mogło sobie pozwolić na spędzenie całych wakacji na plaży. Jej koledzy flirtowali i stroszyli piórka, Riley nie brała w tym udziału. Ci nowi najwyraźniej trafili tutaj z innych powodów niż ona. Czy Riley bardziej niż oni nadawała się do tej pracy? A może Alice była za blisko z siostrą, żeby to ocenić?

Uświadomiła sobie, że ma wobec Riley opiekuńcze uczucia, i to odwrócenie sytuacji niezbyt jej się spodobało.

Niektórzy ludzie są obdarzeni talentami, które czynią z nich cudowne dzieci. Na przykład Riley była sprawiedliwa i nieustraszona. Bez wysiłku stała się mistrzynią w jeździe na deskorolce, żeglowaniu, bieganiu, łowieniu ryb. Przez siedem lat z rzędu grała jako miotacz w zwycięskim zespole baseballu. Pierwsza pływała na desce. Szło jej dobrze również w domowych rozrywkach: kartach i grach wideo. Nie uznawała hierarchii... nawet rodzicielskiej. Była jedynym dzieckiem, z którym wszystkie inne chciały się zaprzyjaźnić, ale nigdy nie wykorzystwała swojej władzy w niecnym celu.

Pod jej przywództwem tworzyli własne światy: starożytne cmentarzyska, niewidoczne rafy, doliny, góry, skarby pod wodą i istoty, które czaiły się pod pomostami, zbyt straszne, żeby o nich mówić. Chyba że czasami okazywały się miłe.

Przy niej wszyscy czuli się jak bogowie, ale Alice wiedziała, że tak naprawdę to Riley jest bogiem. Po prostu czasami ustępowała innym miejsca.

Jej wyobraźnia była tak bogata, że Riley nie zadawała sobie trudu rozróżnienia, co jest prawdziwe, a co zmyślane. W miarę, jak dzieci dorastały, chciały wszystko zrozumieć; jej nigdy nie obchodziły szczegóły.

Alice pamiętała pierwszy sezon, w którym Riley poprowadziła swój zespół baseballu do zwycięstwa. W finale turnieju spotkali się z drużyną z Ocean Beach. W dziewiątej rundzie wygrywali jednym punktem, a Ocean Beach miał w składzie najlepszego zawodnika uderzającego, zarozumiałego Briana jakiegoś tam. Ówczesny trener, pan Peterson, ojciec Alex, wziął Riley na bok i udzielił jej rady, jak ma uniknąć bezpośredniego starcia. Riley zrobiła zawziętą minę i pod koniec gry pokonała Briana w trzech rzutach. Po zwycięstwie znieśli ją z boiska. Potem trenerem został Ethan i kierował drużyną przez wiele zwycięskich sezonów, aż po latach zespół się rozwiązał. Ojciec nigdy nie powiedział Riley, żeby szła na łatwiznę.

Alice pamiętała dwie nagrody, które siostra dostała na wieczornej uroczystości. Później, kiedy już kładły się spać, Riley przyszła do jej pokoju z większym trofeum, dla najbardziej wartościowego zawodnika, i oświadczyła: „Możesz go sobie wziąć”. Zachwycona Alice postawiła puchar na półce, obok własnej skromnej kolekcji nagród za udział w zawodach. Pamiętała, że wtedy pomyślała, że oto teraz dokona się transformacja.

Lecz mijały dni, a wielkie trofeum najwyraźniej drwiło sobie ze stojących obok niego, kompletnie pozbawionych znaczenia wyróżnień.

Następnego lata Alice odniosła je do pokoju siostry i ustawiła na środku uginającej się półki. Nic jej nie powiedziała i nie była pewna, czy Riley zauważyła zwrot. Doceniała jej wspaniałomyślność, ale rozumiała, że nie może traktować jak swoich rzeczy, które mają dla jej siostry znaczenie.

W miarę dorastania zmieniała się definicja sukcesu. Podlotki były do tej pory odrzucane przez grupę, ale w wakacje po ósmej klasie nastąpiła ich chwila. Chłopcy zaczęli zwracać uwagę na te, którym urosły piersi i które już malowały usta.

Z czasem zaczęły się liczyć również wyniki w nauce. Do jakiego college'u złożyło się podanie, kto się dostał na studia. Jeszcze później do rozmów coraz częściej wkradał się temat prestiżowych zawodów i pieniądze.

Alice było przykro, że dziecięce talenty zeszły na drugi plan, że co najwyżej mogły pozostać hobby. Niedobrze, że to, co czyniło z Riley supergwiazdę, przestało mieć aż taką wartość, a ją samą dzielił wielki dystans od spraw, które teraz naprawdę się liczyły.

Alice nadal ceniła zdolności siostry i ją uwielbiała, a Riley pozostawała dobrotliwym i niezepsutym idolem, zawsze życzliwym dla młodszej smarkuli. Paul też, na swój sposób, troszczył się o Alice. W zamian ona wkładała całą energię i skromne możliwości w robienie tego, co robili Riley i Paul, kochała to, co oni kochali, odrzucała to, czego nienawidzili. Starła się, jak mogła.

Poczuła się nielojalna wobec Riley, kiedy dużo później uświadomiła sobie, że jej wrodzone zdolności, umiejętność komunikowania się i obserwacji, rozważa, empatia i zamiłowanie do robótek ręcznych bardziej pasują do świata dorosłych.

I jeszcze ten Paul. Miał nie tylko talenty przydające się w dzieciństwie; sprawdził się również w dorosłym życiu. Okazał się zdolnym studentem i wrażliwym pisarzem. Był przystojny, miał zmysł humoru i męski sposób bycia. Do tego mnóstwo pieniędzy i znane nazwisko, choć nie szanował żadnej z tych rzeczy. Zwycięsko maszerował od jednego etapu życia do drugiego, ale sprawiał wrażenie, jakby na żadnym nie czuł się dobrze.

Alice nie podobały się własne przemyślenia, ale siedziała tam i obserwowała siostrę, jakby drażniła bolący ząb. Nie jest miło litować się nad osobą, którą się szanuje. Jeszcze gorsza jest świadomość, że ta osoba nie czuje smutku z powodu swojej sytuacji. Alice nie chciała rozumieć więcej niż Riley. Nie chciała, żeby został zakłócony porządek rzeczy.

Z drugiej strony, odnosiła wrażenie, że ona dryfuje przez życie tak samo jak inni płytcy, przeciętni ludzie, natomiast Riley zawsze pozostaje sobą.

- Zerwał się wiatr i nikt nie wziął *Hobie* - zameldowała Riley z roweru, dogoniwszy Alice, która akurat wracała od Cohenów, gdzie opiekowała się dziećmi.

- Może my powinnyśmy? - odparła Alice.

Nigdy nie była tak dobrym żeglarzem jak Riley, ale uwielbiała ten sport. Miała w swojej sypialni wstążki z czasów, kiedy siostra brała ją ze sobą jako załoganta.

- Wezmę Paula - oznajmiła Riley.

- Zdaje się, że siedzi nad referatem.

Riley obejrzała się i uśmiechnęła.

- A kogo to obchodzi?

Alice właśnie szarpała się z łodzią, kiedy zjawili się oboje, biali rycerze na zardzewiałych rowerach, i od razu w dawnym stylu przejęli dowodzenie. Działali szybko i sprawnie. Zręcznie zepchnęli żaglówkę na wodę.

- Wskakuj! - zawołała Riley.

Alice przykucnęła, kiedy bom zakołysał się gwałtownie. Paul pchnął mocno łódź i razem z Riley wskoczyli na pokład. Morze było wzburzone, więc Alice cieszyła się, że ma na sobie kamizelkę ratunkową. Jej siostra pewnie prędzej włożyłaby spódniczkę z rafii.

- Hej! - wykrzyknęła Alice, gdy ruszyli na otwarte wody i katamaran zaczął nabierać szybkości.

Płynął w mocnym przechyle, więc Alice przywarła do burty, podczas gdy Riley biegała po trampolinie i stawiała żagle, jakby nie podlegała prawu grawitacji. Nawet Paul zszedł jej z drogi i pozwolił robić to, w czym była najlepsza.

- Idealny dzień na spinaker - stwierdziła uszczęśliwiona. Tylko ona chciałaby płynąć jeszcze szybciej.

Sunęli na jednym kadłubie, drugi sterczał wysoko w powietrzu.

- Alice, ty sterujesz! - rozkazała Riley. - Paul, balastuj, dobrze?

Każdy gwałtowny podmuch wiatru groził wywróceniem łodzi. Paul wychylił się za burtę najdalej, jak mógł bez trapezu.

- Ha! - krzyknęła radośnie Riley, kiedy łódź przechyliła się tak bardzo, że bom musnął wodę. Uwielbiała żeglować przy silnym wietrze. Czasami, zdaniem siostry, niepotrzebnie ryzykowała.

- Odpadaj! - wrzasnęła Riley.

Alice na chwilę straciła głowę, tak że kiedy poruszyła sterem, żagiel stracił wiatr i drugi kadłub opadł twardo na wodę. Paula wyrzuciło za burtę.

Alice krzyknęła ze strachu i jednocześnie z emocji. Riley poluzowała żagiel i przytrzymała bom, żeby Paul mógł wdrapać się z powrotem na pokład. Śmiała się. Dla niej żeglowanie było nudne, jeśli nikt nie wpadł do wody. I choć sama nigdy nie popełniała takich błędów, nie złościła się na siostrę.

W przeciwieństwie do Paula.

- Alice! - ryknął, gramoląc się na łódź. - Wiesz, co to znaczy „odpadaj”?

Ruszył wściekły w jej stronę.

- Przepraszam! - wymamrotała Alice, chwiejąc się na brezencie. Próbowwała się przed nim cofnąć, ale dokąd? Dotarła do brzegu trampoliny i złapała się pływaka.

- Już po tobie - rzucił Paul groźnie, otrząsając się z wody. Nigdy nie pływał w zatoce z własnej woli.

- Paul! - krzyknęła Alice ze śmiechem.

On też się roześmiał, kiedy dotknął mokrymi dłońmi jej bioder.

- Przykro mi, dzieciaku.

- Nie! - wrzasnęła Alice. Nienawidziła zachowywać się jak podłotek. - Paul! Nie! - Ze śmiechu aż zabrakło jej tchu. Gdy przycisnął ją do siebie, z jej gardła wyrwał się okrzyk: - Pau-uulllooo!

Riley siedziała ze skrzyżowanymi nogami na krześle, dziesięć stóp nad piaskiem, i patrzyła na wodę. Miała tutaj wygodne miejsce i widok na świat, który lubiła najbardziej. Akurat teraz nikt nie pływał w morzu. Często tak się działo podczas jej dyżurów, a ona nie miała nic przeciwko temu. Kochała wolność, kiedy mogła błądzić myślami po oceanie, nie napotykając żadnych przeszkód aż do samych Azorów. Wczesnym rankiem trafiało się kilku zapalonych pływaków. Zwykle wypływali daleko, ale ona wiedziała, że nic im nie grozi. Czasami zjawiali się surfingowcy, ale nie obserwowała ich z taką uwagą jak tych skaczących przez fale. Znała ich, a oni znali ją. Od czasu do czasu surfowała razem z nimi i wiedziała, że szanują jej umiejętności i odwagę. Woleliby raczej utonąć niż zostać przez nią uratowani.

Od dawna miała nawyk wypatrywania w wodzie delfinów. Z tej plaży widywała je dziesiątki razy i zawsze były to radosne chwile, ale jednocześnie ogarniało ją dziwne uczucie, niespotykane w innych sytuacjach. Było to wrażenie niekompletności, tęsknoty za czymś więcej, za czymś innym, niż miała.

Według ojca, pierwszym słowem, które wypowiedziała jako dziecko, było „skakać”, a drugim „plusk”. Szybko złożyła je razem, gdy zobaczyła delfiny w akwarium na Coney Island. Później wciąż chciała je odwiedzać. Marny i Turk, para na medal, stali się niemal członkami ich rodziny. Riley uwielbiała obserwować, jak skaczą i pływają. W domu wrzucała monety do toalety, żeby usłyszeć plusk. Częściowo to pamiętała, a częściowo знаła z opowieści rodziców. Przez wiele lat, jeśli wszyscy nie spędzali niedzieli na plaży, jeździli do akwarium. Był to zbiornik na wolnym powietrzu i między innymi dlatego go lubiła. „Byłaś nieznośna”, mówiła matka, wspominając jej ciągłe prośby.

Miała w swoim pokoju wyłącznie książki o delfinach, obrazki z delfinami na ścianach, pościel w delfiny. W telewizji oglądała jedynie, wyszukiwane przez ojca, programy dokumentalne o delfinach: butlonosych, pręgobokich, orkach - pływających swobodnie po otwartych morzach, skaczących, pluskających.

Przez lata błagała rodziców, żeby pozwolili jej samej pojechać na Coney Island. Gdy wreszcie dostała pozwolenie w wieku jedenastu lat, od razu wsiadła do kolejki podmiejskiej, dotarła do końcowej stacji i pomaszerowała do akwarium. Marny i Turk tym razem nie robiły żadnych pokazów ani sztuczek, więc tylko patrzyła, jak pływają. Później podziwiała rekiny, płaszczki, wieloryby i narwale. Futrzaste zwierzęta, takie jak wydry morskie, foki i morsy, również lubiła, ale nie działały równie silnie na jej wyobraźnię. Podobnie jak ona, były przywiązane do lądu.

Kiedy zachwycona wolnością obejrzała wszystko, co lubiła, poszła na słynną plażę, niegdyś modne miejsce do spędzania wakacji. Wzdłuż niej biegł drewniany chodnik z barami. W okolicy znajdował się zapuszczony park tematyczny i kilka podupadłych osiedli, ale nadal była to najszersza i najpiękniejsza naturalna plaża na świecie.

Kiedy Riley wyteżyła wzrok, ku swojemu zdumieniu i zachwytowi dostrzegła za linią przyboju stado delfinów, niczym prezent od samej natury. Skakały tak wysoko w powietrze, że było widać wodę i słońce odbijające się od ich grzbietów. Pływały w tę i z powrotem z szybkością i zwinnością, które przyprawiały o łzy wzruszenia. Riley zaczęła się w pewnym momencie zastanawiać, czy wiedzą o swoich pobratymcach uwięzionych w zbiornikach niedaleko stąd. Ciekawiło ją, czy słyszą siebie nawzajem w nocy, kiedy świat cichnie, a ocean jest spokojny. Co delfin żyjący na wolności mógłby powiedzieć temu w niewoli? Czy zrozumiałby jego sytuację?

Później robiło się jej smutno na widok starych przyjaciół zmuszonych do pływania w granicach niedużego akwarium. Gdy zauważyła, że poza pokazami, podczas których dostają nagrody, nie skaczą ani się nie pluskają, żal ścisnął jej serce.

Od tamtej wyprawy chciała oglądać delfiny wyłącznie na swobodzie.

Nie spieszyć się

- Alice! Alice!

Riley szarpała ją za stopę.

- Co?

- Jest plaża, Alice.

- Co...?

- Wstawaj i chodź.

To przygnębiające, jak radykalnie zmieniają się priorytety, kiedy człowiek jest zmęczony. Alice spała tak głęboko, że nie obudziłby jej nawet pożar, gdyby mogła umrzeć bez wielkiego bólu.

- Jesteś pewna? - wymamrotała. Zegar przy łóżku wskazywał 2:21.

- Alice!

- Już dobrze. - Tak, zapomniała, co lubi, kiedy była wykończona, ale na szczęście Riley pamiętała.

Zwlokła się z łóżka, zanim Riley zdążyła ściągnąć ją za nogi.

Poszła za siostrą, drżąc z zimna w samym podkoszulku, bokserkach i skarpetkach. Riley miała na sobie spodnie od piżamy i T-shirt. Alice nauczyła się, że należało jej ustępować, gdy siostra wpadała na jakiś pomysł.

- O, rany! - wyszeptała na widok księżyca odbijającego się w czterech różnych miejscach. - Kiedy?

- Wieczorem, w czasie przyływu - odparła zachwycona Riley.

Tylko jedna plaża była plażą Alice, choć i tak wszystkie były w pewnym sensie plażami Riley.

- Och. - Alice zdjęła skarpety i weszła do kałuży. Piasek był miękki, nie taki, jaki zwykle jest pod stojącą wodą.

- Idę po Paula - oznajmiła Riley i pobiegła w stronę jego domu, zanim siostra zdążyła zaprotestować.

Ona nie przejmowała się, w jakim stanie zobaczy ją Paul. Nigdy nie stroiła się dla niego ani dla nikogo innego. Kiedy morze wyglądało tak jak teraz, nie obchodziło jej, jak ona sama

wygląda, jak śmiesznie sterczą jej włosy. Nie wstydziła się swojego ciała, podczas gdy Alice najchętniej ukrywałaby wszystko.

Usłyszała, że Riley bezceremonialnie bębni do drzwi. Zastanawiała się, czy Paul przypadkiem nie uzna, że są za starzy na takie rzeczy. Jakie to byłoby smutne, gdyby rzeczywiście tak uważał...

W okresie dojrzewania Alice i Paul uwielbiali spać. Riley za tym nie przepadała, podobnie jak za leżakowaniem w przedszkolu. Magiczna plaża, pomarańczowy księżyc, szansa zobaczenia delfina zawsze okazywały się ważniejsze niż sen.

Kiedyś wyciągnęła ją z łóżka o świcie, żeby pokazać jej delfiny. Kiedy Alice w końcu dowlokła się na plażę, nie było śladu po lśniących grzbietach.

- Przepraszam - powiedziała wtedy Riley, dziwnie skruszona.

- W porządku - pocieszyła ją Alice. - Cieszę się, że wstałam wcześniej.

- Chodzi mi o to, że przegapiłaś delfiny - wyjaśniła z całą powagą Riley.

Teraz na plaży pojawił się Paul, w samych bokserkach, zaspany.

- Hej, dzieciaku! To twoja plaża! - zawołał do Alice. Na jego twarzy odmalowała się radość.

Alice siadła w płytkiej sadzawce, otoczona przez blask księżyca w pełni. Gdy zadrzała z chłodu, odbicie pękło na drobne fragmenty, więc znieruchomiała, żeby ponownie zebrać światło wokół siebie.

Paul i Riley usiedli na brzegu kałuży i zanurzyli w niej stopy.

- Jestem w księżycu - wyszeptała rozanielona Alice.

Paul kopnął wodę. Jasne krople trysnęły w górę i spadły na nich deszczem.

- Spójrzcie na ocean - powiedziała Riley.

Atakował brzeg, widocznie rozeźlony tym, że zostawił część siebie na lądzie. Teraz chciał ją odebrać.

- Niedługo zacznie się odpływ - stwierdził Paul.

- Popływajmy - zaproponowała Riley.

Alice właśnie tego się obawiała. Nigdy tak naprawdę nie lubiła pływać nocą w morzu. Nie chciała jednak, żeby oni o tym wiedzieli.

- Chodźmy.

Oczywiście Riley była już w połowie drogi do wody.

Alice czuła się szczęśliwa w swojej sadzawce. Ale kiedy zobaczyła, jak Paul i Riley ściągną podkoszulki i wchodzi do wody, pojawił się dawny strach młodszej siostry, że ją zostawią, jeśli nie da rady ich dogonić. Był silniejszy niż lęk przed rekinami, prądami i innymi tajemnicami nocnego oceanu, choć go nie wykluczał.

Zobaczyła w oddali ich podskakujące na falach głowy. Riley mówiła do Paula coś zabawnego. Alice wstała, żeby pójść za nimi, dręczona obawą, że odpłyną za daleko.

Oni wprowadzali swoje pomysły w życie, a ona zawsze trzymała się blisko nich. Powinna zdjąć koszulkę? Nie wzięła kostiumu kąpielowego ani nawet stanika. Musiałaby pływać w samych majtkach, bo inaczej nie miałyby się w co przebrać po wyjściu z wody. Riley nie przejmowała się takimi drobiazgami, a Paul pewnie i tak nie zwróciłby na nią uwagi, mimo to jedne wątpliwości rodziły następne. Większość mieszkańców wyspy bez skrupowania zrzuciła ubranie i wskakiwała do oceanu, Alice jednak za bardzo się wszystkim przejmowała. Pobiec do domu po kostium? Czy w ogóle znajdzie jakiś suchy? Przypomniała sobie górę rzeczy, które zostawiła na pralce. Ciekawe, czy mama je wyprała?

Paul i Riley pluskali się w spokojnym morzu, z twarzami zwróconymi ku gwiazdom, a ona myślami była w pralni.

„Niektórzy ludzie nie mają w sobie za grosz magii”, powtarzała często Riley.

Alice zdjęła koszulkę i dała nurka do wody. Próbowwała ich dogonić, ale oni już zbliżali się do latarni morskiej. Jej zwykle zgrabne ruchy teraz były nerwowe. Nie łudziła się, że kiedyś opanuje sztukę pływania bez wysiłku. Słyszała szum ciemnego morza, czuła jego bezmiar pod sobą i wokół siebie, i jak jej serce łomocze do rytmu pociągnięć ramionami.

Kierując się ku latarni, wypłynęła daleko poza linię przyboju, ale czuła, że fale ją ściągną z powrotem ku plaży.

Zaczęła mocniej pracować nogami. Oddychała coraz szybciej. Kiedy znowu podniosła wzrok, stwierdziła, że prawie wcale nie posunęła się do przodu. W blasku latarni zobaczyła, że Riley i Paul są już na brzegu. Nie próbowali walczyć z falami w drodze powrotnej, tylko po prostu ruszyli plażą w stronę domu.

Poszła za nimi, starając się uspokoić oddech i zakrywając piersi ramionami. Krzyżyk, który nosiła na szyi, obijał się jej o mostek.

Zauważyła, że w przeciwieństwie do niej siostra ma na sobie coś w rodzaju kostiumu, i poczuła się podwójnie skrupowana. Riley zawsze ubierała się z myślą o pływaniu, natomiast ona nigdy nie była na to przygotowana. Tors Paula był nagi, bokserki przemoczone. Alice

przyjrzała się jego plecom, wdzięcznie ukształtowanym przez naturę i wakacje spędzane na wyścigach pływackich.

Riley, choć niższa od niego o kilka cali, stawiała długie kroki. Ramiona miała szerokie, a biodra wąskie jak chłopiec. W sposobie, w jaki potrząsała mokrymi włosami, nie było nic z kokieterii.

Alice w końcu ich dogoniła, nadal pełna rozterek. Pragnęła, żeby Paul ją zauważył, ale jednocześnie myślała o tym, żeby znaleźć swój podkoszulek i włożyć go najszybciej jak to możliwe. Chciała zanurzyć się po szyję w księżycowej sadzawce i myśleć o Paulu, co sprawiało jej zarówno przyjemność, jak i coś w rodzaju przepelniającego ją bólu.

Dobrze знаła strach przed pozostaniem z tyłu, a zarazem bała się wysforować naprzód.

Alice przyszła następnego dnia, żeby dotrzymać mu towarzystwa, kiedy ślęczał nad pracą dyplomową. Z początku był zaskoczony i niepewny, czego oczekiwać po tej wizycie. W nocy poruszył go jej widok, drżącej w blasku księżyca. W jeszcze większe zakłopotanie wprawiła go własna reakcja. Teraz, rano, czuł się zawstydzony tym wszystkim, co później wyprodukował w związku z nią jego zaspany umysł.

Nagle zaniepokoił się, że Alice przypomni sobie o jego zachowaniu po tym, jak obcięła mu włosy, i omal nie powiedział jej, żeby spadała. Był gotowy odburknąć coś niegrzecznie na pytanie o to, co pisze. Prawie poczuł rozczarowanie, kiedy o nic nie spytała. Zamiast tego ziewnęła jak kot, usiadła na jego niepościelonym łóżku i wyjrzała przez okno na ocean.

- Już nie ma plaży Alice - stwierdziła cicho.

- Nigdy nie trwa długo - powiedział. Zerknęła na niego przez ramię.

- Ale wraca.

- Tak.

Skupił się znowu na swoich notatkach. Albo przynajmniej tak udawał. Myślał o ostatniej nocy na plaży, o Alice z rękami skrzyżowanymi na piersiach. A teraz ona leżała na tym samym łóżku, gdzie niedawno oddawał się marzeniom. To były te same ramiona, te same plecy, ale mniej prowokujące niż wtedy, gdy zakrywał je spłowiejały podkoszulek z brązowej bawełny.

Alice spojrzała na niego. W słońcu wpadającym przez okno wyglądała tak pięknie, że trudno było oderwać od niej wzrok.

- Powinnaś już iść, Alice. Muszę popracować. - Był poirytowany i dało się to słyszeć w jego głosie. „Nie potrafię się skupić, kiedy tu jesteś. Nie mogę zebrać myśli”.

Kiedy wychodziła, miała urażoną minę i szkliste oczy, a on poczuł się winny.

Nawet gdy został sam, nie wrócił do Kanta. Myślał o Alice. Najpiękniejsze w niej były barwy: rudawozłote włosy, zielonożółte oczy, różowawe piegi, czarne rzęsy. „Przychodzi cała w kolorach. Czesze włosy. Jest jak tęcza”. Kiedy była mała i nosił ją na rękach, z przyjemnością na nią patrzył.

Pomyślał o krzyżyku, który nosiła na szyi. Nie pamiętał o nim aż do ostatniej nocy, kiedy ujrzał ją prawie nagą. Teraz ogarnęły go wyrzuty sumienia, bo na widok tego krzyżyka przypomniał sobie, jaka była gorliwa w swojej wierze, a on próbował ją od niej odwieść.

Przypomniał sobie, jak kiedyś u niej nocował. Alice miała osiem lat, a on jedenaście i wtedy często uciekał z domu. Ona nie mogła tej nocy zasnąć, więc wśliznął się do niej pod kołdrę i znalazł różaniec w jej rękach. Z jakiegoś powodu to go rozgniewało i dlatego powiedział jej, że nie ma Boga.

- A jest diabeł? - spytała.

Długo leżeli w milczeniu tak długo, aż Paul w końcu uznał, że Alice dawno zasnęła. Nagle poczuł, że się rusza, i zobaczył, że jej wielkie, lśniące oczy są pełne zadumy.

- A jest Jezus?

Paul zaśmiał się złośliwie.

- Alice, nie ma jednego bez drugiego.

Gdy spoglądał wstecz, to jedno przyprawiało go o wstyd: chwile, niestety liczne, kiedy rozmyślnie był podły wobec Alice. Te wspomnienia uświadamiały mu, że nie jest dobrym człowiekiem. Złościł się na nią z wielu powodów, ale właściwie zawsze chodziło o to samo: że ją pokochał i teraz nie potrafił się uwolnić od tej miłości.

Nie zasłużyła na takie traktowanie, a to oznaczało, że zasługiwała na kogoś lepszego.

W poprzednich latach, kiedy na plaży panował spokój, Riley czasami pozwalała mu usiąść obok siebie w budce ratownika.

Następnego dnia po nocnej kąpieli Paul był bardzo zadowolony, kiedy się przesunęła, żeby zrobić mu miejsce.

- Co z tobą? - rzuciła.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem.

Paul próbował zachować normalny wyraz twarzy, ale to się okazało niełatwe. Czuł napięcie we wszystkich mięśniach. Przy Riley trudno było udawać, ale czasami nie należało również przesadzać ze szczerością.

Czuł się winny wobec Alice, ale wcale nie to najbardziej go dręczyło. Żałował, że nie chodzi jedynie o wyrzuty sumienia, bo wtedy miałby przewagę. A tak tylko udawał.

Jak dziwnie jest kogoś kochać.

Co się z nim działo? Dlaczego nie mógł po prostu o niej zapomnieć? Albo być dla niej miłym? Zbyt długo miotał się między miłością do Alice a karaniem jej za to, że ją kocha.

- Trevor zauważył dzisiaj rekina.

Cóż, jeden powód siedział obok niego, majtając nogami.

- Naprawdę? - zapytał Paul, siląc się na entuzjazm. Rekiny były ich wspólną fascynacją. Nie taką jak delfiny Riley, ale nadal ogromną. - Jakiego?

- Chyba wąsatego.

Paul pokiwał głową.

- Nieduży.

Marzyli o tym, żeby zobaczyć wielkiego rekina. Ale Paul zawsze uciekał przed swoimi marzeniami.

- I nie taki mały.

- Uhm.

Cieszył się, że Riley jest blisko, bo zawsze stanowiła probierz dla niego i dla Alice również. Miała zdrowy rozsądek, także kiedy patrzyło się na świat jej oczami, wszystko wydawało się proste. Była jak magiczne oko. Człowiek wpatrywał się w chaos płaskich, małych kształtów i nagle, niemal cudem, zaczynał widzieć trójwymiarowy obraz. Wystarczyło jednak mrugnąć albo odwrócić wzrok i obraz zniknął.

Riley była, jaka była. Podczas gdy reszta świata zmieniała się wokół niej i pędziła naprzód, ona pozostawała sobą. Paul kiedyś sądził, że też mógłby taki być. Riley odrzucała całe dziedziny życia, które innym wydawały się najważniejsze. Nie zadreślała ludzi, których kochała, nie chciała zagarnąć ich tylko dla siebie. Wystarczało jej to, co ma.

Myślała, że on nadal taki jest. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się zmienił. Cieszył się, że Riley nie potrafi zajrzeć do jego głowy.

- Pamiętasz naszą wyprawę na ryby łodzią Crawforda? - zapytał.

- Którą?

- Pierwszą. Mieliśmy chyba po dwanaście lat, kiedy złapałaś rekina tygrysięgo.

Ożywiła się wyraźnie.

- To był rekin tygrysi?

- Nie pamiętasz?

- Próbuję sobie przypomnieć szczegóły.

- Rzucił się po pokładzie jak szalony. Pamiętasz? Crawford na nas krzyczał. Wkurzył się. Rekin był większy od ciebie.

- I co dalej? - Riley uwielbiała takie historie.

- Znalazłaś pod pokładem młotek i uderzyłaś biednego rekina w bok głowy.

- Poskutkowało?

- Jeszcze jak - odparł Paul. - Nie pamiętasz?

Widział, że nie. To dziwne, że Riley uwielbiała opowieści o swoich dawnych wyczynach, ale nie potrafiła ich sobie przypomnieć. Tyle ich było.

Paul zerknął na jej stopy, na łańcuszek, który nosiła wokół kostki już jako nastolatka. Ten sam kostium kąpielowy. Te same włosy zatknięte za uszy w ten sam sposób co zawsze.

Dla niego epizod z rekinem należał do przeszłości. Owszem, emocjonujący, ale nie do powtórzenia. Łączył się z określonym czasem i uczuciami. Było, minęło. Wiedział jednak, że Riley nie zostawiła go za sobą. Nadal tkwiła w tamtym świecie.

- Powinniśmy znowu ruszyć na wyprawę - stwierdziła. - Crawford nadal organizuje rejsy w morze.

Choć Paul chętnie się zgodził, czuł smutek. Nie chciał tego robić, bo był już innym człowiekiem i tylko udawałby, że zachowuje się jak kiedyś. Bał się ją rozczarować.

I Bóg stworzył Alice

Alice osłupiała, kiedy następnego ranka zobaczyła siostrę w łóżku.

- Co robisz?

- Gardło mnie boli.

Alice usiadła na jej starej kołdrze w dawno wyblakłych kolorach. Nie pamiętała, żeby siostra kiedyś została w domu, gdy na dworze świeciło słońce. Położyła dłoń na jej ramieniu, potem na czole.

- Jesteś cała rozpalona.

- Dzięki.

- Nie mogę uwierzyć, że zostałeś w łóżku.

Riley nie uznawała chorób, zwłaszcza własnych. Pływała w lodowatym wrześniowym oceanie, łapała katar, a następnego dnia robiła to samo.

- Cóż.

Alice zauważyła, że to jedno krótkie słowo wymagało od siostry dużego wysiłku.

- Wzięłaś już coś? Przyniosę ci aspirynę i sok - zaproponowała.

- Sok wystarczy - powiedziała Riley.

Nigdy nie brała leków. Alice podejrzewała, że siostra nie lubi łykać tabletek. Kiedy wróciła z sokiem pomarańczowym, Riley była otulona kołdrą pod samą szyję.

- Ciepło nie jest złe. - Jej piegi były wyraźniejsze niż zwykle. - Mam dużo snów.

- Miłych?

- Różnych. Chyba nie umiałabym policzyć miłych.

- Chcesz, żebym z tobą została? - W podobnej sytuacji ona wolałaby, żeby siostra przy niej posiedziała albo żeby mama zrobiła jej herbatę, ale Riley nigdy nie lubiła, kiedy się z nią cackano.

- Nie trzeba. Dam sobie radę. Do jutra dojdę do siebie.

- Myślisz? Może wezwę doktora Boba?

- Na pewno nie jego.

- A co powiesz na grzanekę?

- Nie, dzięki.

- Płatki?
- Nie.
- Zupa pomidorowa?
- Alice, mogłabyś już sobie pójść?

Kiedy po powrocie od Cohenów Alice zajrzała do pokoju, Riley nie było w łóżku. Poczuli ulgę. Jej siostra z pewnością siedziała teraz na krzeselku ratownika, więc Alice poszła do domu sąsiadów.

- Halo?
- Wejdz na górę - usłyszała okrzyk z sypialni.

Paul siedział przy biurku zarzuconym notatkami; laptop był wyłączony. Alice zauważyła, że zostawiła mu jeden kosmyk włosów za długi, ale nie zaproponowała, że go przytnie.

- Miałbyś ochotę przejść się do latarni? - spytała. Paul pokręcił głową.
- A co powiesz na kanapkę z salami?
- Kuszący pomysł, ale nie. Muszę to skończyć.

Alice czasami odnosiła wrażenie, że narzuca się ludziom, proponując im różne rzeczy.

- Na której jesteś stronie?
- Zeszłej nocy na siódmej. Teraz na trzeciej.
- Chyba przesuwasz się w niewłaściwym kierunku.
- Skasowałem tamte, bo były złe.
- W takim razie żadnych kanapek.
- Przyniesiesz mi jedną? Spojrzała na niego urażona.
- Dobrze - rzucił Paul pośpiesznie. - Mniejsza o to.

Alice wyjrzała przez okno na szarą wodę i dostrzegła na plaży postać owiniętą w koc. Po chwili zauważyła, że to nie koc, tylko wyblakła kołdra Riley, a tą samotną osobą jest jej siostra.

Po wyjściu od Paula ruszyła na plażę. Kiedy zobaczyła, że Riley leży na wydmie zwinięta w kłębek, twarzą w kierunku wody, ale oczy ma zamknięte, w pierwszej chwili się przestraszyła. Po chwili siostra otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niej.

- Jak się czujesz? - zapytała Alice.
- Dobrze. - Riley usiadła i ciaśniej otuliła się kołdrą.

Alice widziała po jej oczach i policzkach, że nadal ma gorączkę.

- Na pewno? Riley się rozejrzała.
- Te sny są miłe.

- Jak ci się podoba Kalifornia, Paul? - spytała ze szczerym zainteresowaniem Judy.

Alice, która akurat kroїła pomidory na tradycyjną sobotnią sałatkę, zrobiło się trochę żal Paula.

- Opuściłem ją.

- Na dobre?

- Chyba tak.

- Naprawdę?

- Tak sędę.

Ceną za dzisiejszą kolację była rodzicielska inkwizycja, ale Alice nawet to cieszyło. Niektórych pytań sama nigdy by nie zadała, a chętnie usłyszałaby na nie odpowiedzi. W szkole średniej mimo ciekawości też nigdy nie podpytywała koleżanek i kolegów, na jaką uczelnię złożyli papiery. Teraz miała lekkie wyrzuty sumienia, że niewdzięczne zadanie zrzuca na matkę.

- Riley wspomniała, że pracowałeś na farmie. Paul uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Na wielu farmach.

- Tak?

- Pracowałem nad pewną sprawą w związku z referendum stanowym, ale w końcu nie doszło do głosowania.

- Przykro mi to słyszeć. Naprawdę cenimy twój idealizm, wiesz? - Matka pokazała w uśmiechu pomazane szminką zęby.

Alice się skrzywiła.

- Tak, no cóż.

- Przypominasz mi swojego ojca - odezwał się Ethan. - W pozytywnym sensie.

Paul zachował nieprzeniknioną minę.

- Tak. Zdaje się, że on też był specjalistą od porażek politycznych.

Alice dostrzegła grę emocji na twarzy ojca. Odczuwał szczerzy żal z powodu śmierci Robbiego i kochał Paula. Choć Riley czasami żartowała, że to ona jest synem, którego nigdy nie miał, to tak naprawdę tę rolę przejął Paul. Natomiast on sam od dłuższego czasu traktował Ethana bardzo chłodno.

A kiedyś go uwielbiał. Przyczepił się do niego jak rzep, naśladował jego gesty, powtarzał opinie. Później raptem się od niego odsunął. Alice nie potrafiła dokładnie określić momentu,

ale przypisywała zachowanie Paula młodzieńczej przekorze. Uznała je za kolejny przejaw jego wiecznej buntowniczości.

I aż do tej pory traktował Ethana z dystansem. Alice zastanawiała się, dlaczego. Teraz przeniosła wzrok z jednego na drugiego.

- Nie wiesz, czy Riley przyjdzie na kolację? - zapytała Judy.

Alice pobiegła do pokoju siostry i znów zastała ją w łóżku. Riley miała na kolanach otwarty laptop. Często miała dziwny rozkład dnia i lubiła znikać, kiedy w domu byli rodzice. Oczywiście nie przyznała się matce, że jest chora.

- Zjesz z nami? - zapytała.

- Nie.

- Jak się czujesz?

- Dobrze - odparła Riley, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

Alice wróciła do kuchni i rozejrzała się, starając się ujrzeć ją oczami Paula. Gdy był w pobliżu, jej perspektywa się zmieniała, ale sama nie wiedziała, czy na lepsze ani czy ostrość spojrzenia koniecznie musi oznaczać poprawę.

Nikt nie miał swojego miejsca przy okrągłym stole z drewna o ciepłym kolorze, tak podrapanym i pełnym białych kółek po gorących naczyńkach, że zniszczenia stały się niemal fakturą blatu. Krzesła, kopie windsorów, pochodziły z wyprzedaży u Macy'ego sprzed co najmniej dziesięciu lat. Alice pamiętała tamtą wyprawę na zakupy, bieganie po wielkim magazynie przy Trzydziestej Czwartej, oglądanie gotowych, urządzonych pokojów z atrapami telewizorów i sztucznymi roślinami. W jednym usiadła na kanapie, w innym wyciągnęła się na łóżku, próbując innego życia. Bawiło ją, że tak różne pomieszczenia znajdują się wszystkie w jednej gigantycznej hali i nie trzeba ścian, żeby podzielić przestrzeń. Nie przypominała sobie, żeby jej rodzina kiedykolwiek później kupowała meble.

Duże okno nad zlewem wychodziło na tyły rezydencji Paula i na trzciny. Szafki i blaty były wykonane z szorstkiego białego laminatu, miejscami tak wypaczonego, że od spodu prześwitywała napęczniała miazga drzewna. Alice wiedziała, że jej matka marzy o lśniących meblach i urządzeniach z nierdzewnej stali, takich jak u znajomych. Lecz ojciec zawsze powtarzał: „Judy, to tylko letnisko”, jakby to był powód, żeby ich dom wyglądał tak skromnie.

Ludzie z wielkim zapalem racjonalizują własne wybory, nawet jeśli sami ich nie dokonali. Ojciec uciekał się do retorycznych środków, żeby przekonać rodzinę do idei prostego

domu na plaży i zapobiec rozrzutności. Alice była ciekawa, czy zmieniłby zdanie, gdyby dostał milion dolarów.

Paula cechowała taka sama postawa, ale on przypuszczalnie miał milion dolarów. Z tym że on trzymał się swoich zasad, podczas gdy Ethan kierował się uczuciami. Wspólna dla nich obu była duma.

Dacza została zbudowana w latach siedemdziesiątych jak najniższym kosztem. Zamiast drogich materiałów wybrano drewno gorszego gatunku, paskudne linoleum, najtańsze wyposażenie. Gałki u drzwi niemal zostawały w dłoniach, aluminiowe okna wyglądały tandennie. Alice często zastanawiała się na głos, czy budowniczy celowo postawił na brzydotę, ale Riley nie chciała słyszeć złego słowa na temat ulubionego domu. I choć Alice oceniała go surowo, również kochała to miejsce i zawsze za nim tęskniła.

Na górze znajdowały się trzy małe sypialnie i jedna maleńka na dole. Pokój na parterze służył jako ciemnia, pracownia malarska, studio nagrań, a przez jakiś czas warsztat tkacki, zależnie od zmieniających się hobby i złudzeń ojca, przy czym te ostatnie wymagały bardziej radykalnych przeróbek i droższego sprzętu niż kolejne pasje. W pomieszczeniu zachowały się ślady ich wszystkich, a ponadto plastikowa skrzynia pełna hantli. Teraz był tutaj magazynek i archiwum.

Alice podejrzewała, że gdyby to ojciec jej matki umarł wiosną 1981 i zapisał im sto tysięcy dolarów, klitka byłaby pokojem gościnnym, świetlicą, albo co najwyżej gabinetem do jej prywatnego użytku. Ethan nie zarabiał dużo jako nauczyciel i trener w szkole prywatnej, ale jego ojciec był wziętym prawnikiem. I choć dziadek Joseph okazał się hazardzistą grającym na wyścigach konnych, zostawił im spadek, dzięki któremu kupili ten dom, a przy okazji wstęp do świata bogaczy, do którego inaczej by nie weszli.

Jedynym luksusem był obsypany pomarańczowymi kwiatami milin amerykański, który porastał altankę i płot, przyciągając kolibry. Dla domowników wielką zagadką stanowiło to, że pomidory w donicach żółkły, barwinek gnił, bazylia więdła, niszczało wszystko, co sami zasadzili, natomiast wybujało to, co wyrosło przypadkiem.

Czasami pnącze stawało się tak gęste, że niemal przygniatało płot. Wtedy Alice i ojciec brali wielkie nożyce i odpierali obciążenie. Lecz kwiaty zawsze odrastały, jeszcze liczniejsze i bardziej dorodne. Niczym tłumione pragnienia.

Wszystkie okna na piętrze od strony południowej, łącznie z dwoma w jej sypialni, wychodziły prosto na trzypiętrową, rodową siedzibę Paula krytą gontem. Kontemplując jej platoń-

skie piękno, szczególnie w porównaniu z wyjątkową brzydotą ich domku, Alice myślała o Tołstoj. Ściany rezydencji stanowiły część krajobrazu, ale w środku prawie jej nie znała. Była dla niej bardziej ideą niż realnym miejscem. W nocy okna pozostawały ciemne, więc nie mogła zajrzeć do środka. Na tysiące godzin, które Paul spędził u nich, ona spędziła u niego tylko jedną. Pusty dom patrzył na ocean, a oni na niego.

Można by sądzić, że został zbudowany później niż ich; wyspiarze zawsze walczyli ze sobą o widok. W rzeczywistości stał tutaj od lat dwudziestych, choć po huraganie w 1938 roku musiano go rozebrać i wznieść na nowo. Budowniczy ich skromnego domku postanowił ukryć go w cieniu większego i solidniejszego. Alice uważała to za kolejny dowód jego kiepskiej samooceny.

- No więc, Paul, co planujesz robić jesienią? - Judy wznowiła przesłuchanie przy kotle-
tach wieprzowych, przyrządzonych na grillu przez Ethana i twardych jak kamień.

Paul nie cisnął talerzem o podłogę ani nie zasugerował gospodyni, żeby zostawiła go w spokoju. Zawsze miał do niej większą cierpliwość niż jej własne córki.

- Latem muszę skończyć ostatni rok Berkeley, a potem zamierzam rozpocząć studia ma-
gisterskie na wydziale filozofii i nauk politycznych.

Judy pokiwała głową z wyraźną aprobatą. Zawsze wiązała z Paulem duże nadzieje.

- Na jakiej uczelni? - spytał Ethan niedbałym tonem.

Alice przenosiła wzrok z jednego na drugiego, jakby rozgrywali mecz tenisa. To był ra-
czej kanadyjski debel, a ona stwierdziła, że kibicuje osamotnionemu mężczyźnie.

- Mam wstępną zgodę z Uniwersytetu Nowojorskiego. Przeniósł się tam jeden z moich
profesorów z Calu i przychylnie spojrzął na moje podanie.

Alice chciała się odezwać, ale matka ją uprzedziła.

- To cudownie! - wykrzyknęła. - Ty i Alice będziecie mogli często się widywać. - Z du-
mą popatrzyła na córkę. - Tylko że Alice zapewne będzie miała napięty plan. Wiesz, jaki jest
pierwszy rok na wydziale prawa.

- Idziesz na prawo? - Paul wyciągnął ją z domu zaraz po kolacji i teraz szli przed siebie
drewnianym chodnikiem.

Alice zaniemówiła. Bezpośredniość i natarczywość pytania zaskoczyły ją kompletnie.
Temat wykraczał poza zwykłe granice ich rozmów.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - naciskał Paul. Dlaczego mu nie powiedziała? A
dlaczego nie zapytał?

Odkąd to miała opowiadać mu o swoim życiu albo interesować się jego sprawami?

- Paul! - zaprotestowała słabo.

- Prawo? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak. Co w tym złego?

Potrząsnął głową, jakby w tym było tak dużo złego, że nawet szkoda mówić. Szli na plażę, ale raptem zawrócił i ruszył w stronę osady. Takiej rozmowy nie można prowadzić na uświęconej ziemi.

- Zamierzasz zostać prawnikiem?

- Mówisz, jakbym chciała zostać rabusiem.

- Wolałbym, żebyś rabowała banki. - Mięśnie jego szczęki napięły się, brwi ściągnęły. Ta groźna mina odstraszyłaby większość ludzi. - Mnóstwo osób idzie na prawo i nie zostaje prawnikami.

- Co za bzdury! - wybuchnęła Alice. - Naprawdę to powiedziałeś?

Odwróciła się i pomaszerowała w drugą stronę. Nie pozwoli dłużej tak się traktować. Paul dogonił ją w dwóch krokach i chwycił za rękę.

- Alice, zaczekaj. Przepraszam.

Czuła ucisk w piersi. Żałowała, że nic nie może na to poradzić. Dlaczego w ogóle obchodzi ją jej studia? Dlaczego nagle zaczął układać jej życie? A skoro naprawdę mu na niej zależy, dlaczego zostawił ją na tak długo?

- Tysiące ludzi studiuje prawo. To normalna rzecz - powiedziała.

- Ale nie dla ciebie.

- Dlaczego?

- Dlatego!

Jego dezaprobatą sprawiła, że Alice poczuła łzy pod powiekami. Przygryzła policzek, żeby się nie rozplakać. Najgorsze było to, że już sobie wyobrażała, jakie wrażenie na nim zrobi, kiedy zdradzi mu nowinę. Zawsze chciała, żeby uważał ją za bystrą. Teraz zrobiło się jej głupio.

- Ty nie jesteś całkiem normalna.

- Dzięki.

- Chodzi mi o to, że nie jesteś taka jak inni. Dlaczego miałabyś w ten sposób się marnować?

- Marnować? - Alice popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Wiesz, jak trudno się dostać na dobry wydział prawa? Nie masz pojęcia, jak ciężko pracowałam.

- Masz rację. Nie wiem.

Nadal trzymał ją za rękę, ale trochę za mocno. Minęli pocztę i ratusz. Paul myślał, że Alice zaraz go zostawi i sobie pójdzie.

- A jeśli chcę coś osiągnąć? Jeśli chcę zarabiać pieniądze?

- To są pierdoły. - Nawet kiedy starał się być miły, był podły.

Wyrwała rękę z jego uścisku.

- Może dla ciebie. Ale inni naprawdę potrzebują pieniędzy. Lubilibyś je bardziej, gdybyś miał ich mniej.

- Zgodziłbym się na mniej i na pewno nie lubiłbym ich bardziej. - Szedł teraz za nią nadbrzeżną promenadą w stronę przystani promowej.

- Posłuchaj - rzuciła Alice przez ramię, idąc szybkim krokiem - nie wszyscy prawnicy to faceci, którzy pracują dla twoich dziadków, wypisują czeki i nękają twoją matkę.

Paul milczał przez chwilę.

- Wiem. Wiem również, że ty nie będziesz kimś takim. Alice pokiwała głową. Zbyt wiele od niego nie uzyskała. - Ale będą próbowali cię wessać. Sama o tym wiesz.

Zaczniesz nosić kostiumy i drogie buty. Nie ujdiesz z życiem.

- Paul!

- Mówię poważnie. Dadzą ci pieniądze, żebyś walczyła z ludźmi. Przestaniesz ufać innym i wciąż będziesz się zastanawiać, co może pójść źle. A przecież jesteś z natury optymistką. Ten ciężar cię przytłoczy.

- Nie - powiedziała obronnym tonem. - Nie jestem aż taka krucha.

Paul znowu chwycił ją za rękę i zatrzymał.

- Wszystko co piękne jest kruche.

Alice opuściła wzrok na swoje stopy. Próbowwała mruganiem odpędzić łzy, zanim na niego spojrzy.

- Chcesz połowić kraby? - zapytała w końcu.

Podeszła do latarni stojącej przy nabrzeżu i wskazała miejsce, gdzie pod wodą roiło się od skorupiaków. Głupie stworzenia tak lubiły światło, że łatwo było je łapać w nocy.

- Dobrze - powiedział Paul. Alice widziała, że się waha, nie chce przerywać rozmowy, choć jest wymuszona i dziwna.

Na jego twarzy odmalowała się ulga, że wracają do zwyczajnego świata. - Zostawiłem podbierak u ciebie.

- Trzy lata temu?

- Tak. Pójdę po Riley.

- Nie. Cały dzień miała gorączkę. Powinniśmy zostawić ją w spokoju.

Alice miała swoje fioletowe wiaderko. I opalone nogi. Paul obserwował, jak trzyma się latarni jedną ręką i wisi nad wodą, gotowa zarzucić sieć... jego podbierak. A biedne, głupie kraby łąziły w kubelku.

Co mógł jej powiedzieć?

Że w nią wierzy? Że jest wyjątkowa i nie powinna tego niszczyć? Że zna ją od dnia, kiedy się urodziła, i pokłada w niej nadzieję? Była jego awatarem, aniołem. Zdawał sobie jednak sprawę, że prosi o zbyt wiele.

- One kojarzą się w pary na całe życie - odezwał się cicho, wskazując na wiaderko.

- Mówisz o homarach - poprawiła go Alice. Miała nadzwyczajny słuch. Zawsze wylapywała wszystko, co mówił. - Jesteś mięczakiem.

Rzeczywiście był mięczakiem. Riley patroszyła rybę i zapominała potem umyć ręce. Alice potrafiła gołą piętą zmiażdżyć rybaka. On wstydził się tego, że nie lubi zabijać żywych stworzeń.

- Nigdy więcej nie zjem krabowych kotletów Ethana - zapowiedział. - Hej, tam jest jeszcze jeden! - Udawał, że pomaga jej w łowieniu, ale tak naprawdę nie miał do tego serca.

- Za mały.

Było mu żal krabów, ale nagle poczuł się szczęśliwy. Siedział na pomoście, zwieszając nogi nad spokojnymi wodami zatoki. Obok stała Alice, z drapieżnym wyrazem twarzy, i omiatała dno jarzącymi się w ciemności złotymi oczami. Byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby nadal łowiła kraby, ale żadnego więcej nie złapała. Nic dziwnego, że nie potrafił lepiej ułożyć sobie życia.

- Więc wracasz do Nowego Jorku - rzucił.

Teraz, kiedy zburzył mur dzielący go od drugiej części jej życia, bał się za niego zajrzeć. Wkrótce będzie musiał załatać wyrwę.

- Tak. Widziałeś tamtego? Jest ogromny.

- Wiesz już, gdzie będziesz mieszkać? Łypnęła na niego z ukosa.

- Moi znajomi ze szkoły średniej wynajmują mieszkanie na Greenpoincie. Mają wolny pokój.

- Jacy znajomi? - Na tym gruncie czuł się swobodniej. Lubił ją sobie wyobrażać w różnych sytuacjach poza wyspą. Ciekawe, czy nosiła wtedy buty?

- Olivia Baskin i Jonathan Dwyer. Nie znasz ich.

To prawda, że nie znał Jonathana, ale i tak go nienawidził. W napadzie hipokryzji nie mógł znieść samej myśli, że jakiś facet uważa się za jej bliskiego kolegę i zamierza z nią mieszkać. To wydawało się niewłaściwe. Ale ile nocy on sam dzielił pokój z Alice? Z jakim przekonaniem i uporem twierdził, że jest jej przyjacielem, choć czuł to, co czuł? Może dlatego nigdy nie rozmawiali o swoim drugim życiu?

Czy mógł jej powiedzieć, żeby nie szła na prawo i nie mieszkała z Jonathanem? Nie mieściło mu się w głowie, że ona robi takie rzeczy, a on jest blisko i o wszystkim wie. Może lepiej byłoby mu w Kalifornii?

Kiedyś śnił, że jego dusza przybrała kształt księżyca w miniaturze; Alice uniosła głowę i wystawiła język jak do przyjęcia komunii, a on zobaczył swoje odbicie w jej oczach.

W końcu chyba zmęczyła ją wojna z krabami, bo opuściła rękę z podbierakiem. Spojrzała na niego, niepewna jak się zachować.

- A ty gdzie będziesz mieszkał?

Cóż, gdy się zadaje pytania, trzeba też na jakieś opowiedzieć.

- Żeby oficjalnie dostać się na studia magisterskie, muszę wcześniej ukończyć licencjat. Na NYU przywiązują wagę do takich rzeczy.

- To ta praca, którą piszesz.

- Tak.

Alice odłożyła podbierak i usiadła obok Paula na pomoście.

- A potem... chyba coś sobie znajdę. Może na Brooklynie.

Aż do tej chwili nie myślał o Brooklynie. W ogóle nie zastanawiał się nad tym, gdzie będzie mieszkał.

Zapach krabów dolatujący z wiaderka oszukiwał jego podświadomość, że czas stoi w miejscu i nic się nie zmieniło. Ale siedząca obok niego dziewczyna, z własnymi planami i celami, nie była taka sama. Ich rozmowa brzmiała inaczej niż kiedyś. Paul miał wrażenie, jakby jednocześnie przeżywał przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Alice zajrzała do wiaderka, a potem podniosła się i stanęła na samym brzegu pomostu. Sięgnęła po kubek i wysypała całą zdobycz do wody. Kraby natychmiast wróciły w krąg światła latarni.

7

Czerwone, czerwone wino

Alice miała osiem lat, kiedy się dowiedziała, że ojciec ma romans. Usłyszała to od matki. Zrozumiała sens jej słów dopiero kilka lat później, kiedy przygoda miłosna prawdopodobnie była już dawno zakończona. A jeśli się nie skończyła albo zaczęła następna, matka jej o tym nie powiedziała.

To była jedna z tych rzeczy, które robią dorośli. Nie napełniła Alice słusznym oburzeniem ani gniewem. Kiedy dziecko dowiaduje się o pewnych sprawach, po prostu przyjmuje je do wiadomości i żyje dalej.

Lecz pewien drobiazg szczególnie utkwił jej w pamięci. Fakt, że kobieta, z którą ojciec miał romans, mieszkała na wyspie, w ich wiosce. „Pod moim nosem”, tak wyraziła się matka. Alice nie wiedziała jednak, o kogo chodzi. I choć wcale nie chciała poznać prawdy, często przyłapywała się na tym, że jednak próbuje odkryć tajemnicę.

Nawet wiele lat później, w chwilach takich jak ta, kiedy siedziała przed sklepem w niedzielne poranki i obserwowała strumień ludzi wylewających się na zewnątrz z kawą, gazetami, bajglami, pączkami. Przyglądała się wtedy każdej kobiecie. „To ty?” - zastanawiała się, machając do Cory Furey ubranej w spodenki do biegania. „A może ty?” - milcząco pytała panią Toyer, która czytała „Wall Street Journal”; teraz była dość pomarszczona, ale wiele lat temu mogła uchodzić za pociągającą. Alice brała pod uwagę Sue Crosby, która właśnie parkowała rower. Ale to nie mogła być ona, Ethan mówił o niej „ta duża kobieta”.

Czy to był ktoś, kogo dobrze znała? Na przykład pani Cooley? Na tę myśl aż się wzdrygnęła. Czy też ktoś, kogo znała ledwo albo wcale? Jak ta pani, która wyrabiała cygańską biżuterię i sprzedawała ją w swoim domu przy Mango Walk? Nosila różowe, przezroczyste stroje, a idąc na spacer, pobrzękiwała bransoletami. Niestety, należała do tego rodzaju podrabianych egzotycznych piękności, którymi Ethan prawdopodobnie by się zainteresował.

Czasami Alice próbowała ocenić, czy niektóre kobiety nie patrzą na nią z poczuciem winy, jak na skrzywdzoną córkę kochanka. A może jej unikały? Były trochę zdenerwowane w jej obecności? Alice zachowywała się jak detektyw amator, ale w rzeczywistości wcale nie zależało jej na rozwikłaniu zagadki. Po prostu znalazła sobie osobliwą rozrywkę.

Niedługo po tym, jak się dowiedziała o romansie, próbowała porozmawiać o nim z Riley.

- Wiedziałaś o tacie? - zapytała ją pewnej nocy, kiedy siostra już leżała w łóżku.

Riley pokiwała głową.

- Myślisz, że mama i tata się rozwiodą? - drażyla Alice. Siostra wzruszyła ramionami.

Wyglądała na zmartwioną.

- Co mama ci powiedziała?

- Że starają się przez to przejść.

- A tata?

- Wściekł się, że mama mi powiedziała. Oczywiście, rodzice się nie rozwiedli. Ale nie zapomnieli o zdradzie. Matka pozostawała w stanie wiecznej urazy, ojciec ciągłej skruchy. Prawdę mówiąc, Ethan miał skłonność do zadreczania się wyrzutami sumienia, a Judy do obrażania się, więc obojgu taka sytuacja odpowiadała.

Riley odwróciła się do ściany i umilkła na dobre.

Oboje rodzice mieli swoje teorie na temat wychowania dzieci. Matka lubiła zarówno gromadzić informacje, jak i dzielić się nimi, także Alice była na zmianę narratorem i słuchaczem. Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Gdy skończyła piątą klasę, ojciec zaczął prowadzić w szóstych klasach lekcje o dojrzewaniu. Ona na szczęście trafiła na innego nauczyciela, ale nadal uważała całą sprawę za okropną i krępującą. Dopiero później stwierdziła, że to całkiem zabawne. Zdawała sobie sprawę, jak niewiele ojciec wie o potrzebach dzieci w jej wieku. I on miał być autorytetem? Starala się jednak nie wyciągać wniosków na podstawie własnego skromnego doświadczenia i wewnętrznego przekonania.

W przeciwieństwie do Paula nie była skłonna wątpić w rzeczy, w które powinna wierzyć.

Alice wstała z ławy, przeciągnęła się i poszła do sklepu po kolejną kawę. Kiedy wróciła do piknikowego stołu, pojawił się ojciec, jakby wezwała go myślą. Miał na sobie swoje zwykłe, za krótkie spodenki do biegania uszyte z miękkiej tkaniny. Niektórzy twierdzą, że każdy człowiek ma swój naturalny, najlepszy wiek, a Alice uważała, że to samo dotyczy mody. Pod tym względem jej ojciec zatrzymał się na latach siedemdziesiątych.

- Hej, Allie! - zawołał, robiąc na płocie ćwiczenia rozciągające łydki.

W soboty i niedziele biegał po wyspie, pozdrawiając znajomych, a na koniec ceremonialnie wskakiwał do morza. Za każdym razem pokonywał tę samą pętlę, ani szybciej, ani wolniej, dłużej czy krócej, w kontraście do Judy, której zależało przede wszystkim na postępach.

Utrzymywał opaleniznę przez cały rok. Kiedyś Alice pomyślała, że ojciec na pewno chodzi do solarium, ale nigdy go na tym nie przyłapała. „To beta-karoten”, wyjaśnił jej dość enigmatycznie, kiedy zauważył, że idzie za nim Columbus Avenue. Droczył się z nią potem przez kilka miesięcy, a na gwiazdkę kupił jej karnet do Portofino Sun. Miał swoje sposoby, żeby rozśmieszyć człowieka i odwrócić sytuację na swoją korzyść.

- Twój ojciec świetnie się bawi - powtarzała matka.

Dopóki Alice nie dowiedziała się o romansie, nie rozumiała co w tym złego.

W poniedziałek rano Alice siedziała w poczekalni doktora Boba. Zmusiła Riley, żeby poszła do lekarza, kiedy zobaczyła, że siostra po raz drugi z rzędu opuszcza dyżur na wieżycze ratownika. Niestety, nie mogła na siłę wejść razem z nią do gabinetu.

- Zapalenie gardła - oznajmiła Riley, machając receptą.

- Miałaś to już wcześniej, prawda?

- Jak wszyscy.

- Będziesz musiała łykać tabletki.

- Tak mówi doktor Bob.

- Poprosiłaś o takie do ssania?

- Zabawne - burknęła Riley, ale Alice widziała, że siostra nie ma dość sił na kłótnię.

- Odbiorę je z promu. Wracaj do łóżka.

- Dobrze, mamusiu.

Alice poczuła się urażona, ale nie dlatego, że słowa siostry były złośliwe. Obawiała się raczej, że to prawda. Chciała być taka jak Riley, a bardziej przypominała Judy.

- Przepraszam - bąknęła Riley.

Nie potrzebowała dwóch matek. Miała dość troskliwości jednej. Alice próbowała przekłnąć urazę. Riley nigdy nie była zawzięta. Jej gniew wybuchał i gasł. Chwilę potem już o nim nie pamiętała.

- Będę wdzięczna, jeśli je odbierzesz - powiedziała Riley uprzejmie.

- Dobrze. O dziesiątej pięćdziesiąt?

Alice cierpliwie czekała na przystani, ale miała ponury nastrój. Dwie noce wcześniej Paul uniósł kurtynę oddzielającą dwa światy, a ona poczuła świeży podmuch, który przynosił

nieoczekiwane emocje. Sądziła, że z powrotem opuścili zaskonę, ale teraz już nie była tego pewna. Wiatr nadal wiał, a ona stwierdziła, że wszystko jej się miesza. Paul z Nowym Jorkiem. Nowy Jork z wyspą. Przeszłość z przyszłością.

Próbowała otrząsnąć się z tego stanu, robiąc to, co zwykle robiła bez Paula. Poprzedniego dnia wybrała się z grupką znajomych do The Out w Kismet i dzielnie flirtowała z Michałem Huntem, ale tak naprawdę była tam nieobecna duchem.

Mimo jej wysiłków osobliwy nastrój się utrzymywał. Odnosiła wrażenie, że tak naprawdę wcale nie ma jej na nabrzeżu. Otaczali ją ludzie, ale wydawało się jej, że jest niewidzialna. Co gorsza, nie wiedzieć dlaczego czuła się z tego powodu winna.

Następnego wieczoru w klubie jachtowym zjawił się Paul. Jego dorosła twarz była dziwnie obca w tym miejscu rozjaśnionym karmelowym światłem, wyłożonym sosnową boazerią, ozdobionym żeglarskimi akcesoriami. Nie usiadł przy żadnym z jej stolików, tylko przy barze, tak że mijala go za każdym razem, gdy szła do kuchni, co dawało mu okazję do uwag na temat jej marynarskiej czapki.

Znała Paula za długo, żeby się przy nim denerwować, ale mimo wszystko jego obecność budziła w niej pewien niepokój. Może chodziło o to, że pił czerwone wino. Może o to, że Riley nadal leżała chora w łóżku. Albo o to, że wychylał kieliszek za kieliszkiem i jadł tylko krakersy i popcorn z miseczek stojących na kontuarze.

Kiedy jej zmiana zbliżała się do końca, a on nadal siedział w klubie, Alice zaczęła się obawiać tego, co przyniesie noc. Gdyby Riley tu była, na pewno zostaliby na wyspie, a tak dręczyła ją niepewność, co się jeszcze wydarzy.

Przypomniało jej się, jak przed laty Paul wypił prawie całą butelkę czerwonego wina. Miała wtedy piętnaście lat i poszła za nim na plażę, bo martwiła się o niego. Lia była wtedy w domu ze swoim przyjacielem, a Paul sprawiał wrażenie bardziej lekkomyślnego i gniewnego niż zwykle. Z początku unikał Alice, a potem warknął, żeby sobie poszła.

- Nikomu nie przeszkadzam - odparła Alice, siadając na piasku. - Zresztą to nie twoja plaża.

W końcu Paul usiadł obok niej. Przez długi czas milczeli w ciemności nierozjaśnionej nawet przez księżyc. Alice zdawało się, że tkwią tam przez wiele godzin. Kiedy poczuła zmęczenie, wyciągnęła się na piasku, a on położył głowę na jej brzuchu. Przestraszyła się w pierwszej chwili, ale go nie odepchnęła.

Był pijany, zmęczony, smutny i miał lekkie mdłości. Alice jeszcze dzisiaj czuła ciężar jego głowy unoszącej się i opadającej wraz z jej oddechem. „Jesteś jedyną dobrą rzeczą na tym świecie”, powiedział wtedy.

- Nie chcę być jedyną dobrą rzeczą na świecie - odparła po jakimś czasie, ale podejrzewała, że nie usłyszał jej słów, bo chyba zasnął.

Na co czekał? Dlaczego to robił? Co mu chodziło po głowie? Co zamierzał? Nie będzie oszukiwał samego siebie. Zachowa rezerwę.

Alice w żeglarskiej czapce rozczułała go.

Okazała się marną kelnerką, ale nie z próżności czy lenistwa jak pozostałe dwie. Była pracowita i miła jak zawsze. Jej błędy zaszczycali innych ludzi.

Niepotrzebnie pakował się w kłopoty. Powinien iść do domu i zdeletować jeszcze kilka stron swojej pracy.

A jednak został. Zamówił kolejny kieliszek wina. Ładna dziewczyna stojąca za barem chyba po raz piętnasty napełniła miseczkę popcornem. Była za młoda, żeby go znać.

Alice został do obsłużenia tylko jeden stół, a nie wyglądało na to, żeby goście mieli się zasiedzieć. Kuchnia kończyła pracę, bar się zapełniał. Taki panował tutaj rytm. Najpierw przychodziły rodziny z dziećmi, potem starsze pary, które już nie jadały kolacji z dziećmi. Po ich wyjściu zjawiała się trzecia fala, dorosłe dzieci wykradające rodzicom karty klubowe i pijące w barze aż do zamknięcia. On należał do kategorii pierwszej i trzeciej. Nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedyś znajdzie się w drugiej.

A Alice? Kim ona będzie? Tylko nie prawnikiem, proszę. Spotykała się z kimś w normalnym życiu? Z Jonathanem? Chciała wyjść za mąż? Mieć dzieci?

Nie sądził, żeby miała chłopaka. Wiedziałby o tym. Choć to nie była jego sprawa.

Pamiętał, jak jej dokuczał, kiedy miała szesnaście i siedemnaście lat. Stroiła się na tańce w klubie jachtowym albo malowała przed zabawą na plaży, a on się z nią droczył. Chciał, żeby myślała, że wygląda głupio albo niezgrabnie, choć było wprost przeciwnie i właśnie dlatego to robił. Udawał, że wyświadcza Alice przysługę, dbając, żeby woda sodowa nie uderzyła jej do głowy.

Był bezlitosny, jeśli chodzi o chłopaków, którzy się wokół niej kręcili. Widział tylko ich najgorsze zamiary, bo dostrzegał je w sobie. Udawał przed samym sobą, że nie kieruje nim zazdrość, tylko szczerza troska. Nigdy nawet nie próbował jej pocałować.

Widział, że Alice na niego zerka, rozliczając się na koniec wieczoru. Pozwoli jej pójść do domu? Właśnie tak powinien zrobić.

Pomyślał o czekającej na niego rezydencji. O lśniącej kuchni, w której nikt nigdy nie gotował. O wygodnych kanapach, na których nikt nie siadywał.

Tylko jedno pomieszczenie w tym domu miało prawdziwy charakter, czuło się w nim życie. Rupieciarnia pełna starych longplayów, plakatów, zdjęć, z okropnym dywanem na podłodze, fotelem, w którym aż chciało się siedzieć. Pokój, w którym zgromadzono rzeczy ojca, uniknął procesu sterylizacji, bo nikt nie śmiał nic w nim ruszyć ani przesunąć. Pozostał świątynią Robbiego, której nikt nie odwiedzał. Wystarczyło, że istniała.

Gdyby Paul miał atrament na podeszwach butów, sposób, w jaki korzystał z domu, ułożyłby się w prosty wzór: ścieżka od tylnych drzwi do kuchennych schodów, do sypialni i do łazienki. Tylko tyle, a i tak za dużo. Wolałby spać u Alice i Riley, jak dawniej. Niestety, skończył dwadzieścia cztery lata i trudno byłoby uzasadnić zostawanie na noc u przyjaciół.

Dziwne, ale dosłownie setki razy spał w sypialniach obu siostr, kiedyś nawet w ich łóżkach, choć Riley kopała, a Alice dręczyły koszmary.

Jak mógł myśleć o dziewczynie, w której łóżku spędzał noce aż do czasu, kiedy urosło mu jabłko Adama? Rzecz w tym, że nienawidził dojrzwania, bo wiedział, że będzie musiał przenieść się na podłogę albo na sofę. Z czasem coraz bardziej pragnął spać w łóżku Alice, ale z powodów, których się wstydził. Im silniejsze było to marzenie, tym żywsza świadomość, że nie może tego zrobić.

Nie da się przejść od jednego rodzaju zostawania na noc do drugiego. To wykluczone. Trzeba zniknąć na jakiś czas. Nawet na lata.

- Idę do domu - oznajmiła Alice, ale w jej spojrzeniu Paul wyczytał pytanie. „Czekasz na mnie? Co tu robiłeś przez cały ten czas?”.

Odwiesiła fartuszek, zrzuciła buty. Schowała napiwki. Umyła ręce i twarz w łazience. Pomalowała usta.

A co on zrobił? Okazał się draniem. Celowo zignorował jej nieme pytania. Najpierw dał jej nadzieję, a potem udawał, że nie dostrzega oczekiwań.

- W porządku - powiedział. - Do zobaczenia.

- W porządku.

Zauważył jej wahanie. „Po prostu idź”, miał ochotę ją ponaglić. Był z niej dumny, kiedy wyszła z klubu. Zobaczył, że czapkę żeglarską trzyma w ręce.

Kochał ją za to, że jest taka piękna, i z tego samego powodu nienawidził. Podobało mu się, że dla niego nakłada błyszczący na usta, i zarazem ganił ją za to w duchu. Chciał, żeby sama poszła do domu, i jednocześnie chętnie by ją dogonił, zanim zrobi następny krok.

Pozwól mi się kochać, ale nie odwzajemniaj miłości.

Kochaj mnie i pozwól mi cię nienawidzić przez jakiś czas.

Pozwól mi czuć, że panuję nad sytuacją, bo wiem, że jej wcale nie kontroluję.

Idąc na plażę, wmawiała sobie, że na nic nie liczyła. Była na niego zła w znajomy sposób, ale nie miała pretensji. Co z niej byłby za prawnik?

Dlaczego tak się przez niego czuła? Nie potrafiła prześledzić wstecz wszystkich kroków, które ją tutaj przywiodły. Dlaczego nadal go pragnęła, mimo wszystko? Dlaczego tyle czasu poświęcała na próby zrozumienia, co czuje Paul? To dopiero prawdziwe marnotrawstwo.

Usiadła na piasku, tuż poza zasięgiem fal. Czuła wilgoć wpełzającą na spodnie, ale się tym nie przejmowała.

Wszedł księżyc. Jak żyje, nigdy nie postrzegала go jako okrągłej tarczy, tylko zawsze jako świetlisty kształt.

Położyła się na plecach i oparła głowę na dłoniach. Łóżko będzie dzisiaj zapiaszczone, jeśli nie weźmie prysznic. Patrzyła w górę i bez powodzenia próbowała dojrzeć konstelacje w mrowiu gwiazd. W duchu podejrzewała, że ludzie, którzy twierdzą, że je widzą, zmyślają.

Gdy księżyc schował się za chmurą, zjawił się Paul.

Była zbyt zmęczona, a on zbyt pijany, żeby udawać zaskoczenie. Podszedł i usiadł blisko niej.

- Miło było obserwować kelnerkę w akcji - powiedział. Alice nie miała ochoty dokonywać analizy jego słów, doszukiwać się w nich sarkazmu.

- Nienawidzę tej pracy - wyznała.

- A ja lubię.

- Bo jej nie wykonujesz.

- Lubię cię obserwować.

- Lepsza kelnerka niż prawnik, co?

- Tak.

- Cóż, chyba byłabym kiepska w obu zawodach. Paul westchnął.

- W każdym razie starasz się.

Zabrzmiało to jak obelga, ale wypowiedziana tak miłym tonem, że Alice odpuściła.

- Alice.

- Co?

- Nic.

Zamknęła oczy. Fala dotarła aż do jej palców. Zbliżał się przyływ, lecz ona nie miała sił się odsunąć. Najlepiej, gdyby morze ją pochłonęło.

Paul wyciągnął się obok. Alice spodobało się, że jest tak blisko niej, ale nie odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

Prawie zasypiała, kiedy poczuła, że Paul się przysuwa, a potem kładzie głowę na jej brzuchu. Stopniowo przyzwyczaiał ją do tego ciężaru, pytając w ten sposób o pozwolenie.

Marzyła o tym, czyż nie? Ulegał jej czy zamierzał jeszcze bardziej ją dręczyć? Może jedno i drugie.

Alice tęskniła za snem, który od niej uciekł. To podobne do Paula, żeby poczekać na chwilę słabości. Nieposłuszne serce, jeśli w ogóle je miała, biło szybko. Wiedziała, że on również je słyszy.

Czuła ciężar jego głowy, tak jak przed laty. Unosiła się i opadała wraz z jej oddechem. Alice ostrożnie położyła rękę na jego czole i policzku. Nie była pewna, czy on oczekuje od niej więcej, czy mniej.

Może jedno i drugie. Może zawsze tak było.

Kiedy o szóstej skończyła się popołudniowa zmiana, Adam Pryce wpadł na pomysł, żeby razem z parą innych ratowników urządzić wyścig do obelisku.

- Pobiegniesz, Riley?

O ile wcześniej nie miała na nic ochoty, teraz skwapliwie się zgodziła. Czuła się już prawie całkiem zdrowa.

Gdy wróciła po biegu, ściemniało się, a dom był pusty. Przypomniała sobie, że Alice pracuje w klubie jachtowym. Pomyślała, żeby tam pójść i jej podokuczać, ale była głodna i zmęczona.

Zrobiło się późno, a ona właśnie zasypiała, kiedy uświadomiła sobie, że zostawiła torbę na plaży. Zmusiła się do wyjścia z łóżka, ubrała i poszła na wydmy.

Noc była piękna, spokojna, sierp księżyca pojawiał się i znikał za chmurami na czarnym niebie. Riley dostrzegła zarys krzeselka ratownika i próbowała wypatrzeć w ciemności swoją torbę. Ale kiedy skierowała się ku wodzie, ujrzała przed sobą dwie postacie.

Natychmiast się zatrzymała. Nie po raz pierwszy natykała się na plaży na kochanków. Ale widok tych dwojga tak ją poruszył, że obeszła ich z daleka i ruszyła po miękkim piasku w stronę budki. Jej umysł pracował wolno i niechętnie, ale z uporem. Riley nie mogła się powstrzymać, żeby nie obejrzeć się przez ramię.

To prawie na pewno była Alice. Drugą osobę ledwo widziała, ale coś jej mówiło, że to Paul.

Zatrzymała się. Nie chciała podchodzić bliżej i uznała, że z wydm będzie miała lepszy widok.

Jej zaskoczenie było fizyczne. Jednocześnie wcale nie czuła się zdziwiona. Jakby już wiedziała. Wiele razy tak się w życiu zdarza. Trudno sobie coś wyobrazić, ale potem człowiek ma wrażenie, że od dawna na to czekał.

Odwróciła się i pomaszerowała do domu. Wokół siebie czuła niepokojący ruch, zmianę. Wiatr przesiewał luźny piasek pod jej stopami, jakby świat próbował dostosować się do nowej sytuacji. Riley stawiała mu opór. Wołała zaczekać, aż burza ucichnie.

Co właściwie oznaczało jej odkrycie? Jakie przyniesie skutki? Jej pierwszy odruch był zawsze taki sam: chronić przeszłość. Zrobić wszystko, żeby nic się nie zmieniło.

Próbowała się opanować, uspokoić serce. Nie czuć i nie myśleć za dużo. Nie lubiła cudzych sekretów. Nie chciała dowiadywać się rzeczy, których nie powinna wiedzieć.

Na początku piątej klasy poszła do szkolnego psychologa. To był pomysł ojca. Od tamtej kobiety usłyszała, w jaki sposób umysł radzi sobie ze stresem. „Ma swój własny układ immunologiczny. Otacza zagrażający mu czynnik jak wirusa i nie pozwala mu się namnażać”.

- Nie mam pojęcia, dlaczego kazałeś mi to zrobić - powiedziała z gniewem do ojca zaraz po wyjściu z gabinetu.

- Właśnie dlatego ci kazałem - odparł krótko.

Była zmęczona. Bolały ją nogi. Nie czuła piasku pod stopami, nie widziała nieba. Jak automat weszła do domu i wspięła się po schodach do swojego pokoju.

Z ulgą położyła się do chłodnego, pustego łóżka. Wcale im nie zazdrościła. Nie pragnęła tego, co oni mieli. Ale nie chciała również ich stracić. Lubiała być sama, lecz nagle poczuła się opuszczona.

Zamknęła oczy i nakazała sobie zasnąć. Zaczęła myśleć o tym, jak długo trwał jej wieczorny bieg. Miała przy sobie stoper. Teraz spróbowała podzielić całkowity czas na dziewięć mil, żeby wyliczyć średnią, co do sekundy.

Skomplikowany rachunek ukołysał ją do snu.

Obudziła się wcześniej rano. Na wspomnienie plaży pomyślała nie tyle o tym, co zobaczyła, ale głównie o powodzie, dla którego wybrała się tam w nocy. Zostawiła torbę, a miała w niej lekarstwo. Penicylinę.

Włożyła kostium, a na wierzch dres. Pobiegnęła wzdłuż Main Walk do głównego wejścia na plażę, o tej porze jeszcze pustą. Od razu skierowała się do wieżyczki, ale nie zobaczyła ani śladu torby. Ogarnął ją niepokój. W nocy wiał silny wiatr, fale przyływu były wyjątkowo wysokie.

Usiadła na piasku. Przed oczami stanął jej na moment zarys ciał Alice i Paula. Pomyślała o torbie miotanej przez fale, wciąganej w głębinę, coraz cięższej. Wyobraziła sobie ręcznik, zapasowy kostium, gogle, tabletki leżące na dnie. A może torba się otworzyła i jej rzeczy spoczywają pod wodą w różnych miejscach?

Niewykluczone, że torba wcale nie została porwana przez fale. Ktoś mógł ją znaleźć. Mogła zostać wyrzucona gdzieś na brzeg. Na kostiumach zawsze zapisywała swoje nazwisko markerem. Może ktoś znajdzie zgubę i zadzwoni.

To całkiem prawdopodobne, powtarzała sobie w ciągu dnia. Ale za każdym razem, kiedy myślała o torbie, oczyma wyobraźni widziała ją na dnie oceanu.

8

Jakim być człowiekiem

- Jak to jest wrócić?

Wczesnym rankiem Paul siedział przy stole piknikowym przed sklepem, pił kawę i czekał na Riley. Zamiast niej pojawił się Ethan.

- Dobrze.

- Upłynęło trochę czasu, co? - Ethan usiadł przy drugim końcu stołu. Był opalony i sprawiał wrażenie pewnego siebie.

- Kilka lat.

- To dużo w twoim wieku. Co Ethan miał na myśli?

- I tak, i nie - rzucił Paul wymijająco.

Ethan był pierwszym dorosłym, do którego celowo zaczął odnosić się niegrzecznie, i z czasem weszło mu to w nawyk. Gdy miał dziesięć lat, po raz pierwszy odkrył słabości i błędy dorosłych. Riley też je dostrzegała, ale szybko zapominała, natomiast Paul wszystko pamiętał. Jako dziecko lubił poczucie władzy i jednocześnie go nienawidził. Wykorzystywał je, choć nie chciał tego robić.

- Riley wspomniała, że wybieracie się dzisiaj na tasergal.

Paul kiwnął głową. Przyszło mu na myśl, że Ethan pewnie ma nadzieję, że go zaproszą.

Ethan był przystojny i zabawny. Potrafił naśladować wymowę cudzoziemców. Mógł przez cały dzień mówić z rosyjskim, kiedy indziej ze szkockim akcentem. Riley i Alice krzyzczały i protestowały, ale to lubiły. Gotował źle, ale i tak był z tego dumny. Łatwo się unosił i zapominał o różnych rzeczach. Pod nieobecność Judy dawał im trzecią dokładkę lodów. Nauczył córki jeździć na deskorolkach, łowić ryby i pływać na desce surfingowej.

Paul nieraz patrzył na siebie w lustrze i zastanawiał się, czy będzie miał takie same włosy jak Ethan, kiedy dorośnie. W swoim pokoju ćwiczył akcenty. Gdy zagłębiał się w rozważaniach, co to znaczy być mężczyzną, próbował wyobrazić sobie własnego ojca, ale zwykle myślał o najbliższym sąsiedzie.

Ethan umiał cieszyć się życiem, ale nie należał do ludzi, którzy mogą służyć za wzorzec. Chciał być kimś więcej, niż był. Paul zdawał sobie jednak sprawę, że martwi są lepszymi idolami niż żywi.

Mimo wszystko trudno mu było nie kochać Ethana. Sytuacja wyglądała inaczej, jeśli chodzi o jego własną matkę.

Paul wspomniał ostatnią noc na plaży. Pomyślał o Alice i poczuł wstyd. Tego rodzaju słabość pozwoliłaby mu zrozumieć ludzi zmysłowych, takich jak Ethan, a on nie miał ochoty go usprawiedliwiać.

Ethan patrzył na niego z nadzieją. Chciał, żeby zostali przyjaciółmi.

Sypialnia Paula przyciągała Alice jak magnes. Tak sobie tłumaczyła swoje zachowanie następnego popołudnia. Może chodziło o to, że zupełnie nie znała jego domu.

W poprzednich latach nie spędzali w nim dużo czasu. Rezydencja od dawna wrosła w krajobraz wyspy, lecz miała w sobie coś z ambasady. Stała w jednym kraju, ale należała do innego.

Alice po prostu chciała wiedzieć. Musiała poznać odpowiedź, niezależnie od tego, jaka się okaże.

Trochę potrwało, nim znalazła się w środku. Czy on kiedykolwiek pukał do jej drzwi i czekał, żeby go wpuszczono?

- Paul?

- Na górze.

Alice odgarnęła włosy drżącymi palcami. Na nogach miała gęsią skórkę, choć na dworze było trzydzieści stopni. Powoli weszła po schodach i stanęła w drzwiach.

- Cześć - bąknęła, nagle onieśmielona. Siedział przy biurku. Odwrócił głowę.

- Jak ci idzie? - spytała.

Paul odchylił się na oparcie krzesła.

- Próbuję pisać o *Krytyce czystego rozumu* Kanta. Skupiam się na fragmencie, który liczy półtorej strony. Chyba rozumiem go tak dobrze, jak pies mojej matki „New York Timesa”.

Alice roześmiała się ostrożnie. Zawsze była pod wrażeniem jego skromności, ale z czasem zrozumiała, że jest to również forma samoakceptacji. Paul lubił w sobie te cechy, na które narzekał. O naprawdę drażliwych rzeczach nigdy nie mówił.

- Piszesz czy kasujesz?

- Piszę. Kasuję w nocy.

Alice popatrzyła na niego uważnie. Nie było po nim widać, że pamięta, co niedawno zaszło na plaży.

- Myślę, że w dzień też kasujesz - stwierdziła.

Na jego twarzy pojawił się czujny wyraz. Paul lubił, gdy znikwały dzielące ich bariery, ale to on musiał je usuwać. Ona miała iść z nim bez pytania, odkrywać nowe wtedy, gdy on chciał, zapominać, kiedy on sobie tego życzył.

- Nie można kasować tego, czego nie ma - zauważył. Alice drżała. Powinna milczeć.

- A nie ma nic?

Paul spojrział na ekran komputera i wolno pokręcił głową.

- Nic nowego.

Spiorunowała go wzrokiem, ogarnięta dawną frustracją. Czasami w jego obecności była pewna, że łączy ich głęboka więź, kiedy indziej wydawało się jej, że ta więź jest raczej tworem jej wyobraźni. Czowała wtedy, że jest sama.

- Więc nie skończysz licencjatu? Paul zmarszczył czoło.

- Może.

- Stopnie uniwersyteckie są dla małych ludzi.

- Alice, przestań.

Rzeczywiście zamierzała przestać, uciec stąd i unikać go przez resztę życia. Ale nie potrafiła zmusić się do tego, żeby wyjść.

- Co to miało znaczyć?

Paul siedział sztywno. Miał niepewną minę. Co za ironia, że przyszła tutaj, żeby go uwieść.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Nie wiesz?

- Może mi wyjaśnisz? - Wyraz jego twarzy mówił coś innego niż słowa. W ogóle nie chciał o tym rozmawiać.

Celowo ją dręczył? Pogardzał nią? A jeśli tak, to za co? Była dostatecznie zdesperowana, żeby podnieść stawkę. Musiała się przekonać, dokąd to wszystko prowadzi.

- Zeszłej nocy na plaży byliśmy razem, ty i ja? Czy może tylko ja?

Paul był wyraźnie skrepowany. Pewnie najchętniej by wyszedł, ale to był jego dom. Alice zaczynała rozumieć, co to znaczy rozgrywać swoją grę na cudzym terenie.

- Wypiłem za dużo wina. - Paul wzruszył ramionami. - Źle zrobiłem, jeśli coś ci zasugerowałem.

- Zasugerowałeś?

- Tak.

Miała ochotę zrzucić komputer z biurka. Doskonale wiedziała, że wpadając w gniew, tylko pogorszy sytuację. Ale czasami robi się coś innego, niż nakazuje rozsądek.

- Jesteś dupkiem, Paul! Albo udajesz głupka! Ale ja w to nie wierzę.

Wychodząc, trzasnęła drzwiami.

Kiedy następnego wieczoru Paul usłyszał na dole hałas, serce podskoczyło mu w piersi i wybuchło jak fajerwerk. Akurat ślęczał nad swoją pracą, nienawidził jej, chciał, bardzo chciał, żeby Alice wróciła. Marzył o tym, żeby stanęła w drzwiach ubrana w szorty, które tak lubił. Żeby przeciągnęła się na jego łóżku jak kot. Nawet gdyby przez cały czas wyglądała przez okno, gdyby zadawała pytania, nie miałby nic przeciwko temu. Odpowiedziałby na wszystkie... tym razem szczerze. Mogłaby też w ogóle się nie odzywać. Najchętniej cofnąłby czas.

Wystarczyłoby, żeby po prostu do niego przyszła. Cokolwiek by powiedziała, zareagowałby inaczej niż ostatnim razem. Gdyby tylko przyszła. I wtedy usłyszał, że na dole otwierają się drzwi. Wyczuł podmuch wiatru.

- Paulo?

Jego serce spadło na ziemię jak szary popiół po wypalonym fajerwerku. Zawsze zjawiała się bez uprzedzenia. To był jeden z powodów, dla których nie ufał temu domowi. Kłopoty zwykle zaskakują człowieka.

Gdy zszedł na dół, zobaczył, że przyjechała sama. I to było najlepsze w całej tej sytuacji.

- Paulo. - Pocałowała go dwa razy w jeden policzek i trzy razy w drugi.

- Jak się czujesz? - zapytał, mając nadzieję, że matka nie usłyszy napięcia w jego głosie.

- Straszny dziś ruch. Wodna taksówka zatrzymała się najpierw w Fair Harbour, a potem w Saltaire, zanim tutaj przyплыnęła. Płacisz im fortunę, a oni nigdy nie zawiozą cię tam, gdzie chcesz.

- Racja.

- No, no. - Udało się jej pocałować go po raz szósty. Ostatnio widziała go we Fresno w Kalifornii. Miał wtedy długie włosy i brodę. - Jesteś taki przystojny, *chiaro*.

Niosąc na górę bagaże, zastanawiał się, jak wyglądałyby jej włosy, gdyby zostawiła je w spokoju. Wyobrażał je sobie ciemne i kręcone, takie jak dawniej. Długie i niesforne, były jedną z wielu cech, których nie cierpieli w niej teściowie. Zdziwiliby się, gdyby mogli teraz ją zobaczyć. Zmieniła się w krótko obciętą blondynkę z Park Avenue. Niczym nie różniła się od pań, z którymi jego babka jadła lunchy. Gdyby tylko w nią wierzyli. Ale było już za późno. Nienawidzili jej teraz jeszcze bardziej niż kiedyś. A ona dała im po temu wiele powodów.

Ciekawe, jak długo zostanie? Ta kwestia bardzo go interesowała. Matka nie znosiła plaży. Nie lubiła tego miasteczka i mieszkających w nim ludzi. Drażnił ją zapach morza, pleśń, sól w powietrzu. Zawsze mówiła o tym wprost. Według niej nigdzie tutaj nie można było dobrze zjeść. Ani kupić butów. Odrzucała wszystko, co Paul kochał na wyspie. Wiedział o tym, ale mimo to zależało mu, żeby czuła się tu dobrze.

- *Come sono le ragazze?* - spytała, patrząc na dom Riley i Alice widoczny za oknem. - Są tu jeszcze?

- Tak.

- *La madre? Il padre?*

Paul zerknął na widok za oknem. Majestatyczne fale rozbijały się o brzeg, jak na morskim pejzażu gotowym do zawieszenia na ścianie.

- W porządku. Nic się nie zmienili.

- Widziałeś ich?

- Oczywiście.

- Chciałabym zobaczyć, jak wygląda twoja mała - powiedziała Lia. - *La bella*.

Zawsze była osobiście i żywo zainteresowana urodą. Alice by jej nie rozczarowała, pomyślał Paul, jednocześnie z dumą i smutkiem.

Patrzył, jak matka się miota, szukając czegoś w kuchennych szafkach.

Zauważył, że jest wystrojona. Jego zdaniem przesadnie. Naszyjniki, spinki, bransoletki, szale, wymyślne kolczyki, duże pierścionki wręcz ją przytłaczały, Obnosiła się ze swoją za-
możnością, uprzywilejowaną pozycją i samozadowoleniem.

W środku nic się nie zmieniła. Chudość, którą uważała za swój triumf, Paulowi kojarzyła się z zabiedzeniem. Była gotowa się stroić, ale nie dobrze odżywiać. Dbała tylko o wygląd.

- Paulo, mamy książkę telefoniczną?

Wiedział, że chodzi jej o numer sklepu, a konkretnie działu z alkoholami.

- Szukasz numeru do sklepu? - zapytał.

- Skąd wiedziałeś? - zdziwiła się matka.

- Nie martw się. Pójdę po zakupy. I tak się tam wybierałem. - Nigdzie nie musiał iść, ale to była dobra wymówka, żeby na chwilę uciec z domu.

Lia dała mu listę sprawunków i powiedziała:

- Potrzebuję również numeru taksówek wodnych.

- Możesz popłynąć promem.

- Jutro sobota. W soboty zawsze jest tłok.

- Wyjeżdżasz jutro?

Był z tego powodu zadowolony i jednocześnie trochę urażony. Matka planowała wyjazd, zanim zdążyła rozpiąć torbę. Ale taka właśnie była. Zadawała sobie dużo trudu, żeby znaleźć go w dowolnym miejscu na kuli ziemskiej. A gdy tylko udało się jej do niego dotrzeć, już myślała o pożegnaniu.

Szedł chodnikiem, zwrócony plecami do oceanu, i tęsknił za Alice. Mógł przeżyć bez niej lata po drugiej stronie kraju, ale tu nie był w stanie przetrwać nawet doby. Zwłaszcza teraz, kiedy zjawiała się jego matka.

Już tutaj nie pasowała. Kiedyś było inaczej. Kiedyś się starała.

Teraz niewiele czasu spędzała w Nowym Jorku. Kupiła mieszkanie w Rzymie, ale skarżyła się na hałas. Jeździła do wielu miejsc i w każdym z nich zostawała coraz krócej. Tylko te, których jeszcze nie odwiedziła, spełniały jej oczekiwania.

W pewnym sensie nigdzie nie czuła się dobrze. Paul podejrzewał, że najszczęśliwsza jest w podróży, gdzie przeszłość wydawała się odległa i nieosiągalna, a terażniejszość nieważna. I to się nie zmieni, dopóki matka wierzy, że przyszłość będzie lepsza.

- Paulo, oni są okropni.

Powinien powiedzieć „dobranoc” po pierwszej butelce. Tak.

Już nie pamiętał, czy mówiła o swoich ostatnich chłopakach, o jego dziadkach czy o służbie w hotelu, w którym ostatnio się zatrzymała. Mogło chodzić o każdą z tych osób. Mogło chodzić o każdego człowieka na świecie.

Z wyjątkiem ojca. Tylko Robbiego Lia nie zaliczała do dupków. Może trzeba było w tym celu umrzeć.

Zwykle mówiła po angielsku, a kiedy naprawdę była zła albo pijana, przechodziła na włoski. Teraz było na odwrót. Zastanawiał się, czy matka zdaje sobie z tego sprawę.

- Ty nie wiesz, Paulo. Nie masz pojęcia! Najmniejszego! Dlaczego nigdy nie robią tego, co mówią?

Paul pokręcił głową. Nie wiedział.

- Dupki! - wybuchnęła Lia.

Jakże drażniły go jej wady: szorstkość, skłonność do gniewu, wyniosłość, pamiętliwość, strach. Upodobanie do zbyt dużej ilości wina. Znał je wszystkie aż za dobrze.

- Paulo, myślę o twoim ojcu. On by tego nie robił. Był dobrym człowiekiem i kochał mnie.

Paul wiedział, że zaraz z jej oczu popłyną łzy. Nastrój matki zmieniał się w przewidywalny sposób: od pijackiej złości do pijackiego smutku. Ale on nigdy nie był na to przygotowany.

- Ja tylko... chciałabym...

- Wiem, mamo.

- Gdyby on mógł...

- Wiem.

- W tym domu, wiesz. Myślę o nim.

- Ja też.

- Byliśmy wtedy szczęśliwi. Mieliśmy siebie i ciebie. I nie obchodziło nas nic innego.

Pamiętasz?

- Trochę. - Tamten okres znał głównie z opowieści.

Często chodziły mu po głowie pytania, których nigdy nie odważył się zadać, choć nie dawały mu spokoju: Jeśli byliśmy wtedy tacy szczęśliwi, dlaczego się to skończyło? Co się stało z ojcem? Jak mógł na to pozwolić?

Myślał również o matce: Jeśli kiedyś potrafiłaś być szczęśliwa, dlaczego od tamtej pory nie jesteś?

Jako dziecko wierzył w to, co mu mówiono. Ale wierzył również w to, co widział. Nic nie mógł na to poradzić. A co robi dziecko, kiedy dwie rzeczy się ze sobą nie zgadzają?

Matka leżała na kanapie, z wdzięcznie przechyloną głową. Czarny makijaż spłynął z oczu razem ze łzami. Szminka rozmazała się na brzegach ust. Twarz była zmęczona, obwisła i stara. Lii ciekło z nosa, ale ona nie miała siły go wytrzeć. Paul wiedział, że jeszcze trochę i matka zaśnie na kanapie. Później na chwilę się ocknie i włączy telewizor, a on będzie musiał go słuchać przez całą noc.

- Dlaczego mu na to pozwalała? - spytał matki Alice, gdy się dowiedział, że ojciec był uzależniony od narkotyków.

- Myślę, że ona też to robiła - odparła Judy.

Nienawidził, kiedy matka doprowadzała się do takiego stanu. Był zdegustowany i wstydział się za nią. Wstydział się również własnego niesmaku.

Najgorsze, że czuł się odpowiedzialny za jej postępowanie. Mógł lepiej o nią zadbać. Co powiedziałby na to ojciec?

Paul próbował ją zrozumieć i usprawiedliwić. Wiedział, że matka jest ofiarą. Owdowiała w wieku dwudziestu dziewięciu lat, znenawidzona i odrzucona przez rodzinę męża. Nie miała własnej, która dałaby jej prawdziwe wsparcie. Niestety, Paul nie potrafił zdobyć się na współczucie. Uważał, że sama sprowadziła na siebie kłopoty. Może gdyby mniej litowała się nad sobą, jemu przychodziłoby to łatwiej.

Lia nie musiała aż tyle wydawać. Paula nie obchodziły same pieniądze, ale nie podobało mu się, że matka nimi szasta, że je przepija, trwoni na wyjazdy do spa, drogie apartamenty i bilety lotnicze.

Robbie pochodził z bardzo bogatej rodziny i fakt, że Lia odziedziczyła po nim miliony, doprowadzał jej teściów do szału. Dziadkowie Paula całą energię życiową, która im jeszcze pozostała, tracili na to, żeby odebrać synowej majątek. Wszystko co mogli wpłacili na fundusze powiernicze i zapisali je na wnuka. Ale to, co należało do Robbiego - góra pieniędzy, którą dostał po dziadku zmarłym w 1980 roku - po jego śmierci przypadło żonie. Jego rodzice posłali

do bitwy całe korpusy prawników, wydając im wcześniej ściśle instrukcje. Lia walczyła z nimi, przepuszczając spadek.

Paula razila jej wrogość i zawziętość, a poza tym uważał jej postępowanie za zdradę wobec ojca. Robbie był idealistą, aczkolwiek trochę zagubionym, i wolnym duchem... w każdym razie wolnym w takim stopniu, w jakim było to możliwe po ukończeniu St. Paul. Nienawidził kultu bogactwa i samych pieniędzy. Przygarniał nieudaczników i głodujących artystów, poświęcał czas na beznadziejne sprawy. Nigdy nie popierał tego polityka, który wygrał wybory. Dzień w dzień, zimą, wiosną, latem i jesienią nosił te same sandały.

Paul wiedział o tym wszystkim od Ethana, nie od Lii, ale sandały pamiętał. W okresie młodzieńczego buntu wygarnął matce te i inne żale. Więcej tego nie próbował.

Zresztą, co mógł zrobić? Majątek był jedynym, co Lia miała. Majątek i Paul. I choć pieniądze były bardziej posłuszne niż syn, udawało się jej wykorzystywać jedno i drugie w walce z teściami.

Lia chrapnęła. Paul wyjął jej kieliszek z ręki i zaniósł do kuchni. Bardzo już śpiący, znalazł koc i przykrył nim matkę. Jaką żalostną parę stanowili!

Nie powinien czuć się rozczarowany. Wiedział, czego oczekiwać po matce. Ale odziedziczył po niej jedno: nadzieję, irracjonalną i niewyczerpaną. Gdyby spojrział prawdzie w oczy i pogodził się z sytuacją, przestałby być jej synem.

9

La Bella

Paul zostawił matkę śpiącą przed telewizorem i tuż po świcie wymknął się z domu. Szybko przemierzył krótką ścieżkę wśród trzciny. Mógł udawać, że nie działa z premedytacją, ale dobrze wiedział, że przed szóstą Riley poszła na dyżur. Zresztą, jeśli nawet działał planowo, to dość nierozważnie. Zakradł się przez siatkowe drzwi do kuchni i ruszył w górę po schodach. Nie zastanawiał się, co robi, kiedy dotrze do sypialni Alice, ale nie zatrzymał się, żeby pomyśleć. Wszedł do jej pokoju, choć nie miał do tego prawa.

- Nie jesteś moim właścicielem - oświadczyła, gdy miała jakieś dwanaście lat.

Wsiadała na motorówkę razem z koleżanką, której ojciec, sternik, był wyraźnie pijany. Paul zabronił jej z nim płynąć.

- Nigdy tego nie twierdziłem - warknął.

Wtedy zrezygnowała z przejażdżki, ale żadne z nich nie wierzyło we własne słowa.

Teraz spała. Jej włosy były bezładnie rozrzucone po poduszce, twarz odwrócona do ściany. Skopała z siebie kołdrę, dzięki czemu mógł podziwiać jej długie nogi.

La bella. Nie chciałby, żeby jego matka ją zobaczyła.

Usiadł na brzegu łóżka, ale ona się nie obudziła. Czuł się samotny, kiedy była na niego wściekła. Nieszczęśliwy.

- Przepraszam - wyszeptał jej do ucha. Poczował wino w swoim oddechu. Dotknął jej włosów. - Wiem, co miałaś na myśli. Nie rozumiem, dlaczego zachowałem się, jakbym nie wiedział.

Potrzebował jej dotyku, tak samo jak w dzieciństwie. Jak by zareagowała? Nie umiał powiedzieć, czego pragnie ani co jest gotowy jej dać. Ale kochał ją. Mógł jej to wyznać? Łatwiej było ją kochać i nie musieć tego wyznawać.

Wierzył, że go nie odrąci, nawet po tym wszystkim, co zrobił. Wśliznął się do łóżka i położył obok niej. Naciągnął kołdrę na nich oboje. Bardzo ostrożnie przysunął się bliżej, żeby poczuć jej ciepło. Na próbę objął ją w talii, ledwo jej dotykając. Omal nie jęknął, kiedy zarzuciła nogę na jego udo. Była rozgrzana od snu. Miał ochotę wtulić twarz w jej szyję, spleść z nią ręce i nogi.

- Kocham cię - wyszeptał w gęstwinę jej włosów. Potrafił to wykrztusić, kiedy nie mogła usłyszeć.

Leżąc tak, odprężył się powoli. Serce zaczęło bić równiej, znowu pozwolił sobie na normalny oddech. Jego umysł ogarnął spokój.

Wyobrażał sobie, że jeśli kiedyś, w dorosłym życiu, znajdzie się w łóżku Alice, będzie inaczej niż w dzieciństwie. I rzeczywiście było inaczej. Jej dotyk i zapach działały na niego w sposób, o jakim mu się wcześniej nie śniło. Gdyby popuścił wodze fantazji, wymyśliłby parę rzeczy, o których wtedy nie miał pojęcia. Ale, choć je szarpał i napinał, nie chciał ich zerwać. Obawiał się tego, co mogłoby się stać.

Jedna kwestia dręczyła go jak powtarzający się, niespokojny półsen na jawie. *Czy miłość bywa trwała? Czy można przenieść ją nietkniętą z dzieciństwa do dorosłości, przez rafy i mieliżny dorastania? Czy wtedy jest to takie samo uczucie, tylko wyrażone w nowy sposób? A jeśli te dwa rodzaje miłości są całkiem różne od siebie, wręcz sprzeczne?*

Może to nie odpowiedź była trudna, tylko pytanie niewłaściwie postawione. Może istniały nie dwa rodzaje miłości, ale trylion. Albo jeden.

W każdym razie teraz obejmował Alice. Przestał się martwić, że ją obudzi. Odwróciła się do niego, nadal z zamkniętymi oczami, oplótła go ramionami, przytuliła policzek do jego piersi. Jej włosy zaczęły łaskotać go w szyję i pod nosem. Choć był za duży na to panińskie łóżko, dzięki tej bliskości jakoś się na nim zmieścił.

Zaufanie i miłość idą ze sobą w parze, rozmyślał dalej Paul. Ale gdzie było miejsce na pożądanie? I, przede wszystkim, jak je stłumić?

Nie wiedział, czy Alice śpi, czy już się obudziła, ale czuł, że jej serce bije równo. Czuł kształtną łydkę na swojej goleni, miękkość uda. Nie miał pojęcia dlaczego, ale dotyk jej skóry, ciepło i sposób, w jaki go tuliła, działały na niego kojąco.

Może teraz wcale nie było aż tak bardzo inaczej niż kiedyś. Miała piersi i długie nogi, ale pozostała tą samą Alice. Może lubił w tuleniu się do niej dokładnie to samo, co dawniej. Bliskość. Koniec samotności. Ukojenie. Dotyk ciała, któremu ufał.

Alice obudziła się, przechodząc z jednego snu do drugiego. I nie czuła żadnej potrzeby rozróżnienia między nimi, dopóki nadal śniła.

Była wściekła na Paula, kiedy zasypiała, a teraz miała blisko przy sobie jego cudowne ciało, i złość gdzieś się ulotniła. Przy nim nigdy nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie podziiała swój gniew, nawet kiedy obiecywała sobie, że wróci i go poszuka.

Nie otwierała oczu, żeby pozostawić mu możliwość zaprzeczenia wszystkiemu. Bo co, jeśli przed obiadem Paul wszystko skasuje? A ona chciała, żeby to coś trwało. Obok niej leżał w łóżku Don Rontano, trener tenisa, i było jej dobrze.

Z zamkniętymi oczami namacała brzeg jego podkoszulka i ściągnęła mu go przez głowę. Gdyby chciał, mógł jej przeszkodzić, ale ona tak pragnęła dotknąć jego skóry. Wtuliła się mocniej w jego pierś. Czuła ciepło pleców i ramion.

Pocałować go? Pozwoli jej na to? Mógłby udawać, że to nic takiego? A co z kochaniem się? Rozchylić nogi i zgodzić się na wszystko, a potem uznać, że nic wielkiego się nie wydarzyło?

Przytuliła się jeszcze bardziej. Śmiało dopasowała biodra do jego bioder, choć przeszkadzały jego szorty i jej bielizna. Może jego górna połowa tego nie chciała, ale dolna owszem. Alice poruszyła się lekko. Jaki mężczyzna by się jej oparł? Powieki nadal miała zaciśnięte.

Spałem, mógłby powiedzieć. Co się stało? Sądziłem, że ty też śpisz.

Naprawdę zdecydowałyby się na coś takiego? Czy byłoby warto? Nie czułaby się głupio, gdyby straciła dziewictwo z Donem Ronem?

Otworzyła oczy. Zerknęła ukradkiem. To nie był Don Ron i wcale nie spał. W dodatku patrzył na nią.

Przyłapał jej spojrzenie i odsunął się trochę.

W Alice zaczął się budzić wczorajszy gniew. Czaił się w zgięciu sztywniejącego łokcia Paula.

Paul usiadł na łóżku. Miał taką minę, jakby był zaskoczony, że ją tutaj widzi.

To ty wśliznąłeś się do mojego łóżka, a nie na odwrót! Powstrzymała się przed wykrzyknięciem tego na głos, bo nie chciała psuć nastroju. Na razie.

Popatrzyła na niego z ukosa. Bez koszuli, zaplątany w pościel, z nierówno obcięzonymi włosami i zmieszaniem wypisanym na twarzy. Wyglądało, jakby naprawdę to zrobili. O dziwo, Alice chciała, żeby któreś z jej rodziców weszło teraz do pokoju. Ciekawe, jak Paul by wtedy zareagował?

Opuścił nogi na podłogę. Do diabła z nim! Już kasował.

„Nie można skasować tego, czego nie ma”, stwierdziłby.

- Moja matka przyjechała - oznajmił.

Alice wyczuła wino w jego oddechu. Skinęła głową. To było jakieś wyjaśnienie. Znowu służyła jako pocieszycielka, ale już nie spisywała się tak dobrze jak kiedyś. Stała się zbyt zachłanna. Na tym polegał problem, prawda?

- Na jak długo?

- Dzisiaj wyjeżdża.

- Aha. - Rozmawiając o jego matce, Alice raptem poczuła się prawie naga w samych majtkach i przykusym podkoszulku. - Co u niej?

- To samo.

Alice pokiwała głową. Skrzyżowała ręce na piersi.

- Chcesz, żebym was odwiedziła?

- Nie - odparł Paul pośpiesznie i natychmiast się poprawił: - To znaczy, możesz, jeśli chcesz.

Wstał z łóżka. Boże, zamierzał wyjść. I znowu wrócić do punktu wyjścia. Sen przysł. Nastrój się ulotnił.

Alice patrzyła, jak Paul odnajduje pod kołdrą podkoszulek i go wkłada.

- Naprawdę nic nie ma? - rzuciła zdesperowana.

Mierzyła go wzrokiem, prowokowała, żeby zapytał, o co jej chodzi. Gdyby to zrobił - na Boga! - dzieliłaby go pięścią.

Wyglądał na zboląlego, ale nie próbował się wykręcić.

- To nie jest nic, Alice.

A co to miało znaczyć? Musiała policzyć przeczenia, żeby wydobyć jakiś sens z jego słów.

- A jest coś?

- Zawsze coś jest, nie sądzisz?

Alice zacisnęła zęby. Mógł sobie być nieuczciwy i tchórzliwy, jeśli chciał, ale ona nie zamierzała brać udziału w jego grze. Wbiła w niego wzrok.

- Wiesz co?

- Co?

- Chcę być z tobą. Udajesz, że nic między nami nie ma, ale ja wiem, że jest. Możesz powiedzieć, że dla ciebie nie ma, że wszystko jest tylko w mojej głowie i sercu. - Trochę się zagalopowała. Odchrząknęła. - Czy tak właśnie odpowiesz?

Paul znieruchomiał. Milczał.

Alice zebrała się na odwagę. Teraz albo nigdy.

- Nigdy tego nie robiłam. Chcę, żeby mój pierwszy raz był z tobą, ale niepotrzebny mi niechętny partner.

Paul wyglądał jednocześnie na zaskoczonego i wstrząśniętego. Nie wiedział, do której części jej wypowiedzi najpierw się odnieść.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłaś? - spytał w końcu.

Oczywiście, że nie! Czekałam na ciebie przez całe życie, ty głupi idioto. Zamiast wykrzyknąć mu te słowa w twarz, rzuciła krótko:

- Nie.

- Ja...

- Nie musisz teraz odpowiadać. Jeśli chcesz, przyjdź dzisiaj o północy na zachodnią plażę. - Ledwo mogła uwierzyć, że mówi takie rzeczy, ale była z siebie dumna. - Jeśli nie, to nie.

- Alice. - On też ledwo mógł uwierzyć własnym uszom.

- Jeśli nie chcesz, zrozumiem i wybaczę. - Mówiła to wyniośle, choć w rzeczywistości wcale nie była taka pewna siebie.

Ale nie zakradaj się więcej do mojego łóżka.

- Alice.

- Mówię serio. - Trudno czuć się poważnie w fioletowych majtkach i cienkiej koszulce. -

Ale jeśli przyjdiesz, weź ze sobą Paula. I oczekuj spotkania z Alice, dobrze?

Skinął głową.

- I nie upij się.

Powinna w tym momencie odwrócić się na pięcie i wymaszerować dumnie. Ale ponieważ była w swoim pokoju, musiała usiąść i patrzeć, jak on wychodzi.

Nigdy tego nie robiła. Naprawdę myślał, że jest inaczej?

W ogóle nie chciał za dużo rozmyślać na ten temat. Gdyby jednak spróbował, chyba doszedłby do wniosku, że Alice ma za sobą ten pierwszy raz, ale w szybki i pozbawiony znaczenia sposób. Podobnie jak on.

Robił to wiele razy. Czasami szybko, czasami wolno. Lubił się kochać, czasami bardzo. Pomyślał o piersiastej Meksykance Marii-Rosie, która w środku dnia wymykała się z nim na puste pole. Ale nigdy nie traktował tych miłości jako ważnej rzeczy w swoim życiu. Nigdy nie miał oczekiwań. Nigdy nie obiecywał dziewczynie, że zadzwoni. Alice czekała na niego O, Boże.

Oczywiście poczulby się dotknięty, gdyby było inaczej.

Kiedy odprowadzał matkę do taksówki wodnej, był zbyt zaaferowany, żeby zwracać uwagę na to, co mówiła. Przeżywał coś zupełnie nowego. Podniecenie, pożądanie, oczekiwanie i jednocześnie silny impuls, żeby się wycofać.

- Wszystko w porządku? - zapytała Lia w rzadkiej chwili spostrzegawczości, kiedy szli nabrzeżem.

- Tak. - Jego głos dochodził gdzieś z okolic przepony.

Ma się spotkać z Alice na plaży, wiedząc, czego ona oczekuje? Swobodnie i otwarcie się przyznać, że on również tego pragnie? Czy to nie jest poniżej ich godności?

Gdy się pożegnał z matką, ruszył na długi spacer. Doszedł do Lonelyville i zapuścił się jeszcze dalej. Dotarł do Ocean Beach, Seaview, Point O'Woods i wreszcie do Sunken Forest. Dopiero stamtąd przepędziły go komary.

Nadal był w rozterce, a plecy miał czerwone od słońca.

Alice o coś go poprosiła i sama zaproponowała mu dar. Wymagała i dawała, a on nie wiedział jak postąpić.

Spotkać się z nią o północy?

Wytrzyma bez niej aż do północy? A gdyby poszedł do niej już teraz?

Nagle poczuł się tak, jakby Alice była panną młodą, a on musiał czekać do ślubu, żeby ją zobaczyć.

Cóż to za myśl! Na jakie niebezpieczne obszary zapuszczał się jego umysł!

Czyż nie pragnął tego zawsze? W końcu miało się spełnić to, o czym marzył, ale na co nie zasłużył.

Śmiało! Weź życie w swoje ręce. Ono na ciebie czeka! - zachęcał głos rozbrzmiewający w jego głowie.

Jak mógł to zrobić? A jeśli wszystko popsuje? Jeśli straci to, co ma najcenniejszego?

Wolał raczej chronić ten bezcenny skarb, niż ryzykować jego zniszczenie.

Nie pójdzie na spotkanie. Zresztą wcale tego nie chce.

Jak przetrwać do północy?

10

Wziąć życie w swoje ręce

Czekała. Znowu. Dlaczego w ten sposób wszystko zaplanowała? Czyżby nienawidziła siebie aż tak bardzo, jak on nienawidził jej? Przecież razem z Paulem stanowili tandem. Papużki nierozłączki.

Spojrzała na księżyc. Wyobrażała sobie, że będzie jasno świecił, ale on właśnie się chował.

- Czyj był ten głupi pomysł? - spytała muszli, zanim wrzuciła ją do wody.

Nie wzięła zegarka. Nie sądziła, że będzie potrzebny.

Dam mu jeszcze pięć minut, postanowiła.

Chyba postradała rozum. Czekała na niego w najładniejszym staniku, fikuśnych majtkach, jedynej porządnej sukience. Wystawiona do wiatru i upokorzona. Czowała się jak zamówiona w firmie wysyłkowej panna młoda, po którą narzeczony nie raczył zjawić się na poczcie. Dlaczego wpakowała się w taką sytuację?

Na pewno już minęła północ. Paul nie przyszedł. Była kompletną kretynką. Zupełnie do niczego. Jak łatwo można stracić szacunek do siebie, czując się tak bezceremonialnie odtrąconym.

Alice spojrzała na kamienie, które przyływ wyrzucił na brzeg. Mogłaby jak Virginia Woolf wypchać nimi kieszenie i wejść do morza.

Ale do jej sukienki niewiele by się ich zmieściło. Wykluczone. Nic z tego. Szkoda, że nie włożyła starego płaszcza przeciwdeszczowego i waderów. Tak się kończą próby bycia seksowną.

- Chyba umrę - powiedziała do fal.

- Alice?

Tak głośno użalała się nad sobą, że nie usłyszała kroków. Już zdążyła się poddać.

- Hej, Alice.

Nie miała nawet ochoty się odwrócić. Była zrezygnowana.

- Spóźniłem się, przepraszam.

Obejrzała się jednak. Nie zdołała się powstrzymać.

- Dobrze, że sobie nie poszłaś.

Czy te wszystkie słowa padały z ust Paula? Ten ktoś wyglądał jak Paul, ale nie mówił jak on. Alice uznała, że nie będzie rozbudzać w sobie nadziei.

- Właśnie zamierzałam iść - powiedziała jak automat.

- Nie, proszę. Dopiero przyszedłem.

Spodziewała się wahania i wymówek. Dlaczego był taki odprężony? Czy to naprawdę Paul?

Zbliżył się, ale nie próbował jej dotknąć ani pocałować na powitanie. Nie umieli zachować się swobodnie w nowej dla nich sytuacji.

- Po drodze uświadomiłem sobie, że będziemy tego potrzebowali - wyjaśnił, unosząc małą paczuszkę. - Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej.

Przyniósł kondomy. Alice oblała się rumieńcem. Nie była tak praktyczna jak on. Nie wierzyła, że to się stanie. Czyżby blefowała? A on teraz ją sprawdzał?

- Sklep był zamknięty. Przyszło mi do głowy, żeby je zamówić na łądzie, ale na przystani też było zamknięte.

- Więc skąd je wzięłeś? - spytała oszołomiona Alice.

- Od Dona Rona w klubie jachtowym.

- Nie! - Nagle zaczęła chichotać jak dwunastolatka.
- Tak. Dlaczego się śmiejesz? Znowu zachichotała.
- Bez powodu.
- Przyniosłem też parę innych rzeczy. - Mówił rzeczowym tonem. Spokojnym i lekkim.

Czy to naprawdę Paul?

Położył wszystko na piasku. Rozwinął koc.

- Żeby było na czym się położyć - wyjaśnił niepotrzebnie.

Alice spodziewała się po nim skrepowania, ale on patrzył na nią śmiało i pewnie.

- Dobry pomysł - pochwaliła bez tchu.

Naprawdę zamierzał to zrobić czy stosował jakąś sztuczkę psychologiczną? Przyjrzała się jego twarzy, w poszukiwaniu oznak premedytacji, ale nic nie dostrzegła.

- A to na później - dodał Paul, pokazując paczkę ciasteczek czekoladowych.

Na później! Alice nie mogła dobyć głosu.

- A to dla ciebie, nie dla mnie. - Uniósł butelkę wina. Alice była poruszona. Miała ochotę się rozplakać.

- Denerwujesz się? - zapytał. - Chcesz trochę wina? Przyniosłem również korkociąg.

- Chyba wszystko w porządku - wykrztusiła Alice. Paul dotknął jej ramienia, przysunął twarz do jej ucha.

- Musimy zrobić to właściwie. Nie sądzisz?

Rozłożył koc. Na szczęście wiatr tej nocy był ledwo wyczuwalny. Paul wybrał miejsce na ziemi niczyjej pomiędzy ich wioską i sąsiednią, w zagłębieniu między dwiema wydrami. Nikt nie powinien im tam przeszkodzić.

Alice wyglądała teraz na przestraszona, natomiast on był całkiem spokojny. Nie chciał jednak deprimować jej jeszcze bardziej swoją pewnością siebie.

Ułożył wszystkie rzeczy i usiadł.

- Chodź do mnie - powiedział.

Opadła na koc obok niego. Wyszedł księżyc, chyba po to, żeby pokazać, jak uroczo Alice wygląda w dopasowanej sukience w zielone i fioletowe kwiatki. Paulowi nasunęło się skojarzenie z ładnie zapakowanym prezentem i od tego momentu był w stanie myśleć tylko o tym, co jest w środku.

Pozwolił sobie czuć radość, a nie ból na widok jej urody. Miała w sobie dobrą moc, choć bał się w to uwierzyć.

- Jeśli jesteś zdenerwowana, nie przejmuj się - powiedział cicho. - Nie ma pośpiechu.

- Kim jesteś i co zrobiłeś z Paulem? - wyszeptwała.

- Przyprowadziłem go. Jest tutaj z Alice.

To prawda. Nareszcie. Był zaskoczony własną pewnością. Wystarczającą za nich dwoje. Właśnie tego pragnął. Kiedy w końcu się zdecydował, nie mógł się doczekać przyszłości. Uwaga na siłę nawróconego, pomyślał.

Jednocześnie wiedział, że czeka go wielka i wyjątkowa przyjemność. Rozkosz, której doświadcza się tylko raz w życiu, i tylko głupiec zmarnowałby taką chwilę. Miał już dość bycia głupim.

- Jesteś gotowa? - W ciemności ledwo widział jej złociste oczy. Chciał widzieć. Chciał, żeby ona widziała jego. Teraz, kiedy już się zdecydował.

- Zmusiłam cię do tego? - spytała Alice nieśmiało.

- Wyglądam na zmuszonego?

- Nie. Ale naprawdę nie musisz. Nie będę zła. Możesz nadal spać w moim łóżku.

- Chcę spać w twoim łóżku. - Nachylił się i pocałował ją. Najpierw w policzek, potem w brodę. - Chcę robić dużo rzeczy.

Kochał Alice od dawna, ale jeszcze nigdy jej nie pocałował. Może bał się tego, co może się stać później.

Musnął wargami jej szyję i dekollet po lewej stronie krzyżyka. Obojczyk i ucho. Alice! Tak dobrze znał te miejsca, ale nigdy ich nie dotykał.

Na razie nie sięgał do jej ust. Czekał. Bo kiedy to zrobił, niemal stracił głowę. Tak jak się spodziewał.

Alice odwzajemniła pocałunek, a wtedy zatracił się i już nie próbował się odnaleźć. Pocałował ją tak, jakby to był jego pierwszy raz. I był pierwszy, w pewnym sensie.

Przyszło mu do głowy, żeby jej powiedzieć o tym i o innych ważnych rzeczach, ale wtedy musiałby oderwać wargi od jej ust, a bardzo tego nie chciał.

Dłońmi i ustami zaczął odkrywać miejsca, które wcześniej znały tylko jego oczy. Skąd mógł wiedzieć, co go czeka?

Podobnie było z ubraniem. Niektórych jego części nigdy wcześniej u niej nie widział. Serce mu dudniło jak czternastolatkowi. Przeszłość i teraźniejszość mieszały się ze sobą, ale kiedy Alice ściągnęła sukienkę przez biodra i kopnęła ją na bok, skupiły się obie w obecnej chwili.

Drżącymi rękami, niecierpliwie zdjęła z niego koszulę i sięgnęła do guzików dżinsów. Choć ubierał się w pośpiechu, jeszcze szybciej został pozbawiony odzienia.

Pociągnął ją na siebie i poczuł, że piasek układa się pod jego plecami, dostosowując do kształtu ciała. Plaża była miejscem, gdzie to nie powinno się stać i gdzie musiało się stać. Alice oczywiście o tym wiedziała.

Kiedy przytuliła się do niego, ogarnęło go radosne i jednocześnie niemal bolesne pożądanie. Obejmowało całe spektrum doznań, od agonii po rozkosz.

Alice miała szeroko otwarte oczy, on również. Jej zmieniły się w jedno cyklopowe, kiedy pocałował ją w nasadę nosa. W takich sytuacjach istniała pewna konwencja wstydu i rezerwy, ale między nimi ich nie było. Nie zamierzali niczego tracić.

Oplotła go silnymi nogami i razem pomknęli do przodu z szybkością, przy której już nie można się zatrzymać. Pas startowy się kończy i trzeba wzbić się w powietrze, za wszelką cenę, nawet gdyby miały odpaść silniki.

Alice zadrżała. A może to on?

- Możemy poczekać - szepnął, choć to nie była prawda.

Opanowało go uczucie zatracenia i ją chyba również, bo powiedziała albo przynajmniej tak mu się wydawało:

- To nie jedyny raz. Tylko pierwszy.

Wchodząc w nią, miał wrażenie, że rozpada się na części i w tej samej chwili zostaje stworzony na nowo. Objął ją rękoma, chyba zbyt mocno. Oczy napęłniły mu się łzami innego rodzaju niż te, które przelewał wcześniej.

Pocałował ją w usta, a ona odwzajemniła pocałunek. Nigdy wcześniej tego nie robił.

- Jesteś Alice - powiedział, unosząc głowę. Sam nie mógł w to uwierzyć.

Nareszcie byli razem, po tak długim oczekiwaniu. Jeszcze nigdy nie zaznał takiej radości.

Nie tylko kochał się z Alice, co samo w sobie było najwyższą rozkoszą, ale jednocześnie zawierał pokój z samym sobą.

Potem leżała z głową na jego piersi. Możliwe, że zasnęła na chwilę. Nadmiar doznań sprawił, że nie była w stanie ich śledzić.

Paul naciągnął na nich koc, tak że byli nadzy dla siebie, a nie dla świata. Było jej ciepło i dobrze, gdy tak przytulali się do siebie, spleceni rękami i nogami.

Bała się zrobić nagły ruch albo odezwać, żeby nie zburzyć tego kruchego stanu. Nie chciała nawet myśleć zbyt intensywnie. Tak miło było po prostu istnieć, cieszyć się chwilą.

A gdyby świat nic nie zauważył? Mogliby już tu zostać na zawsze. Ale słyszała szum fal i widziała, jak księżyc wyłania się zza chmur. Ziemia nadal się obracała, a oni nadal na niej byli. Zbliżał się świt. Jeśli to wszystko zdarzyło się naprawdę - jeśli nie porwie ich jakaś niewidzialna siła, jeśli mężczyzna w jej ramionach nie spróbuje wykasować tej strony - jutro nie tylko zacznie się inny dzień, ale inne życie.

Gdy później jedli ciasteczka, piasek zgrzytał Alice w zębach. To było coś znajomego i nie było całkiem nieprzyjemne. Pamiętała, jak matka mówiła, że piasek nie ma wartości odżywczych, ale w dzieciństwie stanowił główny pokarm Alice.

Za każdym razem, kiedy patrzyła na Paula, spodziewała się, że zniknie albo że będzie unikał jej wzrokiem, ale tak się nie stało. Został z nią i też jadł ciastka.

Potem zasnęli, a Alice obudziła się, czując na piersiach jego usta. Znowu się kochali, tym razem dłużej. Pod pewnymi względami było nawet przyjemniej. Niebo już jaśniało, więc mogła zobaczyć jego twarz. Dostrzegła na niej nieskrywaną rozkosz, jakiej nie widziała nigdy wcześniej.

- Kocham cię - powiedziała, kiedy na koniec przywarli do siebie. Palce jej stóp sięgały tuż nad jego kostki. - Zawsze cię kochałam. I zawsze będę.

Wiedziała, że za bardzo wybiega w przyszłość i mówi za dużo, ale to była prawda i ona nic nie mogła na nią poradzić.

Chciała znaleźć się w łóżku, zanim Riley zauważy jej nieobecność, a to oznaczało, że muszą się śpieszyć. Nie chcieli zostać powitani przez porannych biegaczy i surfingowców. Dobrze przynajmniej, że jej rodzice byli w mieście.

Robiła tyle nowych i podniecających rzeczy. Ubierała się na jego oczach, patrzyła, jak on to robi, i czuła, że w pewnym sensie ma do niego prawo - nie tylko to, że teraz do niego należy, ale że zawsze należała, a on do niej. Trzymając się za ręce, opuścili ziemię niczyją i przeszli krótki odcinek drewnianego chodnika do swoich domów. To Paul sięgnął po jej dłoń.

Przed rozstaniem pocałowali się jeszcze raz. Alice próbowała za nim nie patrzeć, ale i tak to zrobiła, jednocześnie błagając go w duchu: Nie opuszczaj mnie. Zostań.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, usiadła na łóżku i gapiąc się na ścianę, zaczęła odtwarzać minioną noc.

Pamięć to potęga. Już poprawiała, redagowała, układała relację na podstawie samych odczuć. Właśnie tak to wszystko miało wyglądać dla Alice. A jak dla Paula?

Nie miała ochoty brać prysznic, żeby nie zmyć z siebie ostatnich przeżyć, ale jednak poszła się wykapać. Bała się zasnąć, żeby podświadomość nie wprowadziła do jej doznań żadnych zmian. Mimo to zapadła w sen.

Tuż po przebudzeniu oddała się radosnemu rozpamiętywaniu. Zwykle zastanawiała się, jak jej sen ma się do życia na jawie, teraz było odwrotnie. To naprawdę się zdarzyło. Jej ciało mówiło, że tak.

Umierała z głodu. Na śniadanie łapczywie pochłonęła trzy miski płatków. Ubierając się, stwierdziła, że dziwnie czuje się w bieliźnie. Potem się zawahała, stojąc w drzwiach. Bała się, że w normalnym świecie magia zniknie. Ale jak miała sobie kupić kanapkę z jajkiem, nie ryzykując?

Na szczęście w sklepie było pusto. Opiekę nad dziećmi zaczynała dopiero po obiedzie. Zjadła pół kanapki we względnym spokoju, rozglądając się za Paulem. Patrzyła nawet tam, skąd na pewno nie mógł nadejść.

Chciała go zobaczyć, ale jednocześnie się bała. Pragnęła jak najdłużej zachować swoją wersję wydarzeń. Wolała nie dawać mu szansy, żeby zapamiętał wszystko inaczej, spakował wspomnienia do kufra i upchnął go gdzieś w ciemnym kącie.

Gdy dotarła do domu, stał pod drzwiami. Na jego widok ogarnęła ją radość i jednocześnie nerwowe podniecenie. Bała się na niego spojrzeć. Czy to naprawdę się stało?

Dlaczego szukała odpowiedzi na jego twarzy? Przecież wiedziała, że się stało. Czy ta pewność jej nie wystarczała?

Nie wystarczała. W romantycznej miłości najgorsze jest to, że potrzeba do niej dwóch osób.

Paul dał znak, żeby poszła za nim, a ona posłusznie ruszyła sekretną ścieżką do jego domu i dalej w górę po schodach. Okna w jego pokoju były otwarte tak szeroko, że ocean niemal znajdował się w środku. Wiatr również nie napotykał żadnych przeszkód.

Alice zaproponowała Paulowi drugą połówkę kanapki z jajkiem, a on pochłonął ją w mgnieniu oka. Zwinął folię w kulkę i cisnął ją do kosza na śmieci.

- Nieźle - pochwaliła Alice. Uznała, że będzie jego cheerleaderką. Sama narzuci ton ich relacjom.

Usiedli obok siebie na biurku, nie dotykając nogami podłogi. Nic nie mówili, tylko od czasu do czasu na siebie zerkali.

Hej. Czy to się naprawdę zdarzyło?

W końcu wypowiedziała to na głos i zacisnęła dłonie. Tylko nie pytaj, co? Nie wykręcaj się od odpowiedzi. Nie palnij czegoś niewłaściwego, proszę, błagała go w duchu.

Paul posłał jej uśmiech, którego dotąd nie знаła. Zsunął się z biurka, wziął ją na rękę i zaniósł na łóżko, po czym natychmiast sięgnął do jej szortów.

- Upewnijmy się - powiedział.

Dwa dni później Alice wróciła do domu z klubu jachtowego podniecona i zniecierpliwiona. Miała wrażenie, że pochłania życie wielkimi kęsami, tak łapczywie, że nawet ich nie gryzie. Umyła twarz i nałożyła lekki makijaż. Miała zamiar pójść prosto do Paula. Udawałby zaskoczenie, ale wiedziała, że na nią czeka.

Kiedy szła promenadą, nad zatoką panował spokój. Nie odbywały się dzisiaj żadne duże przyjęcia na łodziach. Alice zobaczyła kajaka przecinającego ślad księżyca na wodzie i pomyślała o Riley. Jej nastrój zmienił się w jednej chwili.

Obejrzała się na klub. Bar nadal był oświetlony i pełen ludzi. Alice pamiętała noc sprzed sześciu lat, na tej samej promenadzie, noc dorocznego przyjęcia z okazji Memorial Day.

- Nie chcemy iść - oznajmiła Riley wczesnym wieczorem, zwracając się do matki.

Uznała, że może mówić za siebie i za siostrę, bo zwykle tak robiła. I zwykle Alice się z nią zgadzała. Robiły coś wspólnie, tylko we dwie, na przykład wybierały się na nocną przejażdżkę łodzią. Alice od dawna była uwarunkowana w ten sposób, że czuła się szczęśliwa, kiedy miała Riley tylko dla siebie.

Ale tamtego roku skończyła piętnaście lat. Zimą wreszcie pozbyła się aparatu na zęby i odkryła preparat, dzięki któremu jej włosy były proste i gładkie jak u innych dziewczyn. Niedawno dostała nową parę dżinsów i bardzo je lubiła. Bała się jednak przyznać do tych wszystkich rzeczy przed Riley.

- Ja chyba mogłabym pójść - bąknęła nieśmiało. Riley odwróciła się do niej zaskoczona.

- Chcesz iść?

Alice poczuła się zawstydzona, ale naprawdę miała ochotę pójść na przyjęcie.

- Tylko na chwilę. Żeby spotkać się z paroma osobami.

Miała swój sekret. Wiedziała, że podoba się Seanowi Randallowi. Janna Greek powiedziała jej o tym na promie. Alice nie była pewna, czy on też jej się podoba, ale uznała za podniecające to, że ktoś patrzy na nią w ten sposób.

Riley obserwowała ją z niedowierzaniem pół godziny później, kiedy Alice schodziła na dół w nowych dżinsach. W łazience schowała do torebki kredkę do oczu i błyszczek do ust. Zawsze musiała malować się w sekrecie.

- Jeszcze możemy popływać kajakiem, jeśli ci się znudzi - zaproponowała Riley.

Alice poczuła się gorzej, niż gdyby siostra wyskoczyła z krytyką albo osądem. Miała wyrzuty sumienia, że zostawia ją samą. Pamiętała, jak było jej przykro, kiedy nie było Paula, bo jego matka nie otwierała domu przed czwartym lipca. Ratownicy, z którymi zwykle Riley spędzała czas, pochodzili w większości z Bay Shore albo Bridgewater. Pojawiali się dopiero pod koniec czerwca i choć niektórzy mieszkali na miejscowym kempingu, w świąteczny wieczór przeważnie wracali promem do domu.

Po minie Riley Alice widziała, że siostra naprawdę nie ma ochoty iść na przyjęcie i nie jest w stanie pojąć jej decyzji. Alice odczuwała jako swoją słabość to, że chce wyglądać ładnie i mieć chłopaka. Riley miała wtedy osiemnaście lat i jeszcze nigdy z nikim nie chodziła ani się nie całowała. To ona jest dziwna, tłumaczyła sobie Alice, ale marna to była pociecha. W sercu czuła ból zdrady.

Pamiętała wyraźnie, jak idzie tą samą promenadą w nowych dżinsach, ze wstydem w duszy i skrywanym podnieceniem.

Spójrz, co mogłaś mieć

- Paul! Chodź! Co tam robisz, do diabła?! - krzyknęła Riley, stojąc następnego dnia w kuchennych drzwiach jego domu.

Ocean był wzburzony, więc uzgodnili wcześniej, że pójda posurfować, jeśli pogoda się utrzyma. Riley niecierpliwiła się, bo wiedziała, że warunki mogą się zmienić w każdej chwili. Ostatnio łatwo irytowała się na Paula.

- Wejdz. Zaraz schodzę! - odkrzyknął.

- Nie. Będę na plaży! - wrzasnęła i zamknęła za sobą drzwi.

Nie lubiła tego domu. Nigdy do niego nie wchodziła.

Nie tylko nie cierpiała tej rezydencji, ale czuła się przez nią zagrożona. Dawniej domy, nawet ten, wydawały się pełne piasku, zapachu morza i wilgoci, od której pleśniały płatki w pudełkach, a okna i drzwi pozostawały przez cały czas otwarte. Teraz były profesjonalnie sprzątane, uszczelnione i klimatyzowane, jakby zainfekował je jeden po drugim jakiś wirus. Gruntowne remonty, zmywarki do naczyń, drogie meble i zasłony dla większej prywatności. Zbiorowisko dekoracji scenicznych, w których ludzie pozowali, a nie mieszkali naprawdę. Tylko jej dom się nie zmienił.

Lia, matka Paula, była efektowna w taki sam sposób jak jej rezydencja.

Riley nauczyła się nie ufać bardzo pięknym kobietom, zapewne w powodu Lii, która wykorzystywała urodę przeciwko ludziom.

Tylko dla Alice Riley musiała zrobić wyjątek. Miała nadzieję, że siostra nie pójdzie tą drogą, lecz, niestety, chyba tak się stało. Alice nie miała urody tyrana, choć mogła nią ranić. Ale jej należało wybaczyć.

Patrząc z plaży na dom, Riley próbowała znaleźć inną przyczynę swojego dyskomfortu. Kiedy Alice wyszła w nocy i zakradła się z powrotem tak wczesnym rankiem, żeby nikt tego nie zauważył, i kiedy Paul nie zjawił się jak zwykle na śniadaniu, a potem na partyjce pokera, Riley nie chciała wyciągać z tych faktów żadnych wniosków. Wiedziała jednak, że oboje są w domu Lii.

Napełniał ją smutkiem fakt, że Paul już nie stosował dawnych sztuczek, żeby mieszkać u nich. Nie udawał, że zasypia na kanapie, żeby nie odesłali go na noc do własnego łóżka. Teraz wolał zostać w wielkim, obcym domiszczu. Czekał na Alice.

Alice miała tamtej nocy sen - utknęła w swoim pokoju i nie mogła z niego wyjść, a zarazem nawet nie próbowała otworzyć drzwi. Miała dziwne, przyprawiające o zawrót głowy wrażenie, że dom nie stoi pewnie na fundamentach. Chciała zobaczyć niebo, ale nie mogła wyjrzeć przez okna, które już nie były otworami w ścianie, tylko obrazami tego, co zwykle przez nie widać: chmur, trzciny, rezydencji Paula. Raptem stwierdziła, że już nie patrzy na te obrazy, tylko przegląda stosy prania, szukając czerwonego kostiumu Riley, bo wiedziała, że siostra go potrzebuje.

Obudziła się wcześnie rano, czując mrowienie w palcach stóp. Umyła twarz i zaczęła szorować zęby, chodząc po pokoju, ale trudno jej było otrząsnąć się z tego niepokojącego snu.

Nie zastanawiając się, włożyła szorty i podkoszulek i boso pobiegła Main Walk na plażę.

Poczuła ulgę na widok Riley, która siedziała w czerwonym kostiumie na krzeselku ratownika i czujnie obserwowała morze, tak samo jak zawsze. Alice próbowała do niej krzyknąć, żeby się przywitać, lecz wiatr porwał jej słowa i Riley najwyraźniej ich nie usłyszała.

Kiedy późnym rankiem następnego dnia do drzwi frontowych zadzwoniła kobieta z FedExu, Paul poczuł się niemal tak, jakby chciano mu wręczyć powołanie do wojska. Stał w progu, więc nie mógł udawać, że nie ma go w domu.

Zorientował się szybko, że to jakieś dokumenty z firmy prawniczej. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć. Bez wątplenia pilne i wymagające co najmniej trzech podpisów, ale on zaraz wyrzucił je do kosza i więcej o nich nie pomyślał. Dziadkowie zlecali brudną robotę prawnikom, a on całą korespondencję od nich traktował jak śmieci. Podpisał się imieniem i nazwiskiem Paul McCartney i odebrał paczkę.

Zawsze go odnajdowali. Kiedyś człowiek w uniformie pojechał za nim aż do parku narodowego Kings Canyon. Będąc w paranoicznym nastroju, Paul nieraz podejrzewał, że kiedyś podczas snu dziadkowie wszyli mu w kostkę nadajnik GPS.

Wrócił do biurka, rzucił przesyłkę na stos papierów. Potem gapił się w ekran i myślał o Alice, dopóki nie pojawiła się w jego drzwiach, wysmagana wiatrem.

- Widziałeś plażę?

- Tylko z okna.

- Spodobałaby ci się dzisiaj.

- Chodź tutaj - powiedział.

Kłopot polegał na tym, że chciał ją dotykać przez cały czas.

Gdy się zbliżyła, pociągnął ją na swoje kolana. Jej wargi natychmiast przywarły do jego ust, jego dłonie znalazły się pod jej koszulką.

- Już po pracy? - zapytał z nadzieją.

- Mam czas do drugiej.

- Tęskniłem za tobą.

O, rany! Wyobrażał sobie, że zakochani ludzie mówią takie rzeczy, żeby zademonstrować stan swoich uczuć. Nie zdawał sobie sprawy, że te słowa same wychodzą z ust i nie można ich powstrzymać.

- Podobało mi się, kiedy nosiłaś krótkie spódniczki - wyznał, zadzierając tę, którą miała na sobie.

W kieszeni miał prezerwatywę. Teraz już cały czas nosił je przy sobie. Jedną trzymał w bucie. Był przygotowany na to, żeby kochać się z Alice w dziale delikatesowym miejscowego sklepu, jeśli nikt się nie sprzeciwi.

W ciągu zaledwie tygodnia nabrał wprawy w zdejmowaniu z niej najwymyślniejszych staników i bikini, podczas gdy ona nauczyła się zręcznie uwalniać go od spodni. Nie potrzebowali na to wiele czasu i prawie nie musieli zmieniać pozycji. Siedząc mu na kolanach, Alice oplótła ramionami szyję Paula i pomogła mu wejść w siebie. Jęknął z rozkoszy. Kiedyś robił tak z kurtuazji wobec partnerki, ale przy Alice po prostu nie mógł się pohamować.

A gdyby już nic więcej nie potrafił zdziałać w życiu, tylko kochać się z Alice? Tylko o tym myślał i tylko tym chciał się zajmować. Może gdy wszystko się ułoży, uda mu się w tej pozycji dokończyć pracę dyplomową. A co mogłaby robić Alice? Na przykład czytać, pisać albo oceniać artykuły. Będzie musiał spróbować zarazić ją tym pomysłem. Może zostaną pierwszą parą, która robi karierę, uprawiając seks. Nie chodziliby na wykłady ani spotkania, ale mogliby urządzać telekonferencje. Praktyka prawnicza nie wchodziłaby w rachubę. I bardzo dobrze.

Pocałował włosy Alice, ucho, oko. Był szczęśliwy.

Oboje szczytowali i na długą chwilę opadli z sił.

Kiedy przyszła pora rozstania, Paul obserwował, jak Alice siada na jego biurku, zapina stanik i układa włosy. Sprawnie jej to szło.

Opowiadała mu o Gabrielu, czterolatku, który próbował spuścić elektryczną kolejkę brata w toalecie. Paul słuchał, naprawdę słuchał, ale jednocześnie się nią zachwycił. Miłość sprawia, że człowiek podziwia zabawne cechy w drugiej osobie, na przykład to, że zawsze pamięta o zwróceniu książki do biblioteki albo umie kroić ogórek na cienkie plasterki. Alice była prawdziwą mistrzynią w wyciąganiu drzazg ze stóp.

Jak można tak się czuć? Jak można pozwolić, żeby życie biegło naprzód i nie mieć żadnych planów oprócz tego, żeby się kochać? To po prostu wykluczone. A przynajmniej niedopuszczalne.

Czyżby oboje trafili w jakąś pętlę egzystencjalną, w której można być szczęśliwym przez cały czas?

Wiedział, że to niemożliwe, ale czy on w ogóle jeszcze coś wiedział?

Niewiarygodne. Nieprawdopodobne. To się zwyczajnie nie mieściło w głowie.

Uwierzyłby, że świat jest w stanie pomieścić każdą ilość cierpienia, ale coś takiego? Tego nie przewidział. Był jak szczur doświadczalny tresowany do znoszenia bólu. I teraz, kompletnie oszołomiony, trochę tęsknił za dawnym stanem.

Alice wstała i z czułością zmierzwiła mu włosy. Tak naprawdę wcale nie chciał znaleźć drogi powrotnej.

- Co to jest? - zapytała.

- Pismo od prawników wynajętych przez moich dziadków. - Nawet to nie mogło zepsuć mu humoru. Pomyślał, że paczka wygląda ładnie w jej rękach.

- Nie otworzyłeś.

- Wiem. To jakiś dokument, który mam podpisać, żeby góra pieniędzy przeszła z konta mojej matki na moje. - Wzruszył ramionami. - Jestem głodny. Mamy czas na jajecznicę?

- Na szybką. Podpiszesz to?

- Nigdy.

- Wystarczy nam czasu na jajecznicę, ale nie na specjalną. Paul zrobił zawiedzioną minę. Ostatnio, kiedy robili jajecznicę, kochali się w kuchni i przypalili tosty.

- Ale ja taką właśnie lubię. Proszę. Alice spojrzała na zegar wiszący w holu.

- No dobrze.

Obserwując, jak Alice rozbija jajka (z wprawą godną geniusza), znowu westchnął. Nie mógł się powstrzymać. Przyłapał się na myśli, że gdyby ich historia miała się teraz skończyć, byłoby to szczęśliwe zakończenie.

- Słyszałam, że była Lia - powiedziała Judy.

- Owszem. - Jego życie tak się ostatnio zmieniło, że niemal zapomniał o wizycie matki.

- Co u niej?

Judy miała swoją wścibską minę i wścibski ton głosu Paul jednak starał się tym nie przejmować. Dostrzegał jej wady, ale je wybaczał. Zerknął na Ethana.

- Po staremu.

Alice siedziała po drugiej stronie stołu, opierając stopę na krześle. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby powędrować myślami pod jej spódniczkę, ale sam zakaz wystarczył. Zamiast lepiej było jeszcze gorzej.

- Nie widziałam jej - odezwała się Riley. - Nawet nie miałam pojęcia, że tu jest.

To dlatego, że cię unikałem, pomyślał Paul, ale nic nie powiedział.

- Najadłeś się? - spytał Ethan, wstając od stołu. Zaczął sprzątać talerze.

- Tak, dzięki - odparł Paul.

Zjadł cały makaron, lecz nadal był głodny. Miłości. Alice, choć nalegała, żeby przyszedł dzisiaj na kolację, teraz nie chciała nawet na niego spojrzeć.

- Będzie dziwnie wyglądać, jeśli nie przyjdiesz - ostrzegła, kręcąc się po jego pokoju. Niestety nie pozwoliła się rozebrać.

- Nie uważasz, że będzie dziwnie, jeśli przyjdę?

- Kiedy się zdarzyło, że nie przyszedłeś, gdy coś gotowaliśmy? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. I miała rację.

Jego powonienie było tak wyczulone na zapachy z ich kuchni, że wykrywało nawet posiłek z mikrofalówki przy wietrze wiejącym w przeciwną stronę.

- Mam przez cały czas trzymać ręce z daleka od ciebie? - zapytał.

- Chyba że chcesz, żeby się dowiedzieli.

- Może chcę.

Alice spojrzała na niego, jakby postradał rozum. I chyba rzeczywiście tak było. Już sam nie wiedział, co myśleć. Jego zasady przestały istnieć. Wyobraził je sobie w innym miejscu, na przykład zapisane w notesie. Musiałby go przekartkować, żeby zobaczyć, co sądzi o różnych rzeczach.

- Jak się czuła z powrotem w domu? - indagowała Judy.

Paul pomyślał o liście leżącym na jego biurku. Kiedyś był z nimi szczery.

- Nie lepiej niż ostatnio.

Usłyszał, że Ethan śpiewa razem z Bruceem Springsteenem, którego piosenka akurat leciała w radiu, i hałaśliwie zmywa naczynia.

- Zatrzyma dom?

Z tą sprawą umysł Judy nie mógł się uporać. Rozumiała ból po stracie męża, napięte stosunki w rodzinie, ciągle podróże po świecie, ale nie była w stanie pojąć, dlaczego mając taką rezydencję na wyspie, nie korzysta się z niej, nie wynajmuje ani nie sprzedaje.

- Okazuje się, że nie. Alice osłupiała.

- Co?

Riley z hukiem opuściła krzesło na podłogę.

- Sprzedaje go?

- Cóż. - Paul czuł, że wzrok Alice przeszywa go na wylot. - Oddaje go mnie.

- Oddaje tobie? - powtórzyła Judy.

- Nie wiem dlaczego. W każdym razie podpisała dokumenty. Sądziłem, że nie może do tego dojść bez mojego podpisu, ale najwyraźniej mogło. Nie mam wyboru w tej kwestii.

Alice patrzyła na niego z miną barowego zabijaki, który zaraz wywlecze go na parking i stłucze na kwaśne jabłko.

Powinien był wcześniej jej o tym powiedzieć. No tak, ale pracowała do samego wieczora.

- Twój dziadkowie pewnie są szczęśliwi - stwierdziła Judy. Czasami potrafiła być nietaktowna.

- Nie chcesz domu? - spytała Alice.

- Ja go wezmę - zaproponowała Riley.

- Wolałbym wasz - rzucił bez zastanowienia Paul.

- Twój jest wart dziesięć razy więcej - zauważyła Alice.

- Nie jest - sprzeciwił się Paul. Poświęcił trochę czasu na rozmyślanie o pieniądzach.

Wiedział, czego nie można za nie kupić.

- I co zrobisz? - zainteresowała się Judy.

- Jeszcze nie wiem. Dowiedziałem się o tym dzisiaj.

W rzeczywistości już wiedział, że sprzeda rezydencję. Zapomniał o większości swoich zasad, ale jednego był pewien. Tego, że nie należy do ludzi, którzy mają na własność dom na plaży wart miliony dolarów, choć bardzo lubił przebywać w jednym z nich.

- Więc jednak otworzyłeś list - powiedziała Alice, kiedy odprowadzała go do domu.

- Po twoim wyjściu. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

- Niezłą masz chałupę - skomentowała, patrząc na trzypiętrową budowlę, która wznosiła się nad nimi.

- Dzięki.

- Muszę wracać i dokończyć zmywanie.

Paul chwycił Alice za ramię i ściągnął ze ścieżki, w ciemność. Objął ją i pocałował.

- Tu są kleszcze - zaprotestowała słabo Alice.

- Później cię obejrzę.

- Och!

- Przyjdź dzisiaj do mnie.

- No, nie wiem. Matka ma słuch jak zajac.

- I tak przyjdź. - On nabrał zwyczaju odmawiania ludziom różnych rzeczy tylko dlatego, że bardzo ich pragnęli. Na szczęście Alice nie była taka.

- Dobrze.

I rzeczywiście zjawiała się w jego sypialni przed północą.

- Judy jest na tropie? - zapytał Paul, odrywając wzrok od komputera.

- Nie, chyba udało mi się wymknąć niepostrzeżenie.

- Grzeczna dziewczynka. Alice usiadła na łóżku.

- Myślę, że byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że idę się z kimś spotkać.

- Tak sądzisz?

- Nie cierpi, kiedy stajemy się niezależne, ale jednocześnie nie lubi, gdy nie jesteśmy niezależne.

- Uważa, że nie jesteście?

- Chyba się martwi. Najbardziej o Riley.

Wkraczali na grząski grunt. Paul wiedział, o co i dlaczego martwi się Judy, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą, nie mówiąc o Alice. Riley była dla niego jak siostra, więc nie miał ochoty zastanawiać się nad jej seksualnością. Nad tym, czy jest lesbijką? Czy w ogóle interesuje ją seks? Czy jest samotna? Inni spekulowali na ten temat, ale on przyłączenie się do nich uważałby za zdradę. Kolejną zdradę.

- A o co się martwi w związku z tobą?

- Że nie umawiam się z chłopcami. Paul się uśmiechnął.

- A nie umawiasz się?

- Tylko z jednym.

Kochali się w jego łóżku, a później, nadzy, zrobili sobie w kuchni gorącą czekoladę, choć Paul podejrzewał, że mieszanka stoi w szafie od lat osiemdziesiątych. Alice znalazła w torbie jabłko. Zaczęli się o nie kłócić, głodni jak wilki. W końcu uzgodnili, że się nim podzielą, i zjedli je, podając sobie na zmianę.

Co zrobi ze wszystkimi rzeczami, kiedy sprzeda dom? Z pamiątkami po ojcu? Co powinien z nimi zrobić? Może czas, żeby ktoś o tym pomyślał.

Paul patrzył, jak Alice siedzi na blacie i pije czekoladę. Podziwiał jej piękne ciało w bocznym świetle padającym ze spiżarni. Czuł pożądanie, ale również coś więcej. Jak mógł sprzedać ten dom? Kuchnię z blatem, na którym siedziała Alice? Ze zlewem, do którego wrzuciła ogryzek jabłka? Z czekoladą w proszku z lat osiemdziesiątych?

Później przyglądał się Alice śpiącej w jego łóżku i poczuł to samo. Ujrzał przyszłość. Kiwała na niego, żeby popatrzył.

Spójrz, co mógłbyś mieć.

Z zasady nie rozmyślał o przyszłości. Z góry odrzucał większość tego, czego pragnął albo dzięki czemu czuł się dobrze. Był wyczulony na sztuczki. Nie zamierzał brać żadnych łapówek.

A teraz? Teraz pragnął mieć Alice w swoim łóżku. Dzięki temu czuł się dobrze. Chciał, żeby Alice została w tym domu na zawsze. Czuł się tak, jakby skoczył z trapezu, zrobił obrót w powietrzu i chwycił się drugiego, pędzącego ku niemu z przeciwnej strony.

A gdyby zatrzymał dom? To wydawało się nie do pomyślenia, ale... Gdyby zatrzymał go dla Alice? Gdyby zamieszkali w nim razem i wymyślali nazwy dla plaż, kiedy będą starzy? Gdyby mieli dwa rozkładane krzeselka, siedzieli na nich przez cały dzień i czytali kryminały? Gdyby urodziły im się dzieci, które później urosną, będą pływać w oceanie, łapać kraby, ryby i małże?

Gdyby nauczył się kochać to, co ma? Gdyby pokochał samego siebie? Gdyby tu został, żeby się tym cieszyć? To były niebezpieczne myśli, ale nie mógł ich odpędzić. Gdyby zamieszkał tutaj z Alice?

Klątwa

Alice usłyszała sygnał pogotowia ratunkowego około piątej rano. Kilka długich i kilka krótkich na zmianę. Była zbyt rozespana, żeby je liczyć, zresztą nigdy nie nauczyła się, co dokładnie znaczą różne wersje. Riley znała wszystkie.

Zerknęła za okno, szukając oznak huraganu albo tsunami, a kiedy nic podejrzanego nie zobaczyła, uznała, że to kolejny dziadek dostał prawdziwego albo urojonego udaru. Oba przypadki zdarzały się tutaj dość często. Słuchając wycia śmigłowca medycznego, przytuliła się do rozgrzanego ciała Paula i zapadła z powrotem w głęboki sen.

Kiedy zakradła się rankiem do domu, żeby wskoczyć do łóżka, zanim rodzice albo siostra spostrzegą jej nieobecność, zauważyła dziwny nieład w kuchni. Światelko w aparacie telefonicznym mrugało. Łóżko Riley było oczywiście puste, ale rodziców również. Jak to możliwe, że wyszli przed nią? W pierwszej chwili Alice przestraszyła się, że odkryli jej nieobecność, ale kiedy zobaczyła stan szafy matki i szlafrok ciśnięty na podłogę, jej niepokój wzrósł. Doszła do wniosku, że stało się coś złego.

- Halo?! - zawołała w dół schodów. - Halo?! - krzyknęła do wszystkich części małego domu. Nikogo nie było w łazience. Nikt się nie odezwał.

Z narastającym lękiem w piersi pobiegła z powrotem do kuchni i zapaliła światło. Tym razem jej wzrok trafił na nabazgraną ukośnym pismem notatkę leżącą na blacie.

Alice. Jesteśmy z Riley w Dobrym Samarytaninie. Próbowaliśmy cię znaleźć. Zadzwoń na moją komórkę.

Sięgnęła po słuchawkę. Drżącymi palcami zaczęła wstukować cyfry, myśląc o snach, w których musiała pilnie gdzieś zadzwonić, ale wciąż wybierała zły numer.

Dobry Samarytanin. Ludzie nazywali ten szpital Dobry Sam.

Chodziło o Riley. Rzeczywiście o nią? A może o tatę? Sygnał telefonu brzęczał w jej uchu.

- Alice? - rozległ się głos Judy.

- Mamo? Co się dzieje? - W tle było słycać hałas.

- Alice?

- Tak! - wrzasnęła do słuchawki. - To ja! Co się stało?

- Riley. Kochanie, ona... - Matka urwała, gdy gdzieś obok niej rozbrzmiało ogłoszenie z interkomu i kolejne hałaśliwe odgłosy.

- Co z nią?

- W nocy miała kłopoty z oddychaniem. Myśleliśmy, że to zapalenie płuc albo atak astmy, ale teraz sądzimy, że to coś z sercem.

Alice przypomniała sobie syrenę wyjąca w środku nocy. Pomyślała o własnej nagości, rozkoszowaniu się ciałem Paula, o spokoju. Ogarnął ją chłód, silne poczucie winy wypełzające z ciemnych zakamarków. Zasłużyła na karę, kusiła los.

- Lekarze stwierdzili uszkodzenie zastawki. Próbują wykryć przyczynę. - Głos matki był urywany i słaby.

- Jak można w tym wieku mieć chore serce? - zdziwiła się Alice.

- Nie wiem. Właśnie próbują to ustalić.

- Co ona robi? Śpi? Źle się czuje?

- Nie śpi. Twierdzi, że już czuje się dobrze.

Alice nie mogła sobie wyobrazić, że Riley jest przytomna i mówi coś innego.

- Mogą to wyleczyć?

- Dowiemy się wkrótce.

Matka używała słowa „my”. Zwykle raczej dystansowała się wobec męża i choć Alice się to nie podobało, teraz było pocieszające. Oznaczało, że Judy potrafi zachować lojalność w nieszczęściu i że małżeńskie niesnaski nie są jej największym kłopotem.

- W takim razie przyjadę - oznajmiła Alice.

Chciała usłyszeć: „Nie trzeba, niedługo wszyscy wrócimy do domu. Nie ma powodu, żebyś przyjeżdżała”. Ale matka tego nie powiedziała, tylko rzuciła krótko:

- Pokój sześćset dziewięćdziesiąt cztery.

Alice pomyślała o tym, żeby przed pójściem na prom wstąpić do Paula. Mógłby się szybko ubrać i pojechać razem z nią. Nie zastanawiałby się ani chwili. Martwiłby się o Riley.

Ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiła. Przez całą drogę do promu szła z opuszczoną głową. Wysokie fale uderzały o nabrzeże, padająca mżawka i pył wodny zmoczyły jej nagie ramiona.

Gdy dotarła na przystań, usiadła na ławce. Nie wiedziała, o której odchodzi prom. Mogła tylko siedzieć i czekać.

To była jej pokuta. Wspominała długie i krótkie sygnały rozdzierające ciszę nocną. A raczej skakała po pamięci jak po rozżarzonej powierzchni, bo lądowanie byłoby zbyt bolesne. Odsuwała od siebie myśl o tragedii, jakby ta przydarzyła się komuś innemu. Wręcz cieszyła się, że jej szczęściu nic nie zagraża. Jak mogła być taka samolubna?

Czekała. Tylko taką karę potrafiła na razie wymyślić za to, że była szczęśliwa z Pauliem, podczas gdy Riley leciała helikopterem do szpitala.

Alice usiadła na łóżku dzielnej pacjentki i próbowała się zorientować, dlaczego rodzice są tacy wystraszeni.

- Miałam sen, że jestem pod wodą i brakuje mi oddechu, aż w końcu zaczerpnęłam wielki haust wody. Śniło ci się kiedyś coś takiego? Potem się obudziłam, ale wrażenie pozostało. Nadal czuję się, jakbym próbowała oddychać pod wodą, jakby woda zalewała mi płuca.

- Boże!

Riley wzruszyła ramionami.

- Mama usłyszała mnie z korytarza, a kiedy próbowałam jej wyjaśnić, co się stało, zaczęła panikować i wezwała pogotowie.

Alice pokiwała głową. Przesunęła nogi tak, że utworzyły most nad kolanami Riley. Siostra pozwoliła jej ogrzać zimne stopy.

- Stał cały ten cyrk z helikopterem, i w ogóle. Trochę przesadzili i dlatego jesteśmy tutaj. Czy rzeczywiście to była przesada?

- A teraz możesz oddychać? - zapytała Alice.

- Tak. - Riley usiadła na łóżku. - Co powiedziałaś Jimowi?

- Zostawiłam wiadomość w kempingu ratowników, że dzisiaj jesteś chora. Dobrze zrobiłam? - Alice nie chciała okazywać zbytnej troskliwości. Wyglądałoby wtedy na to, że dzieje się coś poważnego.

- Nie rozmawiałaś z nim?

- Nie było go. A powinnam?

- Wszystko w porządku. Zadzwoń do niego później. - Riley odgarnęła włosy. Jej twarz miała niewłaściwy kolor. - Jeśli będziesz z nim rozmawiać... nic mu nie mów, dobrze?

- O tym, że jesteś tutaj? - upewniła się Alice.

- Tak. To by zabrzmiało zbyt groźnie.

Może to jest groźne, pomyślała z lękiem Alice. Może właśnie tak powinno brzmieć.

- Kiedy przyjdzie lekarz? - spytała.

- Który? - Riley wzruszyła ramionami. - Była ich cała banda.

- Nie wiem. Lekarz od serca. Riley opuściła wzrok na kołdrę.

- Mam nadzieję, że stąd wyjdę, tak żeby zdążyć na prom o pierwszej pięćdziesiąt pięć. O czwartej daję lekcję pływania.

- Chcesz, żebym zadzwoniła?

- Nie. Może dotrę na czas. Zresztą sama się tym zajmę. - Wskazała na płócienną torbę leżącą na krześle. - Sprawdzisz, czy jest tam moja komórka?

Alice sięgnęła po torbę.

- Co się stało z twoją ulubioną?

Kiedy Riley nie odpowiadała, Alice zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

- Zgubiłam ją.

Alice zaskoczył czujny wyraz malujący się na twarzy siostry. To nie było przesłuchanie.

- Nie widzę twojego telefonu. Pójdę zapytać mamę, dobrze?

Chciała wyjść z pokoju, żeby znaleźć odpowiedzi na kilka pytań.

Matka siedziała w poczekalni, z głową opartą na ramionach.

- Riley wyjdzie dziś po południu? - zapytała Alice.

Judy spiorunowała ją wzrokiem, jakby córka napluła jej na but.

- Po Riley przyleciał helikopter medyczny - powiedziała.

Alice na próżno starała się zapanować nad niepokojem.

Zdecydowanie wołała wersję siostry.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie wyjdzie stąd dzisiaj po południu. Dramaty, nawet ukryte, zwykle dawały matce energii.

Teraz wyglądała na przybitą i zmęczoną.

- Lekarze próbują ustalić, co się stało. Zrobili dzisiaj mnóstwo badań.

- Gdzie tata?

- Stara się dodzwonić do towarzystwa ubezpieczeniowego.

Jak szybko Riley znowu stała się ich dzieckiem. Jak szybko rodzice wzięli na siebie całkowitą odpowiedzialność za jej życie. Riley miała dwadzieścia cztery lata, a całkiem ją ubezwłasnowolnili. Czyja to była wina?

- Będzie z nią dobrze? Judy nie lubiła takich pytań.

- Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć.

- Wrócę jutro rano - obiecała Alice.

Przez całe popołudnie pielęgniarki pobierały fiolkę za fiolką krwi Riley, robiły EKG i inne badania. Siostry głównie oglądały telewizję, między innymi długi show poświęcony remontowi domu, w którym pewna kobieta buduje taras.

Alice zerknęła na twarze pielęgniarek w taki sposób, w jaki obserwuje się stewardesy, kiedy samolot wpada w turbulencje. One zawsze wiedzą najwięcej, prawda?

Teraz na zewnątrz było już ciemno. Alice miałaby szczęście, gdyby złapała ostatni prom. Ojciec chrapał na krześle w kącie pokoju.

- Dobrze.

Riley miała żalną minę, ale tylko dlatego, że Alice wracała na plażę, a ona nie. Z dystansu Fire Island czasami jawiła się wyłącznie jako idea. Trudno było uwierzyć, że wyspa naprawdę istnieje, tuż obok takiego miejsca jak to, gdzie dzieją się realne rzeczy.

Oparta o poduszki Riley wyglądała jak dziecko. Usiadła prosto, kiedy Alice wychodziła.

- Hej, Al. Mogę cię prosić o przysługę? Alice odwróciła się zaskoczona.

- Oczywiście. - Myśl, że jest w stanie coś zrobić dla siostry, podniosła ją na duchu. - Co tylko zechcesz.

- Kiedy spotkasz Paula, nie mów mu o... tym. Dobrze? Alice spojrzała na linoleum w ciapki, na powrót przygnębiona.

- Ale...

- Mówię serio. Proszę. Nie chcę, żeby wszyscy o mnie gadali, dopóki się nie dowiem, co się dzieje.

- Paul nikomu nie wypaple. Znasz go przecież.

Twarz Riley zrobiła się dziwnie pusta i nieprzenikniona.

- Wiem, ale po prostu nic nie mów, dobrze? Obiecaj mi.

Alice ogarnęła rozpacz połączona z wyrzutami sumienia. Miała opory przed zrobieniem jedynej rzeczy, o którą prosiła chora.

- Riley...

Starsza siostra nie myślała jasno. Sądziła, że spędzi popołudnie, udzielając lekcji pływania.

Ale jej twarz otworzyła się na chwilę i Alice zobaczyła, że Riley ani nie jest otępiała, ani nie ma złudzeń. Najwyraźniej domyślała się głównego powodu jej niechęci do spełnienia prośby.

- Jeśli to coś poważnego, chcę sama mu o tym powiedzieć - wyjaśniła. - O tyle chyba mogę poprosić?

Alice kiwnęła głową. Wiedziała, że Riley ukrywa swoje prawdziwe motywy, ale czy mogła jej odmówić?

- Więc co mam mówić ludziom?

- W poniedziałek jest święto pracy. Zadzwoń do Jima, żeby przełożył moje dyżury, jeśli będzie trzeba. Potem i tak wszyscy wyjadą. Jeśli ktoś zapyta, powiedz, że musiałam wrócić do miasta kilka dni wcześniej.

Alice skinęła głową.

- Obiecujesz? - upewniła się Riley.

- Obiecuję. - Co innego mogła odpowiedzieć?

- Alice.

Paul czekał na nią w kuchni. Wyraz jego twarzy był tak obcy, że ledwo go poznała.

- Gdzie byłaś?

Zastanawiała się nad tym przez całą drogę z Field FIDE, którą musiała pokonać pieszo. Spóźniła się na ostatni prom, więc miała mnóstwo czasu na myślenie. Może za dużo. Jeśli się ludziła, że wpadnie na jakieś błyskotliwe kłamstwo, straciła nadzieję w ciągu wielokilometrowego marszu po piasku.

Opuściła wzrok.

- Wyjechałam z wyspy dziś rano - powiedziała, patrząc w podłogę.

Nie wstąpiła do niego, tak jak zamierzała. Gdyby nie to wszystko, teraz siedziałyby na jego kolanach. Byliby rozebrani. Jej ciało tęskniło za nim. Paul też wyglądał na osamotnionego i spragnionego.

Podeszła bliżej. Czowała, że łzy zbierają się w jej w oczach, ale nie mogła rozplakać się przy nim.

Wciąż na nowo przeżywała chwilę, w której nocą rozbrzmiewał sygnał pogotowia, a ona leżała w jego ramionach. Nie potrafiła wyrzucić jej z pamięci. Nie ma takiej rzeczy, która w najbliższej przyszłości nie może się zmienić, takiej radości, która kilka godzin później nie może przerodzić się w smutek.

- Wszyscy wyjechaliście? Gdzie reszta?

Alice stwierdziła, że łatwiej jest kłamać, kiedy zasłania się dużą częścią twarzy. Wydymała nos w papierowy ręcznik.

- Wrócili do miasta wcześniej - wyrecytowała.
- Riley wróciła wcześniej? Dlaczego?
- Hm. Eee, chyba na rozmowę kwalifikacyjną w NOLS.
- Co ona wygaduje?

Paul ze sceptyczną miną przekrzywił głowę.

- A ty?

Co on sobie pomyśli? Chciała go chronić, zniechęcić do dalszego wypytywania. Jaką sensowną konstrukcję stworzyć, nie mówiąc prawdy? Była wykończona i miała mętlik w głowie. Nie umiała dobrze kłamać, brakowało jej dyscypliny i konsekwencji, niezbędnych do oszustwa na wielką skalę.

Już i tak zdradziła Riley. Oboje ją zdradzili. Nie chciała robić tego znowu.

Nie wolno jej nic powiedzieć. Mogła wymyślić pierwsze lepsze kłamstwo, ale nie znalazłaby nic na jego potwierdzenie. Brakowało jej odwagi. Paul był uparty i dociekliwy. Które z nich bardziej nadawało się na prawnika?

Rysy jego twarzy stwardniały.

- Alice, po prostu mi powiedz.

Ich rozmowa zmieniała się w przesłuchanie. Tworzyły się strony, a między nimi linia podziału. Wszystko dlatego, że Paul jej nie ufał. Nie wierzył jej, bo kłamała.

Niezależnie od tego, co do siebie czuli przez lata i co robili, jedyną niekwestionowaną rzeczą była dla nich uczciwość. Nawet brutalna szczerłość. Zwłaszcza brutalna szczerłość.

Tak bardzo chciała wyznać mu prawdę. Ale im bardziej go potrzebowała i pragnęła, tym bardziej winna się czuła, tym bardziej zasługiwała na karę. W głowie słyszała sygnał pogotowia. To była stosowna klątwa.

Musiała pójść do swojego pokoju i zamknąć za sobą drzwi.

- Robiłam zakupy - wymamrotała w papierowy ręcznik.
- Coś się stało? O co chodzi? - Paul patrzył na nią ze zniecierpliwieniem. - Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz?

Alice oplotła się rękoma.

- Bo jestem zmęczona. Idę do łóżka.

Najpierw we wszystkich rysach Paula odmalował się niepokój, potem jego twarz stała się całkiem obca.

Jak mogła odepchnąć go w taki sposób? Znała ryzyko. Ale przecież nie mogła być z nim po tym, co się stało.

- Zobaczymy się jutro.

Jej głos zabrzmiał tak piskliwie, że musiała odchrząknąć i spróbować jeszcze raz. Odwróciła się, żeby nie widzieć jego oczu.

Jedno wiedziała na pewno: nie zasłużyła na przyjemności ani na pocieszenie. I sama namieszała w swoim sercu.

Paul szedł pustym nabrzeżem. Latarnie rozsiewały wokół zimne, niebieskie światło czyścica. Wiatr kręcił, tarosił trawy na wydmach i srebrne liście na drzewach. Paul nie mógł spać. Nie mógł iść do Alice. Wszechświat sprowadzał się dla niego do tych dwóch kwestii.

Chciał udawać przed samym sobą, że istnieje jakieś proste wyjaśnienie, ale w głębi duszy znał prawdę.

Oczywiście, że wiedział. Dlaczego trzymał się od niej z daleka przez cały ten czas? Trochę za późno przypominały mu się powody własnej decyzji. Za dużo oczekiwał od Alice. Ona to zauważyła i jednocześnie szybko się zorientowała, że on sam niewiele ma jej do zaoferowania. Komu by się to spodobało? Nie powinien był dopuścić do tego, żeby go przejrzała.

Poszedł na plażę po drugiej stronie przystani, odgradzoną linami i siatką. Nazywali ją Małą, gdy tylko sami trochę odrośli od ziemi. Na wodzie kołysała się powłoka z zielonego szlamu. Paul pomyślał o wszystkich lekcjach pływania i wyścigach, które kiedyś się tutaj odbywały. Wokół pachniało spalinami z promów, do ciała przyklejały się opalizujące plamy benzyny. Pamiętał, jak potem stał przez całe wieki pod prysznicem, a opiekunowie obracali dzieci pod zimnym strumieniem wody, żeby nie nabawiły się liszajów.

Spojrzał na czarną sylwetkę pustej budki ratownika. Riley spędzała w niej niewiele czasu. Była zbyt energiczna i niecierpliwa, żeby wytrzymać cały dyżur bez ruchu. Aż

się paliła, żeby pokazać swoje umiejętności w prawdziwej akcji. Pamiętał dzień jej promocji, kiedy przysięgli sobie nigdy więcej nie pływać w zatoce. Większość dzieciaków to zrobiła, bo śpieszyło im się, żeby dorosnąć. Riley tęskniła za otwartym oceanem, bo był dziki.

Paul wszedł na puste moło, słyszał poskrzypywanie desek i plusk wody. Przy latarni rozejrzał się za głupimi krabami. Wspomnił, jak bezlitosna dla nich była Alice i z jaką desperacją one garnęły się do światła.

Pożegnanie

Po trzech dniach Alice znenawidziła szpital Dobry Samarytanin. Riley nie cierpiała go jeszcze bardziej.

- Czuję się dobrze - oznajmiła, kiedy Alice przyszła do niej wcześniej rano.

Mimo polecenia pielęgniarki siedziała buntowniczo na łóżku, w zwykłym ubraniu - szarym podkoszulku bez rękawów i szortach khaki. Alice zauważyła gęsią skórę na jej rękach.

- Gdzie mama i tata? - spytała.

- Odesłałam ich do domu.

Alice skinęła głową. Wątpiła, żeby posłuchali.

- Jakie wieści?

- Co? - Riley spojrzała na nią zirytowana.

- Rozmawiałaś już z lekarzem?

- Jutro kolejne badania. I jeszcze więcej tych paskudztw, które każą mi pić.

- Więc jeszcze nie ma diagnozy?

Riley energicznie przełączała kanały pilotem. W miarę upływu czasu poświęcała każdemu coraz mniej uwagi.

- Jest coś nie w porządku z moim sercem - odparła, gapiąc się w telewizor.

- Tyle już wiemy.

- To ogólne rozpoznanie. Boże, nienawidzę tych wszystkich tanecznych show.

Gdy Alice zeszła do stołówki po gorącą czekoladę, nie była zaskoczona, kiedy zobaczyła tam rodziców.

- Żadnych wieści? - spytała, zatrzymując się przy ich stoliku.

Rodzice wyglądali jak para trenerów, których drużyna przegrywa mecz.

- Tak powiedziała Riley? - Judy zawzięcie skubała paznokieć.

- Wyrażała się niejasno.

Ethan odstawił na stół kubek z kawą.

- Doktor Tierney uważa, że Riley ma reumatyczną chorobę serca.

- Co to takiego?

- Infekcja, która rozpoczyna się od zapalenia gardła - wyjaśniła matka. - Jeśli się je przechodzi.

Alice poczuła, że gorąca czekolada parzy ją w palce przez papierowy kubek.

- Riley miała zapalenie gardła, ale przecież je leczyła. Sama odbierałam dla niej lekarstwa z promu.

- Najwyraźniej nie wyleczyła go do końca - stwierdziła Judy.

- Co masz na myśli? - zapytała Alice.

- Trzeba wziąć całą dawkę leków. Nie można przestać ich brać, kiedy poczujesz się lepiej.

- Riley to zrobiła?

- Tak sądzę. Mamy nadzieję, że lekarzom udziela jaśniejszych odpowiedzi niż nam.

- Jej pani doktor jest niemal pewna, że istniała jakaś głębsza, ukryta przyczyna, dla której ta ostatnia infekcja okazała się poważniejsza niż zwykle - powiedział Ethan, odchylając się na oparcie krzesła. - Uważamy, że Riley przeszła w dzieciństwie gorączkę reumatyczną, która została źle zdiagnozowana. Za drugim razem skutki są dużo groźniejsze.

Słowa ojca tłukły się po głowie Alice jak marmurowe kulki, twarde i niestrawne.

- Można to wyleczyć?

- Doktor Tierney mówi o operacji zastawki mitralnej.

- Operacja nie załatwi sprawy - wtrąciła Judy. - Ale pani doktor zapewnia, że przy zachowaniu ostrożności można prawie normalnie funkcjonować w tym stanie.

- Czy Riley o tym wszystkim wie? - zapytała Alice. Matka popatrzyła na nią w milczeniu.

- Bo twierdzi, że czuje się dobrze - dodała Alice.

- Riley ma niewydolność krążenia z obrzękami. Nie jest z nią dobrze.

Alice wyraźnie go unikała. Zniknęła rano i nie można było znaleźć jej przez cały długi dzień. A on musiał ją zobaczyć.

Wybrał najprostszy sposób. Poszedł do klubu jachtowego. Zajął miejsce przy barze, skąd mógł obserwować Alice. Czapkę żeglarską miała wetkniętą za pasek fartucha.

Przechodząc obok, napotkała jego wzrok. Dotknęła jego ramienia, lecz nie zatrzymała się, żeby porozmawiać. W jej oczach dostrzegł chyba żal. Nie chciała go zranić, ale również nie chciała z nim być.

Marzył o tym, żeby ją rozśmieszyć, zmienić nastrój, ale przyjrząwszy się jej uważnie, postanowił milczeć. Wyglądała na zmartwioną i przybitą. Na jej bladej twarzy wykwitły dwie różowe plamy.

Za dwa dni miał być ostatni dzień lata. Będzie musiał skończyć pracę dyplomową i rozpocząć studia. Na tym powinien się skupić. Za tydzień miał spotkanie z doradcą zawodowym. Zamierzał wyruszyć do Nowego Jorku w poniedziałek rano. Do niedawna sądził, że pojedą razem z Alice.

Przez kolejne wakacje z zazdrością patrzył, jak Riley i Alice zjeżdżają z promu swoim rzeżącym, wyładowanym AMC gremlinem, z Ethanem za kierownicą i Judy kłócącą się z nim o to, czy jechać południową, północną, czy 495. Teraz cieszył się na myśl, że po raz pierwszy od lat nie opuści wyspy sam, tylko z Alice.

Popełnił błąd, że tak szczegółowo określił swoje marzenia. Postanowił, że na razie zostanie przy Siedemdziesiątej Drugiej i jednocześnie będzie szukał jakiegoś lokum blisko uczelni. Village było absurdalnie drogie, a on wstydził się, że bez swoich pieniędzy nie da rady zrealizować tego planu... choć najwyraźniej nie wstydził się aż tak bardzo. Zamierzał zwabiać tam Alice codziennie po wykładach i kochać się z nią dzień i noc. Wkrótce jej szczoteczka do zębów zostanie na brzegu jego umywalki, koronkowy stanik zawisnie na wannie. Razem odmalują mieszkanie, a wcześniej sami wybiorą kolory. Z rozkoszą zabierze Alice z Brooklynu, od przekłętego Jonathana Dwyera.

Niestety, liczył na zbyt wiele. Został z pustymi rękami.

Wino smakowało gorzko. Ledwo dostrzegał ładną twarz barmanki, która lubiła podsuwać mu kolejne miski krakersów.

Alice będzie musiała kiedyś z nim porozmawiać. Albo przynajmniej się pożegnać.

Miała dopiero dwadzieścia jeden lat. Jeszcze dwa tygodnie temu była dziewicą, a on chciał związać się z nią fizycznie, mentalnie i emocjonalnie do końca życia. Oczywiście, że to dla niej za wiele. Słusznie był wobec siebie podejrzliwy i ostrożny. Wiedział, że kiedy w końcu się przed nią otworzy, ostudzi go zimnym strumieniem jak wąż strażacki, zmiatając wszystko na swojej drodze, każdą iskrę, każdy delikatny drobiazg.

Spojrzał na Alice, która odbierała zamówienie od jakiejś młodej pary. Jej ręka drżała nad notesem. Czowała, że on na nią patrzy?

Alice go odtrącała, a on tak bardzo za nią tęsknił. Bez wahania zdałby się na jej łaskę. Zrobiłby wszystko, żeby być blisko niej. Niestety, nic od niego nie zależało. Mógł jedynie liczyć na to, że ona się nad nim zlituje.

Kiedy ruszył do wyjścia i zatrzymał się w drzwiach, odwróciła się do niego z taką miną, jakby chciała coś powiedzieć. Było jej przykro, że on zamierza wyjść? Gdy szedł do domu, jego myśli pomknęły w innym kierunku.

Może przyjdzie do niego dzisiaj? Może też za nim tęskni? Może jej łóżko jest tak nieznośnie puste jak jego? Może da mu jeszcze jedną szansę?

Tak więc leżał w łóżku, gdzie tak niedawno kochał się z nią do utraty tchu. Mijały godziny, a ona się nie pokazywała. Rano pojął, jak złudne były jego nadzieje.

Alice spakowała do płóciennej torby najważniejsze rzeczy i cicho wyszła z domu. Głowę miała spuszczoną.

Zamierzała spotkać się z Riley w szpitalu. Pozwoliła myślom wybiec naprzód. Wyobraziła sobie, jak siostra czeka na nią na parkingu, zdesperowana, gotowa uciec. Pojadą taksówką na stację kolejową i wrócą do miasta. Riley została wypisana z Dobrego Samarytanina i przekazana pod opiekę zespołowi kardiologów z Columbia Presbyterian jako dochodząca pacjentka. Rodzice wybierali się do Bay Shore po samochód, a Riley nie chciała na nich czekać. Wolą wrócić do domu z Alice.

Alice szła szybkim krokiem, by zdążyć na pierwszy poranny prom, ścigana przez wiatr, deszcz i Paula, co zauważyła przestraszona w połowie drogi. Bardzo wczesnie dziś wstał.

Nie zatrzymała się, nie dała po sobie poznać, że go dostrzegła. Nie wiedziała jak się zachować. Trudno było go okłamywać. Na pewno zapytałby, dokąd się wybiera, a co ona miałaby mu odpowiedzieć? Chciała po prostu wsiąść na prom i odpłynąć z wyspy. Jeśli jeszcze przez kilka minut uda się jej go unikać, nareszcie dobiegnie końca to nieszczęsne lato. Potem będzie mogła pomyśleć.

Wiedziała, jakie zgliszczą za sobą zostawia. I zniszczenia nadal się dokonywały, bo nie chciała, nie była w stanie się obejrzeć. W zwolnionym tempie następowała śmierć jej marzeń i nadziei. Ale swoje nieszczęście Alice odczuwała tak, jakby siedziała na wzgórzu i z daleka obserwowała, jak płonie miasto.

Nogi się pod nią uginały. Wczoraj wieczorem zapomniała o kolacji. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz spokojnie coś zjadła.

Poprzedniego popołudnia obie zmieniły swoje życie. Riley z wielką niechęcią zadzwoniła do NOLS i zrezygnowała z kursu, który miał się odbyć w Górach Skalistych. Kolejną, bardziej zdecydowaną rozmowę telefoniczną odbyła Alice, wycofując swoje papiery z wydziału prawa. Okazało się, że lata planowania można przekreślić w ciągu niecałych pięciu minut. W rzeczywistości plany zmieniły się z powodu choroby Riley, ale człowiek woli sobie wyobrażać, że sam powziął decyzję.

Z takim trudem nakłoniła Paula, żeby ją pokochał. Wręcz go do tego zmusiła. Może to źle, że musiała aż tak bardzo się starać. Ale jak szybko i łatwo go zniechęciła. Nie ufał jej dostatecznie, żeby poradzić sobie z wątpliwościami, które sama w nim obudziła.

Najchętniej padłaby mu w ramiona. Pragnęła, by ją przytulił. Niestety, nie mogła sobie na to pozwolić. Wciąż w uszach dźwięczał jej sygnał karetki, który usłyszała w nocy, leżąc w objęciach Paula.

Najgorsze, że nie wyznała Riley prawdy o sobie i Paulu. Nie zdobyła się na odwagę, bo czuła się winna. Wiedziała, że źle postąpiła. A skoro nie mogła powiedzieć o czymś siostrze, to znaczy, że nie powinna była tego robić.

Czy Riley mogła się czegoś domyślać? Boże, a jeśli wiedziała? Alice i Paul byli osobami, którym ufała najbardziej.

Gęste chmury wisiały tak nisko, że Alice niemal czuła je nad głową. Prom jeszcze nie przyplynał.

Słońce potrafiło wydobyć z wyspy oszałamiającą różnorodność barw: granat zatoki, bladą zieleń wydmowych traw, nasyconą czerwień wózków, tęczowe kadłuby łodzi spoczywających na piasku. Ale kiedy słońce się chowało, kolory zniknęły razem z nim, podobnie jak ludzie. Szybko i całkowicie. Okolica robiła się kompletnie pusta. Aż trudno było sobie wyobrazić, że kiedykolwiek spędzały tutaj lato jakieś rodziny. Woda, niebo, roślinność, domy i pomosty przybierały wyblakłe odcienie szarości.

Kiedy Alice czuła radość, była normalną dziewczyną, ale kiedy dręczyły ją wyrzuty sumienia, wydawało jej się, że jest na tyle potężna, by przepędzić słońce i pograżyć świat w mroku. A może ona i Paul tak mu się narazili, że znaleźli się w smutnej, monochromatycznej rzeczywistości? Sami byli sobie winni. Sądziła, że mogą od razu mieć wszystko co najlepsze.

Alice szła dalej chwiejnym krokiem i próbowała dodać sobie otuchy. Gdyby zdołała unikać pytań i żądań Paula jeszcze przez jakiś czas, gdyby opuścili wyspę, wszystko by się ułożyło. Za tydzień albo dwa zadzwoniłaby do niego. Może byłoby za późno, żeby uratować ich mi-

łość. Może nawet tego nie chciała. Ale do tego czasu Riley powiedziała mu, co się stało, a on by zrozumiał.

Nie wyjeżdżała. Niemożliwe. To było nie do pomyślenia, że mogłaby opuścić go bez słowa.

Miała na nogach buty. Wyjeżdżała.

Powinien zostawić ją w spokoju, pozwolić jej wyjechać, skoro tego chciała, ale był wściekły. Co się z nią działo? Naprawdę nie chciała go widzieć? A może uciekała od niego? Myślała, że co on zrobi?

Naprawdę zamierzała zniknąć z wyspy i z jego życia? Naprawdę tego pragnęła?

Przyśpieszył kroku, żeby ją dogonić. Alice go zobaczy. Widział niepokój w jej ruchach.

Kiedy skierowała się na nabrzeże, zrównał się z nią i szedł obok.

- Dokąd się wybierasz, Alice? - zapytał.

Odwróciła się do niego na chwilę, ale nie zatrzymała. Miała nieszczęśliwą minę.

- Na prom.

- Domyśliłem się tego. Wyjeżdżasz na dobre? - Jego podkoszulek już był mokry od potu, a on sam nie golił się od paru dni.

- Nie na dobre.

- Ale kończysz wakacje? - Nie miał ochoty ukrywać gniewu. - Nie zamierzałaś się ze mną pożegnać?

- Ja... cóż... zamierzałam, ale...

- Doprawdy? Boże, Alice, o co chodzi?

Na jej twarzy malował się nie smutek, tylko błaganie.

- Paul. Ja tylko... czuję się... nic nie rozumiesz, a ja nie mogę ci tego teraz wyjaśnić. Ale zamierzałam zadzwonić do ciebie z miasta i...

- Zamierzałaś do mnie zadzwonić?

Znał ten chłód w swoim głosie. Nienawidził jej teraz, jak nigdy wcześniej. Nienawidził jej głupich prób wytłumaczenia się, jej jąkania.

- Myślę, że na razie... nie możemy tego ciągnąć... nie możemy robić tego, co robiliśmy - wykrztusiła.

- Czego nie możemy robić? - Wytrzymał jej wzrok i rzucił bezlitośnie: - Nie możemy pieprzyć się pięć razy dziennie?

Alice potknęła się i zatrzymała. Miała taką minę, jakby ją spoliczkował. Po chwili znowu ruszyła przed siebie. Paul zobaczył, że ociera oczy. Głowę trzymała spuszczoną.

- O tym rozmawiamy? - nie ustępował.

Poprawiła torbę na ramieniu. Chciała się od niego uwolnić i jednocześnie pragnęła, żeby szedł za nią przez całą drogę do Nowego Jorku.

- Dokąd się wybierasz? Alice? Nawet na niego nie spojrzała.

Paul podążył za nią aż na koniec nabrzeża, gdzie ocean demonstrował, co potrafi. Objął się rękoma, chroniąc się przed zimnem. Alice drżała.

- Jesteś tchórzem, wiesz? - powiedział. - Nie zdawałem sobie wcześniej z tego sprawy.

Alice dostrzegła prom za jego plecami. Nie mogła opanować dreszczy. Nie chciała płakać. A jeśli on wsiedzie za nią na pokład? Jeśli będzie ją śledził aż do szpitala? Właściwie byłaby to dla niej ogromna ulga, gdyby poznał prawdę.

Ale co by pomyślała Riley? Perspektywa kolejnej zdrady wystraszyła Alice bardziej niż cokolwiek innego.

Gdy tylko prom przycumował, weszła na pokład i popędziła na górę. W duchu nakazywała statkowi, żeby wreszcie odpłynął i zakończył jej udękę. Wolałaby paść trupem niż tu zostać.

Kiedy człowiek był spóźniony i biegł, żeby zdążyć na prom, ten jak na złość odpływał szybko i sprawnie. Dzisiaj wydawało jej się, że zatrudniono na nim całkiem nową i niedoświadczoną załogę. W końcu Alice usłyszała, że silniki ożywają, i prom odbił od przystani.

Paul stał na nabrzeżu i patrzył za oddalającym się statkiem. Alice spodziewała się ulgi i rzeczywiście ją poczuła, ale doznanie było słabiutkie i szybko się wypaliło.

Paul coś do niej krzyczał i choć wolałaby go nie usłyszeć, jego słowa dotarły do jej uszu.

- Trzeba było zostawić mnie w spokoju!

Kiedy statek nabrał szybkości, Alice się rozplakała. Nagle zobaczyła, że Paul podchodzi na brzeg pomostu, unosi ręce nad głowę i daje nurka do szarej wody.

Koniec lata

Wyszło słońce, ostre, jesienne, ale wydobyło ze świata zaskakująco mało barw i życia. Alice znowu pomyślała, że to jej wina. Oskarżała swoje oczy, które przez ostatnie tygodnie stały się niemal ślepe na kolory.

- Spójrz na dom Jeffreyów. Dobudowali całe piętro.

Minęło siedem tygodni, odkąd wróciła do miasta. Tymczasem na wyspie w najlepsze trwały prace, kolejne wyburzenia i gruntowne remonty - Riley ich nienawidziła, ale ojciec śle dził je z dziwną fascynacją.

Alice obojętnie pokiwała głową. Wszystkie zmiany następowały po sezonie. Kiedy wracało się w czerwcu, wyspa była inna. Tak samo jak szkolni koledzy. Zauważało się, że po wakacjach są inni, ale nikt się nie zastanawiał, w jaki sposób i dlaczego się zmienili.

Ojciec objął ją. Iść w ten sposób było dość niewygodnie, jednak Alice się nie odsunęła. Wiedział, że jest jej przykro, że to nie Riley jest z nim tu dzisiaj.

Zwykle to ona pomagała ojcu zamknąć dom na zimę. To Riley nauczyła się spuszczać wodę z rur. Do starych, wyblakłych kostiumów ratownika, które zostawiała sobie właśnie w tym celu, lubiła wkładać wadery i wchodzić pod dom, nawet w październiku, kiedy wiatr szczydził z człowieka, że jest wakacyjnym niedobitkiem.

Rano nie rozmawiali o tym z Riley, bo wcześniej pokłócili się z nią o kilka spraw. Brodzenie w zimnej wodzie było bardzo niewskazane w jej stanie. Nogi nadal jej puchły, co oznaczało, że każdy wysiłek może się okazać niebezpieczny. Alice i ojciec zjedli na śniadanie płatki i pośpiesznie wyszli z mieszkania. Judy została dla towarzystwa, Alice jednak wątpiła, czy odniesie sukces w zabawianiu córki.

Kiedyś, przed paroma laty, siostry zrobiły ogromną wyrwę w rodzinnym gnieździe i wyniosły się z domu. Riley zapisała się do NOLS i cały styczeń spędziła w dziurze wygrzebanej w śniegu. Alice poszła do college'u. Mieszkały osobno i poznawały ludzi. Same sobie gotowały i prały; Riley głównie w kałużach, a Alice nigdy nie oddzielała ciemnych rzeczy od jasnych.

A teraz obie wróciły do domu. Dziura szybko się zasklepiła, i to bez najmniejszego śladu, który by świadczył, że w ogóle kiedyś istniała.

Tym trudniej było otworzyć ją na nowo.

Podczas gdy ojciec mamrotał pod nosem przekleństwa, majstrując przy rurach, Alice robiła rzeczy niewymagające specjalnych umiejętności, takie jak: zmiatanie domu i wyjmowanie gnijących produktów z lodówki.

Stojąc przed otwartą lodówką, trudno jest się nie zastanawiać nad przyszłością. Jeśli zamrozi sok pomarańczowy, czy przetrwa do Memorial Day? A co z chlebem?

Co z nimi, z jej rodziną? Przetrwają dłużej w stanie zamrożenia? Czy to oznacza, że pozostaną tacy jak kiedyś? Riley jak zawsze będzie biegać i pływać?

Gdyby jeszcze mogła przechować Paula razem z nimi. Ale on był ciepły i żywy. Odszedł w świat i ją zostawił.

Alice wypełniła zamrażarkę, jedyne urządzenie, które można było zostawić włączone przez zimowe miesiące.

Pomyślała przy tym, że szkoda marnować prąd, żeby jedzenie się nie rozmroziło, skoro na dworze i tak będzie lodowato.

Na myśl o zimie poczuła niepokój. Wyobraziła sobie, jak chłód opanowuje kolejne pokoje, jak dom stara się przeżyć w temperaturze niezdatnej do życia. Z jakiegoś powodu nasunęło się jej skojarzenie z tonącym statkiem, którego kabiny wolno napełniają się słoną wodą.

Słyszała, że pod podłogą ojciec bębni w rury i zgrzyta narzędziami. Przypomniała sobie, jak precyzyjnie i zręcznie tę pracę wykonywała Riley. Wstyd wyrosnąć na kogoś dużego, niezgrabnego i łatwo się denerwującego.

Alice poskładała letnie ubrania, które zostały w suszarce, i ułożyła je na półkach, żeby poczekały na swoją porę, choć nie bardzo wierzyła, że jeszcze się przydadzą. Zimą trudno jest pamiętać o lecie, a w chorobie o zdrowiu.

Naprawdę tutaj wrócę? Świat nie przestanie się kręcić? Trudno było myśleć o następnym lecie, patrząc na zamrożony sok pomarańczowy.

W pewnym momencie trafiła na spódniczkę, którą ostatnio nosiła, kiedy była z Paulem. Siedziała wtedy na jego kolanach i miała ją podwiniętą aż na brzuch. Z jej piersi wyrwał się żalony jęk, gdy nielojalne ciało przypominało sobie rzeczy, których nie chciał dopuścić do siebie umysł. Czy to naprawdę ono robiło te wszystkie rzeczy z Paulem? Niewiarygodne. Alice czuła się tak, jakby ktoś uciął jej głowę i źle przyszył z powrotem.

Kiedy prowadziła rowery do szopy, ręce miała zimne i wilgotne. Powinna jeszcze nakryć meble starymi prześcieradłami, ale zwlekała z tym zadaniem. Zwykle wykonywała je matka,

natomiast Alice jakoś nie miała ochoty zostawiać domu w takim stanie, jakby zamieszkały w nim duchy.

Usiadła na poręczy tarasu i spojrzała na rezydencję Paula. Czy sam zamknął ją na zimę, skoro teraz należała do niego? Mało prawdopodobne. Przyjechał tu jesienią? Raczej nie. Lubił zostawiać rzeczy za sobą i już do nich nie wracać. Opuszczać innych. Na przykład ją i jej rodzinę.

Alice wzięła kamyk z donicy i rzuciła nim w wielkie domiszcze. W taki cel nie można nie trafić.

- Skończyłaś? - zapytał ojciec, wychodząc spod domu.

Wyglądał, jakby co najmniej trzy razy wytarzał się w błocie. Przypominał jej ubłoconą lochę, ale mu tego nie powiedziała. Miał swoją dumę i próżność mężczyzny w średnim wieku. Alice czekała cierpliwie, aż weźmie prysznic i przebierze się w czyste rzeczy.

- Chcesz zajrzeć na plażę? - spytał, zamykając drzwi.

Stanowiło to część rytuału: pożegnanie z oceanem po pożegnaniu z domem, ale tym razem nie było odpowiedniego nastroju, żeby kultywować tradycję.

- Zmarzłam - powiedziała Alice. - Lepiej jedźmy do domu.

Gdy czekali na prom, chowając ręce w kieszeniach, Alice podsłuchiwała, jak dwie kobiety, które znała z widzenia, rozmawiają o nieruchomościach. Wiedziała, że ten temat będzie wciąż powracał w pogawędkach tych, którzy mieli dom albo chcieli go kupić.

Nie chciała się przysłuchiwać, ale nie zadała sobie trudu, żeby odejść dalej. Prawdę mówiąc, nadstawiła uszu, gdy padło znajome nazwisko.

- Pewnie słyszałaś, że dom Moore'ów został wystawiony na sprzedaż - powiedziała ciemnowłosa. - Bobby powiedział mi, że już jest kupiec.

- Naprawdę?

- Tak twierdzi.

- Znasz cenę?

W barze na parkingu ojciec kupił Alice dwa pączki z cukrem pudrem i miskę zupy rybnej. Sam zjadł prawie całą, zanim ostygła.

Już na promie sięgnął po rękę Alice i potrzymał ją przez chwilę. Współczuł jej. Nawet nie wiedział, z jakiego powodu, ale jego troska stanowiła pewne pocieszenie.

Alice miała nowiny o Paulu od siostry. Nie było w tym nic nowego, ale mimo wszystko zakrawało na ironię. Paul i Riley zawsze ze sobą korespondowali. Dzięki temu ich przyjaźń

trwała przez cały rok, nie tylko w wakacje. A teraz Alice musiała udawać, że jej zainteresowanie nie zawiera żadnych podtekstów.

- Gdzie teraz mieszka?

Siedziała naprzeciwko siostry przy małym kuchennym stole, przy którym jadały rano śniadanie, zanim Riley wyjechała na kursy NOLS. Powoli docierała do niej świadomość, że znowu mieszkają razem.

- Przy Zachodniej Jedenastej. Na mansardzie.

- Sądziłam, że nie lubi Brooklynu. - Alice udawała, że pochłania ją obcinanie paznokci.

- Chyba nie lubi. - Riley wróciła do cerowania dziury w starych szortach. - Oszaleję, jeśli nie będę mogła pływać. Tata mówi, że woda w basenie w West Side jest za zimna. Wierzysz mu? Wziął ze sobą termometr kąpielowy, żeby to sprawdzić.

Alice nie była pewna, jak powinna brzmieć właściwa odpowiedź. Szczerze przejmowała się dylematem siostry, ale jeszcze nie wyczerpała wątku Paula.

- Wspominał, jak mu idzie nauka?

Było późno, najwyższa pora, żeby iść do łóżka. Alice wiedziała, że jeśli dalej będzie drążyć ten temat, długo nie zaśnie.

- Rozpoczął studia magisterskie, więc domyślałam się, że wreszcie napisał tę pracę.

Alice przygryzła policzek. Skończyła obcinać paznokcie u nóg i zajęła się dłońmi. Czy Riley pisała mu coś o niej? Pytał o nią? Wiedział, że nie poszła na prawo? Jeśli tak, czy w ogóle go to obeszło? Oprócz tych kwestii nie dawało jej spokoju najważniejsze pytanie.

- Powiedziałaś mu o sobie?

- Co?

- O swoim sercu. - Alice czuła, że jej bije niespokojnie. Riley wróciła spojrzeniem do szortów.

- Jeszcze nie.

Wspomniała członkom dalszej rodziny i znajomym o swoim stanie. Nadal jednak lekceważyła powagę sytuacji, kontrolowała przepływ informacji i denerwowała się każdą przesadną demonstracją troski. Zadzwoiła nawet babcia z Boca Raton, podała numer pagera swojego lekarza i przysłała cztery wielkie pudła florydzkich pomarańczy.

- Dlaczego? - spytała Alice, z trudem panując nad głosem.

- Bo nie miałam ochoty pisać o tym w liście ani w mejlu.

- Zamierzasz powiedzieć mu osobiście?

- Tak. Kiedyś.

- Na co czekasz? Jest twoim najlepszym przyjacielem. Nie powinien znać prawdy? - Alice jednak nie zdołała pohamować frustracji.

Riley spiorunowała ją wzrokiem. Gniew Alice natychmiast ustąpił miejsca poczuciu winy.

- Jest moim najlepszym przyjacielem i właśnie dlatego ja zadecyduję, kiedy i jak mu powiem.

Później, leżąc w łóżku, Alice myślała o Paulu. W niektóre noce nie była w stanie się od tego powstrzymać.

W niektóre noce wydawało się jej, że ma w piersi serce Riley, słabe, bijące nierytmicznie. Czowała, że krew się zbiera i zatrzymuje w miejscach, gdzie nie powinno jej być. Zastanawiała się, czy to możliwe z medycznego punktu widzenia, żeby zaraziła się od siostry. A może cierpiała na odmianę tej choroby, którą sama na siebie sprowadziła?

W sobotę rano Alice naciągnęła kombinezon roboczy na wełniane spodnie, dwie bluzy od dresu i parkę. Gdy go zapięła, wyglądała jak baleron. Zaplotła włosy wysoko na czubku głowy, żeby podczas pracy nie wcięły się w zamek błyskawiczny. Teraz z kolei przypominała kielbasę z zawiązaną osłonką sterczącą z jednego końca. Popatrzyła w lustro, żeby sprawdzić, czy od lata już ściemniały jej włosy.

Każde lustro pokazywało inną jej wersję człowieka. W wiszącym nad zniszczoną wiktoriańską komodą Alice widziała siebie taką jak dawniej, najbardziej znajomą. Jakby zatrzymała w sobie jej wszystkie postacie, odkąd urosła na tyle, żeby się w nim zobaczyć. Czasami również wзираła z niego Riley, dopóki w wieku piętnastu lat nie wyprowadziła się ze wspólnego pokoju do małej klitki przy kuchni.

Pomieszczenie miało wielkość dużej szafy i zapewne było przeznaczone dla służącej w czasach, kiedy nawet ludzie, którzy zajmowali ciasne, ciemne mieszkania, mieli pokojówki. Riley ledwo zmieściła w nim swoje łóżko, ale twierdziła, że jej się tam podoba. Na półki z trofeami już nie wystarczyło miejsca, więc wrzuciła swoje skarby do pudła i postawiła je przy śmietniku. Alice była tym wstrząśnięta, ale Riley nie przejmowała się takimi rzeczami.

Sądziła, że robi siostrze przysługę, dając jej własny pokój, i Alice rzeczywiście go lubiła. Od razu ozdobiła go koszmarnymi barwnymi nalepkami i zawiesiła na ścianach postery z boysbandami. Później zastąpiły je kolaże fotograficzne, pamiątki z Fire Island i plakaty ze starymi

filmami. Alice tęskniła jednak za czasami, kiedy dzieliła pokój z Riley, kiedy miały bliźniacze łóżka z pościelą w zwierzęta i rozmawiały do późna, nim zasnęły.

- Pracujesz dzisiaj? - zapytała matka, kiedy Alice weszła do kuchni i zaczęła szykować sobie płatki. - Myślałam, że w weekendy nie kosisz. - To ostatnie słowo wymówiła z niesmakiem zarezerwowanym dla palenia papierosów albo bicia dzieci.

- Teraz grabimy. Jesteśmy w stanie ciągłego pogotowia.

Judy pokiwała głową. Alice wlepiła wzrok w pudełko z płatkami, przyglądając się uważnie Snopowi, Crackle'owi i Popowi, w nadziei że uniknie głośnych rozważań matki, w jaki sposób niezwykle kosztowny bakalaureat z historii w dobrym college'u przygotował jej córkę do koszenia trawników w Central Parku.

- Wrócisz dzisiaj na kolację?

Z zasady Alice nie chciała odpowiadać na takie pytania. Wystarczy pozwolić na pierwsze naruszenie prywatności, a zaraz nastąpią kolejne. Wolą nie dopuszczać do precedensów. Z drugiej strony, kiedy mieszka się z rodzicami i nie płaci czynszu, trzeba akceptować pewne rzeczy.

- Jeszcze nie wiem.

- Cóż, dobrze by było, żebyś się zdecydowała, bo jadę dzisiaj do Fairway.

- No dobrze. Nie wrócę.

Matka posłała jej ostre spojrzenie. Alice wiedziała, że musi być ostrożna, bo inaczej zaczynają się uwagi na temat jej studiów. Sytuacja wymagała dużej zręczności i wyczucia, tak żeby matka niczego nie zauważyła. Podczas nauki w college'u Alice zapomniała sztuki dyplomacji, ale teraz, kiedy znowu mieszkała w domu, musiała ją sobie przypomnieć.

Wcześniej część pożyczki na studia zamierzała wydać na mieszkanie, ale rezygnując z prawa, zrzekała się również pieniędzy. Żałowała, że nie zarabia dość, żeby zapłacić za pokój u przyjaciół. Tak właśnie wyglądało dorastanie w Nowym Jorku: chcąc wrócić do rodzinnego miasta, trzeba było zamieszkać u rodziców. To, co młody człowiek zaoszczędzi na czynszu, straci na szacunku do siebie i osobistym rozwoju.

Listopad w Nowym Jorku może przynieść każdy rodzaj pogody, dzisiaj był to chłód i czyste, przejrzyste powietrze. Alice włożyła rękawiczki, skręciła w stronę parku przy Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy i ruszyła na południe. Nie była to najładniejsza trasa, ale najprostszą, a ruch w weekendy był zamknięty ze względu na biegaczy, spacerowiczów i rowerzystów.

Alice była niezbyt zadowolona, że w sobotę musiała przyjść do pracy w stroju roboczym. Już zapomniała, jak tłoczno potrafi być w parku w słoneczny weekend. Bała się, że spotka znajomych i poczuje się głupio w kombinezonie.

Wypatrywała Riley. W dni, kiedy siostra czuła się dobrze, kiedy nie puchły jej kostki i stopy, lekarze pozwalali jej spacerować, więc przemierzała całe kilometry, nawet jeśli potem była wyczerpana.

Alice spojrzała na wieżowce przy Central Park West. W innych częściach świata rzeczy stworzone przez ludzi stały w otoczeniu wysokich drzew. W Central Parku było na odwrót. To, co stworzył Bóg, otaczały wysokie budynki.

W pewnym momencie wzrok Alice padł na plecy mężczyzny w zielonej puchowej kamizelce i brązowej wełnianej czapce. Obok niego szła blondynka w spiczastych butach. Trzymała go pod ramię. Na ten widok Alice zrobiło się smutno. Przyśpieszyła kroku. Za stawem mogła skrócić w głąb parku, gdzie będzie mniej dotkliwie odczuwać samotność.

Kiedy się zbliżyła do tych dwojga, mocniej zabiło jej serce. Zauważyła, że mężczyzna stawia kroki zupełnie jak Paul. I choć rzadko widywała Paula w zimowym stroju, doszła do wniosku, że podobieństwo między nim a nieznanym nie kończy się na sposobie chodzenia. Spojrzała na jego wolną rękę i poznała ją. Z trudem pohamowała jęk. Z drzeniem zaczerpnęła głęboko tchu.

Powinna się zatrzymać czy spróbować ich obejść? Nie mogła całkiem zniknąć, chyba że wspięłaby się na niewysoki, ale stromy pagórek, a to rzucałoby się w oczy. Nie chciała, żeby domniemany Paul i jego towarzyska w butach z czubami zobaczyli ją jako baleron, ale nie wiedziała, jak się upewnić, że to on. Wolą zachować wątpliwości, żeby potem przez wiele dni albo tygodni, jeśli będzie trzeba, przekonywać samą siebie, że to nie był Paul ze swoją dziewczyną. Na pewno w Nowym Jorku znalazłoby się wielu mężczyzn o rękach i chodzie Paula.

Zwolniła jeszcze bardziej, zła na nich, że nie idą szybciej. Niespieszny spacer jest dla ludzi, którzy cieszą się swoim towarzystwem. Ona nigdy nie chodziła wolno z Paulem. Albo on ciągnął ją za sobą, albo ona starała się go dogonić. I dlatego to nie mógł być Paul.

Od razu poczuła się lepiej, ale nie na długo. Tylko do chwili, kiedy mężczyzna się odwrócił. To był Paul. Alice gorączkowo próbowała wymyślić jakieś wyjście z sytuacji, ale on spojrzał prosto na nią.

Są ludzie, którzy potrafią udawać radość na widok najlepszych przyjaciół z dzieciństwa, ale Paul do nich nie należał. Zatrzymał się i popatrzył na nią, jakby zawołała go nie lubianym przezwiskiem.

- Alice?

Korciło ją, żeby się odwrócić i uciec w przeciwną stronę.

- Cześć - wykrztusiła.

Paul puścił ramię kobiety i podszedł do niej.

- Co ty masz na sobie? - zapytał prosto z mostu.

- Pracuję tutaj.

- W parku?

- Grabię i koszę. - Po co kłamać?

- A co ze studiami?

- Zrezygnowałam.

Wyglądał na szczerze zaskoczonego, ale nie odważył się spytać, dlaczego. Sprawiał wrażenie, jakby mu było niewygodnie we własnej skórze. W ciągu minionych tygodni jego gniew najwyraźniej ostygł. Paul miał zaciśnięte usta, takiego samego koloru jak twarz. Trudno było uwierzyć, że to te same wargi, które jeszcze niedawno ją całowały.

- Wszystko u was w porządku?

Alice się zawahała, po czym skinęła głową. Jak mógł nie znać prawdy? Jak ona mogła ją ukrywać? Była na niego zła, że nic nie wiedział, zła na Riley, że mu nie powiedziała. Bała się, że dłużej nie utrzyma języka za zębami, więc uznała, że lepiej odejść, zanim zdradzi sekret siostry.

Paul nagle przypomniał sobie o swojej towarzysze.

- To Monique - przedstawił ją krótko, ale nie raczył dokończyć prezentacji.

- Alice - wyręczyła go Alice.

- Hej - powiedziała Monique.

Jej usta były idealnie lśniące. Zbyt lśniące, żeby je całować, pomyślała Alice. Nie wyglądała na osobę, która się zadaje z pracownikami parku.

- Pozdrów staruszków - rzucił Paul i odwrócił się do Monique.

Zamierzał kontynuować spacer, ale teraz już trzymał ręce przy sobie.

Alice niemal słyszała, jak Monique komentuje jej strój. Niemal słyszała, jak Paul się śmieje w odpowiedzi. Niemal widziała, jak idą pod rękę do kawiarni i cieszą się, że nigdy nie nosili roboczego kombinezonu i nigdy żadnego na siebie nie włożą.

- Kto to był? - zapytała Monique.

Paul nie był w nastroju do rozmowy. Czuł się skrępowany i poruszony.

- Stara przyjaciółka. Właściwie to jej siostra jest moją przyjaciółką.

- Niezłe wdzianko - skomentowała Monique.

- Co masz na myśli? - Rysy twarzy mu stwardniały i nie miał ochoty ich łagodzić.

- Nic - wycofała się pośpiesznie.

- Coś miałaś na myśli? - nie ustępował Paul, choć wiedział, że niepotrzebnie ją naciska.

Był wściekły na Alice, więc dlaczego raptem jej bronił?

- Niczego nie miałam na myśli. Naprawdę. Przestań mnie męczyć. - Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie zdobędzie punktów kosztem jego przyjaciółki.

Co się dzieje z Alice? - zastanawiał się Paul. Dlaczego wciąż wynajduje sobie zajęcia poniżej swoich kwalifikacji. Z drugiej strony podziwiał jej zapał i konsekwencję, z jakimi podchodziła do życia. Miała swoją godność, ale nie wyniosłą dumę, która ogranicza innych ludzi.

Spojrzał na dystyngowaną Monique w modnym stroju. Choć był zły na Alice, nagle zrozumiał, że pragnie tylko jednej kobiety. Tej w ciemnozielonym kombinezonie zapinanym na zamek błyskawiczny.

Czyja wina

- Myślę, że to będzie dobrze na tobie wyglądać - stwierdziła bez zbytej nadziei Alice.

- Dobrze wyglądałoby na ciotce Mildred.

- Och, przestań - zniecierpliwiła się Alice, ale zaraz ugryzła się w język.

Riley uniosła suknię z zielonkawej lycry.

- A co sądzisz o tym? Pasowałaby do twoich oczu.

- Zbyt błyszcząca. - Alice sprawdziła cenę. - I kosztuje dwieście dolarów.

- No dobrze. W takim razie to.

Alice parsknęła śmiechem na widok szerokiej kraciatej spódniczki o długości mniej więcej dziesięciu cali od paska do rąbka.

- Z trudem zakryłaby mi pół tyłka.

- Megan by ją włożyła.

Owszem. Rodzice Megan należeli do najbliższych przyjaciół ich rodziców, tak że ich córki w dzieciństwie spędzały ze sobą dużo czasu. Lecz Megan wcześnie dojrzała i w wieku czternastu lat była uważana za puszczalską. Zanim skończyła siedemnaście, Paul był jedynym chłopcem, który z nią nie spał, a Alice i Riley jedynymi dziewczynami, którym się nie naraziła. Pozostały jej jedynymi przyjaciółkami.

- Ciekawe, jaką będzie miała suknię ślubną.

- Ja też jestem ciekawa - powiedziała w zamyśleniu Alice. - Trudno uwierzyć, że Megan już do końca życia będzie robiła laskę tylko jednemu mężczyźnie.

Riley pokiwała głową.

- To prawda.

- Zastanawiam się, czy przetrwa - dodała Alice.

- Jej małżeństwo?

- Tak.

- Może. Ludzie się zmieniają. A co powiesz na to? - Riley pokazała jej długą suknię tubę z gniecionego jedwabiu w kolorze wina.

- Ładna, ale myślę, że dla mnie za krótka - stwierdziła Alice.

Riley zrobiła dziwną minę i bąknęła niepewnie:

- Myślałam o sobie.

- Naprawdę? - zapytała ostrożnie Alice.

- Podoba ci się?

Alice przyłożyła suknię do siostry.

- Tak. Bardzo. Powinnaś ją natychmiast przymierzyć. Kompletnie zaskoczona, poszła za siostrą do przymierzalni.

Kiedy Judy wysłała je do Bloomingdale'a, żeby kupiły sobie suknie na ślub Megan Cooley, Alice nie spodziewała się, że wrócą do domu z dwiema. Riley zawsze jak ognia unikała dziewczęcych strojów. Wolą ubierać się jak chłopak, a kiedy miała osiem czy dziewięć lat, nosiła nawet chłopięce kąpielówki. Od tamtej pory zawsze znajdowała sposób, żeby się nie sprzeniewierzyć swoim zasadom. Kiedy rok wcześniej żenił się jej przyjaciel Dawid z NOLS, włożyła smoking i stanęła razem z друзami. Alice śmiała się, kiedy zobaczyła zdjęcia, ale na twarzy matki dostrzegła napięcie. Judy zawsze szukała potwierdzenia, że Riley jest lesbijką, i jednocześnie dowodu, że nią nie jest.

- Możesz wejść, jeśli chcesz - powiedziała siostra.

Alice zrobiło się cieplej na sercu. Riley nigdy nie pozwalała matce wchodzić do przymierzalni. Nie chciała również, żeby Judy ją ubierała, odkąd nauczyła się mówić „nie”.

Alice zawsze była bardziej uległa, może dlatego, że sama miała instynkt macierzyński.

Usiadła na ławce i odwróciła wzrok. Nie chciała widzieć zmian, które zaszły w siostrze, ani słyszeć jej płytkiego oddechu.

Riley namęczyła się, zanim wciągnęła suknię przez głowę. Materiał opadł łagodnie do stóp, tak że wystawały tylko czubki palców.

- No, no - mruknęła Alice.

Pierwszy raz widziała Riley w takim stroju, ale nie chciała robić z tego powodu wielkiego zamieszania. Siostra obrzuciła się czujnym spojrzeniem.

- Wyglądasz pięknie, wiesz? - powiedziała Alice.

- Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę.

Na jej twarz wypłynął uśmiech, kiedy Riley odwróciła się, żeby obejrzeć się z tyłu. Miała ciało, o jakim marzą dziewczyny, a którego chłopcy nie zauważają, wąskie biodra i małe piersi. Była prosta i zgrabna, bez sterczących kości, wałeczków, galarety czy fałdek.

Gdy Alice przeżywała traumę okresu dojrzewania i z przerażeniem patrzyła na rosnące piersi i biodra, chciała być taka jak Riley. Kiedy ktoś się z nią drażnił albo kiedy musiała zmienić stanik na większy, pragnęła tego jeszcze bardziej. Czasami nawet teraz zazdrościła Riley.

- Kupmy ją - powiedziała. Siostra wyglądała na zadowoloną.

- Ile kosztuje? - spytała.

- Nawet nie patrz na metkę. Możesz wziąć część pieniędzy przeznaczonych na moją suknię, a ja włożę którąś z maminych.

- Alice, nie!

- Mówię poważnie. Chodź. - Wzięła suknię i pomaszerowała do kasy. - Bierzemy ją - oznajmiła sprzedawczyni, rzucając na ladę kartę kredytową.

Gdy wracały do domu, powoli, bo Riley była zmęczona, Alice stwierdziła, że po raz pierwszy nie myśli z niechęcią o ślubie Megan. Bo chociaż miała się wystroić w którąś z okropnych sukien matki, doszła do wniosku, że nie wszystkie niespodzianki są przykre.

- Chce pan rachunek?

Podczas nocnej zmiany w Duane Reade przy Jedenastej Alei Alice nosiła niebieski fartuch i plakietkę z imieniem, ale w tę pracę wkładała tylko część siebie.

- Niech pani go wyrzuci - odparł klient, który prawdopodobnie nie chciał dowodu na to, że kupił dwa duże snickersy i placek wiśniowy.

Praca była marna, ale zatrudnili ją od razu. Alice nie miała ochoty pracować w biurze ani zostać kelnerką w restauracji. Ten sklep znajdował się na uboczu, a zajęcie należało do takich, które można rzucić w każdej chwili i nie czuć się źle z tego powodu.

Buty, które zwykle nosiła, były ładne, ale niezbyt wygodne na tyle godzin przebywania na nogach. Musiała pamiętać, żeby razem z fartuchem pakować do torby tenisówki. W te wieczory, kiedy tu pracowała, mówiła Riley i rodzicom, że umówiła się ze znajomymi, więc wychodząc z domu, starała się właśnie tak wyglądać. Tak naprawdę bardziej potrzebowała pieniędzy niż życia towarzyskiego, ale tego im nie powiedziała. W pewnym sensie była ich reprezentantką. Liczyli na to, że będzie żyła w normalnym, ich zdaniem, świecie.

Kilka razy rzeczywiście wyszła gdzieś z przyjaciółmi.

„Dlaczego zrezygnowałaś ze studiów prawniczych? Co teraz robisz? Jakie masz plany na przyszły rok? Zamierzasz z kimś się spotykać? Powinnaś poznać tego czy tamtego. Co u Riley?\".

W jej wieku, tuż po college'u, przyszłość była jak tlen. Bez niej nic nie istniało. Alice nie lubiła mówić prawdy. Że zwleka. Że czeka.

Zauważyła kilka dziewczyn w dziale z szamponami i od razu poznała, że są z Fire Island. Nie z jej miasteczka, ale może z Saltaire albo Fair Harbour.

Nie poznały jej, nawet kiedy jedna wyłożyła przy kasie Alice cały koszyk produktów do pielęgnacji włosów. Niebieski fartuch miał nadzwyczajną moc czynienia człowieka niewidzialnym, zwłaszcza dla tego rodzaju dziewczyn, które po college'u poszły na historię sztuki albo dostały się na staż w domu aukcyjnym Christie's czy w Elle Decor. Alice dorastała z takimi dziewczętami, ale nie mogła się uważać za jedną z nich.

Chciała studiować prawo, mogła więc nadal próbować wtopić się w to środowisko. Jeśli brakuje sposobów, żeby wszystkich zadowolić, albo nie ma się pieniędzy, idzie się na wydział prawa. Oto smutna wersja ambicji: nie wyróżniać się, tylko dostosować. Alice sądziła, że z czasem pogrzebie przeszłość. Gdy w wieku pięćdziesięciu lat stanie się wspólnikiem w znanej firmie prawniczej, kto będzie wiedział, że kiedyś nie należała do towarzystwa.

Czuła, że jej rodzina nie całkiem pasuje do świata białych kołnierzyków i domów letniskowych, i jeśli popełnią jakiś błąd, zostaną z niego wyrzuceni na wiele następnych pokoleń. Alice musiała odegrać swoją rolę.

Więc dlaczego tutaj tkwiła? Dlaczego nie była na szkoleniu w banku albo w dużej korporacji? Uzyskała ocenę z wyróżnieniem i nagrodę wydziału historii. Mogła zachować godność. Mogła postarać się o lepszą pracę. Dlaczego tego nie zrobiła?

Bo wszędzie tam wymagano oddania. Musiałaby całkowicie się poświęcić, a nie mogła sobie teraz na to pozwolić. Nie mogła na razie patrzeć w przyszłość. Musiała zostać przy Riley.

Mimo że należała do osób, które spełniają oczekiwania innych, zdarzały się jej dziwne napady samonegacji. Uczyła się buntu od dwóch mistrzów, ale praktykowała taki jego rodzaj, który się obywał bez romantyzmu czy pryncypialności. Przeważnie czyniła wyrzuty sobie. Zwykle wiązało się to z poczuciem winy.

Nie była wściekła na Paula, że zniechęcał ją do studiów prawniczych. Nie oskarżała go, że zrezygnowała z nich z powodu jego uwag, nawet jeśli na to zasłużył.

Była na niego zła, bo nie wiedział, jaka jest nieszczęśliwa, że on zajmuje się swoim życiem i chodzi z kobietami w butach w szpic, a tymczasem Riley jest chora. Oburzała się na niego, choć nie znał prawdy, bo nic mu nie powiedziała. Obarczała go winą za rzeczy, których nie miał na sumieniu.

Wyszła z pracy o 22:30 i ruszyła Columbus Avenue i dalej Sześćdziesiątą Ósmą do modnej siłowni, która była otwarta do późna w nocy. Podeszła do recepcjonisty.

- Myśli pan, że mogłabym spojrzeć na wasz basen? - zapytała.

Paul wiedział, dlaczego matka przepisała na niego dom. Okręcił się w starym obrotowym fotelu ojca i spojrzał na powody jej decyzji: tysiąc dwieście winylowych longplayów, stosy bu-
twiejących czasopism, gazet, zdjęć i plakatów.

Chętny znalazł się szybciej, niż Paul przypuszczał. Sprzedaż zlecił znajomej matki, pośredniczce w handlu nieruchomościami Barbarze Weinstein, której dzieci dorastały z nim na wyspie.

Barbara od razu dostała żadaną cenę za rezydencję i po dwóch tygodniach dała Paulowi do podpisu umowę sprzedaży. Nabywcy, małżeństwo menedżerów pewnego funduszu hedgingowego z trójką małych dzieci, chciało dokonać transakcji przed Dniem Dziękczynienia.

Decyzję powziął w gniewie. Nie chciał nigdy więcej oglądać tego miejsca. Ale złość często obraca się przeciwko temu, kto ją pielęgnuje. Teraz, z konieczności, Paul poznawał dom lepiej niż kiedykolwiek dotąd.

Gdy znowu zakręcił fotelem, przed oczami mignęła mu piramida pustych kartonów, którą wznosił w jednym końcu pomieszczenia. Nie podobało mu się, że matka z taką łatwością pozbywa się zobowiązań, ale sam byłby gotów wiele dać, żeby tylko ktoś inny wykonał za niego tę robotę.

Im dłużej człowiek odkłada jakieś zadanie, tym trudniej mu się do niego zabrać. Można to udowodnić naukowo. Paul musiał nie tylko przewyciężyć swoje opory i lenistwo, ale również wygodnictwo matki. Kolejna wątpliwa spuścizna.

Zastanawiał się nawet, czy para od funduszu hedgingowego nie zdecydowałaby się prze-
jąc domu wraz z umeblowaniem. „Eklektycznym”, powiedziałyby im Paul, mając na myśli również komplet płyt Jefferson Airplane i Starship. Było tu dość skarbów, żeby założyć własny sklep muzyczny.

Mógłby przynajmniej zacząć wkładać rzeczy do kartonów. Nie sortować, tylko pakować. Schować wszystko, zapieczętować i wysłać do magazynu na przechowanie.

Ten pomysł mu się spodobał. Paul przestał się kręcić i wstał z fotela. Sięgnął po pierwsze pudełko.

Zerknął na fotografię leżącą na szczycie nieporządnego stosu. Był na niej jego ojciec, niedługo przed śmiercią. Siedział na kuchennym blacie w starym domu w Brooklyn Heights. Paul odwrócił wzrok. Nie da rady zacząć od zdjęć.

Wziął pierwszy plik longplayów i włożył go do kartonu. Przy drugim nie mógł się powstrzymać i przeczytał tytuł: „Their Satanic Majesties Request”. Zerknął na tylną stronę okładki. 1967. Na mankietach swojej szarej koszuli zauważył kurz.

Pod wpływem impulsu podszedł do starego adaptera, włączył go i uniósł plastikową pokrywę. Dmuchnął na igłę i sprawdził jej stan. Ostrożnie wyjął album z okładki. Był jeszcze w papierowej koszulce, doskonale zachowany. Ojciec zawsze szanował swoją kolekcję.

Paul nastawił płytę. Dobrze pamiętał te migające światełka, ale wtedy widział je od dołu. Wyobrażał sobie, że jest to trójwymiarowe miejsce, do którego można się wdrapać.

Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że te wspomnienia są takie żywe.

Kiedy był mały i próbował ustawić igłę na rowku płyty, wciąż mu się ześlizgiwała, a wtedy rozlegał się nieprzyjemny dźwięk. Nie lubił, kiedy piosenka zaczynała lecieć od środka. Musiał słyszeć, jak się zaczyna. Wszystko należało robić właściwie.

Gdy ostrożnie opuszczał igłę i zadrżała mu dłoń, nagle ujrzał ją jako rękę ojca. Mógł dokładnie odtworzyć ją w pamięci.

Usiadł na podłodze i przesłuchał całą płytę aż do „She's a Rainbow”. Wtedy wyciągnął się na dywanie i podłożył ręce pod głowę. Niespodziewanie ogarnęła go żal. Za tym domem i wszystkim, co się tutaj wydarzyło. Za krótką chwilą, w której pozwolił sobie na marzenie, żeby zatrzymać go dla Alice.

Była okrutna, a on głupi. Obwiniął ją za to, że go zostawiła, ale sobie miał więcej do zarzucenia. Kochał ją. Kochał za bardzo. Na tym polegał kłopot.

Miał ochotę zatelefonować do niej i wygarnąć prawdę. Przypuszczał, że Alice spróbuje męskiej strategii i powie, że nadal mogą być przyjaciółmi. Złamała mu serce. Nie zamierzał pozwolić, żeby wybrała z niego te kawałki, które jeszcze się jej przydadzą. Nie da jej szansy uciszenia wyrzutów sumienia. Niestety, nie powiedział jej do słuchu, bo nie zadzwonił.

Kiedy się obudził następnego ranka, miał na policzku odcisnięty wzór dywanu. Popatrzył na bałagan i piramidę pudeł.

To zadanie wymagało od niego więcej, niż mógł z siebie dać. Idąc na prom, zrozumiał, że o kolejny krok oddalił się od jego wykonania.

- To tutaj. - Alice otworzyła drzwi klubu i wepchnęła Riley do środka.

- Co?

- To, co chciałam ci pokazać.

- Klub fitness?

- Tak. - Alice wsunęła kartę do czytnika przy kołowrocie.

- Zapisałaś się tutaj? - Riley wsiadła za nią do windy. Alice wcisnęła guzik najwyższego piętra.

- Niezupełnie. Chodźmy - odparła, kiedy winda się zatrzymała.

Alice poprowadziła Riley przez zaporowaną szatnię do ogromnego przeszklonego pawilonu. Cały był wyłożony niebieskimi płytkami i zastawiony roślinami w donicach. Ale najbardziej niezwykły okazał się widok z góry na Hudson z jednej strony i Central Park z drugiej. Gdyby się rozplaszyc na ścianie, można by sięgnąć wzrokiem aż do New York Harbour.

- O, Boże! - wykrzyknęła Riley.

- Pięknie, prawda?

- Nie wiedziałam, że tu jest coś takiego. Alice uklękła i zanurzyła rękę w wodzie. - Najcieplejsza w Nowym Jorku.

- Naprawdę?

- Sprawdź sama. Bogaci ludzie nie lubią zimnej.

- Rzeczywiście jest ciepła. - Riley spojrzała na nią pytająco.

Alice wyjęła kartę z kieszeni i podała ją siostrze.

- Ta-dam! Twoja karta członkowska na pływalnię.

- Nie mówisz poważnie.

- Nie stać mnie na pełne członkostwo.

- A skąd wzięłaś pieniądze na tę?

- Mam niski czynsz. Riley się roześmiała.

- Nie wierzę ci, Al.

- Musisz pływać. A to jest jedyny sposób.

- Nie potrafię uwierzyć, że mogę tu przychodzić.

- Kiedy tylko zechcesz.

Riley miała taką minę, jakby zaraz miała się rozplakać, co było tak niezwykłe, że Alice się przestraszyła. Ale potem siostra rozwiązała buty, wyrzuciła ręce w górę i zanurkowała do ciepłej wody, w ubraniu.

Gdy Riley, cała szczęśliwa, pluskała się w wodzie, z kolei Alice zebrało się na płacz. Świat wrócił w utarte koleiny.

Kiedy wracały do domu, dwadzieścia przecznic w górę Amsterdam Avenue, Riley potykała się w za długich spodniach siostry, jej swetrze i płaszczu, a Alice kroczyła obok niej w dwóch szlafrokach frotte nałożonych na siebie, machając plastikową torbą z mokrymi rzeczami.

16

Cudzy ślub

Nie było ważnego powodu, dla którego Paul miałby nie pójść na ślub Megan Cooley. Włożył więc górę i dół od dwóch różnych smokingów, brązowe buty i akwamarynowy krawat.

Istniały łatwiejsze sposoby, żeby zobaczyć Alice. Mógł, na przykład, zadzwonić do drzwi jej mieszkania albo zatelefonować. Żaden jednak nie nadawał się do jego celów.

- To Diana - przedstawił pani Cooley swoją dziewczynę po złożeniu gratulacji przed kościołem.

Matka panny młodej wyglądała na bezgranicznie szczęśliwą, że jej córka wreszcie się ustatkowała.

Paul zauważył i pozdrowił kilka innych rodzin z Fire Island: Greenblattów, MacDermottów i Rosenheimów. Wszyscy oni w swoim czasie mieli z nim na pieńku - czy to z powodu ukradzionego roweru, wejścia do domu bez zaproszenia, zapchanej toalety czy zniszczonego głośnika - ale mu wybaczyli, bo był bogaty, a jego ojciec nie żył.

Paul od niechcienia powiódł wzrokiem po zgromadzonych, odgarniając z oczu włosy, długie i skołtunione, bo nie obcinał ich od czasu amatorskiej roboty Alice. Jego obecna fryzura niezbyt dobrze świadczyła o jej umiejętnościach. Wciąż jednak nie mógł się od niej uwolnić. Jak w te liczne noce, kiedy jej nienawidził. Jednocześnie zawsze do niej lgnął, wciąż z tego samego powodu.

Z wyjątkiem krótkiego okresu, kiedy ją kochał. Czy ona w ogóle to pamięta? Wspomniała go choć raz na te miliony jego myśli o niej? Oskarżała go o amnezję, ale to ona na nią cierpiała.

Paul siedział w tylnych ławkach, po stronie kościoła zajętej przez rodzinę panny młodej. Ethan i Judy byli najbliższymi przyjaciółmi Cooleyów. Powinni zajmować miejsca z przodu, więc wyciągnął szyję i spróbował wypatrzeć Alice.

A jeśli nie przyszła? Wtedy wyszłoby na to, że niepotrzebnie tracił czas i energię.

Nie myślał o własnym wyglądzie, ale zerknął na Dianę, piękniejszą i mniej wyzywającą od Monique. Całkiem zapomniał, że w ogóle istnieje jakaś panna młoda, dopóki nie ruszyła przejściem między ławkami.

Wszyscy wstali i odwrócili się w stronę drzwi kościoła. Paul był chyba jedyną osobą, która patrzyła w niewłaściwym kierunku. W końcu ją zobaczył. Po jednej stronie miała Riley, po drugiej ojca. Judy stała bliżej przejścia i filmowała uroczystość małą srebrną kamerką. Paul domyślił się, że Alice jest skrępowana zachowaniem matki. Gdy tylko wyczuł w sobie odruch współczucia, zdusił go czym prędzej.

Chciał sobie wmówić, że Diana jest piękniejsza od Alice. Naprawdę się starał. I całkiem możliwe, że była, patrząc obiektywnie. Nie potrafił jednak się zmusić, żeby uznać jej wyższość, jeśli chodzi o urodę, i to go irytowało. Jak można sobie nakazać, żeby coś podobało się bardziej niż inne? Jak można zmienić gust? Kiedyś Judy opowiadała mu, że jako nastolatka odkryła, że od czekolady psuje się jej cera, więc nauczyła się jej nie lubić. Sam nie wiedział dlaczego, ale często o tym myślał.

W pewnym momencie Riley go dostrzegła i pomachała mu. Jej uśmiech wystarczył, żeby zmienić nastrój Paula. Na chwilę znowu stał się ludzką istotą. Odpowiedział jej tym samym gestem i szczerze się uśmiechnął. Chciał być jej starym przyjacielem Paulem w najlepszym wydaniu, a nie jego niemłą, rozgoryczoną wersją.

Jak Riley oceniłaby Dianę? Pomyślałaby, że Paul coś kręci. Gdyby to było pięć albo nawet trzy lata temu, powiedziałałaby mu to wprost. Teraz na pewno nie. To było dość smutne.

Pogrążony w tych rozważaniach, dopiero po chwili ze zdziwieniem zauważył, że Riley ma na sobie suknię. Wyglądała w niej krucho i chłopięco, ale ładnie. Czy kiedykolwiek widział ją w takim stroju? Czyżby w końcu wkroczyła do przyziemnego świata, w którym żyła i błędziła reszta z nich? Nie potrafił jej sobie tam wyobrazić.

Riley szturchnęła siostrę i wskazała na niego. Na ten widok Paul wstrzymał oddech, bo to znaczyło, że Alice musi się odwrócić i do niego pomachać. Zamierzał spiorunować ją wzrokiem, ale przyłapał się na tym, że do niej macha w odpowiedzi. Rozczarowany sobą, demonstracyjnie objął Dianę. Alice zmierzyła ją spojrzeniem. W tym momencie Paula nie obchodził

Immanuel Kant i jego rozróżnienie między wyobrażeniami a rzeczami samymi w sobie. Był zadowolony, że ma Dianę.

Riley stała razem z palaczami na dziedzińcu przed salą weselną. Widziała ją przez okna i przeszklone drzwi.

Widoczne za szkłem kształty i kolory rozmazywały się w jej oczach. Nie rozpoznawała poszczególnych osób, ich głosy zlewały się w przytłumiony gwar, gesty w pantomimę interakcji.

Jedyną osobą, która się wyróżniała, był Paul. Riley uważała, że postępuje właściwie, nie informując go o chorobie, dopóki się z nim nie spotka. I raptem zmieniła zdanie. Nie sądziła, że go tutaj zobaczy. Była zaskoczona i zdenerwowana. Dlaczego nie powiedziała mu wcześniej?

A jeśli dowiedział się od kogoś innego? Nie spodobała jej się ta myśl. Nie znosiła się czuć jak ofiara. Cooleyowie znali prawdę, podobnie jak wiele innych osób. Jej rodzice sądzili, że Paul wie. Nie była przyzwyczajona do oszukiwania. Pierwsze kłamstwo prowadzi do następnych. Czyżby wpadła w pułapkę?

Przy Paulu była lepszą osobą. Z nim spędziła swoje najszcześniejsze chwile. Gdyby mogła pozostać taka sama w jego oczach, jej prawdziwe ja przetrwałoby w co najmniej jednym miejscu. Nawet teraz, blisko niego, czuła, że lubi dawną Riley.

I była jeszcze kwestia Alice. Riley nie zamierzała doprowadzić do tego, żeby między jej siostrą a Paulem istniały jakieś sekrety, ale tak się stało. Może właśnie na to liczyła. Bo dlaczego nie próbowała tego naprawić?

Teraz ona i Alice znowu mieszkały razem w domu rodzinnym. Wydawało się, że czas biegnie wstecz, a przyszłość jest zapomniana. Czy właśnie tego chciała?

Przypomniała sobie, w jaki sposób w kościele Paul pożerał wzrokiem Alice. Na Riley nikt tak nigdy nie patrzył, ani ona na nikogo. Owszem, starano się o jej względy, ale nieliczne związki w jej życiu były krótkie i płytkie, nawiązane głównie z ciekawości albo z chęci, żeby mieć to już za sobą. Nigdy nie kochała nikogo tak, jak Paul kochał jej siostrę. Czyżby była zazdrosna? O Paula? O siostrę? Ta możliwość wstrząsnęła Riley. Nie potrafiła myśleć o Paulu w taki sposób.

- To efekt kibucu - wyjaśniła jej kiedyś Catie Mintz, przyjaciółka z NOLS, kiedy Riley opowiadała jej o przyjaźni z Paulem.

- Co to znaczy?

- Dzieci, które dorastały razem w kibucu, są dla siebie jak rodzeństwo. Prawie nigdy nie zakochują się w sobie.

Riley wiedziała, że nie był to jedyny powód, ale być może wyjaśniał, dlaczego Paul zawsze trzymał Alice na dystans, osądzał ją surowo i ignorował, kiedy najbardziej pragnęła jego uwagi. Czuł, że któregoś dnia zechce ją pokochać.

Riley nie mogła znieść myśli o Alice i Paulu litujących się nad nią. Groziło jej niebezpieczeństwo, że zostanie wpisana w przeszłość. Bała się, że oboje są na progu życia, w którym nie ma dla niej miejsca, i, tak jak ostatniego lata, będą utrzymywać ją w nieświadomości. To oni zaczęli mieć sekrety.

Przez fasetowe szyby dostrzegła turkusową zieleń krawatu Paula, a chwilę później on sam stanął przed nią.

- Zaczęłaś palić? - spytał.

- Nie lubię przebywać w zamkniętym pomieszczeniu z tyloma ludźmi. Ale tutaj wcale nie jest lepiej. Chciałabym, żeby wszyscy palacze zniknęli.

- Nigdy nie widziałem cię w sukience.

- Nigdy nie widziałam cię z dziewczyną.

- No cóż.

- No cóż.

Riley spuściła wzrok. Musiała mu powiedzieć. Musiała znaleźć właściwy sposób na przekazanie mu prawdy.

- Hej, podobno jutro ma padać śnieg. Może po południu wypożyczymy biegówki? - zaproponował Paul. - Pamiętasz, co wyprawialiśmy na Piątej Alei?

Roześmiała się. To było w ostatniej klasie szkoły średniej, kiedy Paul przyjechał na święta do domu. Riley próbowała biec na nartach za autobusem i omal nie została rozjechana.

- O czym myślisz? - zapytał.

Rodzice umrą. Jej pęknie serce. Alice ją zabije, o ile do tego czasu i tak nie będzie już martwa. Nie mogła mu powiedzieć.

- Przyjdę - obiecała.

Alice siedziała sztywno nad talerzem z warzywami, podczas gdy handlowiec po jej lewej stronie wypił trzecią wódkę z tonikiem i kopnął ją w goleń. Prowadzenie zdawkowej rozmowy było dla niej ogromnym wysiłkiem, nawet kiedy naprzeciwko siebie miała ojca. Dręczona nieśmiałością, nie potrafiła się zmusić do tego, żeby zamienić kilka zdań z ludźmi, których znała.

Jak Paul mógł tutaj przyjść z taką kobietą? To było straszne. Zjawił się z modnie ubraną pięknnością, podczas gdy ona miała na sobie suknię matki ze złotym paskiem i patkami. Lepiej prezentowałaby się w kombinezonie do koszenia trawy. Jak zwykle była sama sobie winna. Zasłużyła na to fatalne samopoczucie. Zasłużyła na to, żeby wyglądać źle.

- Poznałaś już dziewczynę Paula? - zapytała Rosie Newell, przechodząc na jej stronę stołu.

Alice wytłumaczyła sobie od razu, że Rosie nie chciała być okrutna. Przez wiele lat sama podkochiwała się w Paulu.

- Jeszcze nie.

- Jest wspaniała, nie sądzisz?

- Tak - zgodziła się z kwaśną miną Alice.

Była szczęśliwa, kiedy Rosie odeszła, żeby zatańczyć z handlowcem. Niech teraz ją pokopie.

Paul i jego cudowna dziewczyna tańczyli przy latynoskiej melodii. Alice wolałaby, żeby był kiepskim tancerzem, ale nie był. Ona została przy stole sama, bo wszyscy poszli na parkiet, łącznie z jej rodzicami.

Spędzała czas ze swoją sałatką i zastanawiała się, który kawałek liścia utknie jej między przednimi zębami.

Paul prowadził jak marzenie i robił słodkie oczy do Diany. Zapomniał o całym świecie. O wszystkich. Bez żalu odciął się od przeszłości. Był w tym dobry.

I wtedy, jakby chciał udowodnić, że Alice się myli, oderwał się od swojej wspaniałej dziewczyny i poprosił do tańca Riley. Alice widziała po jego minie, że Paul jeszcze o niczym nie wie. Jej siostra wyglądała na szczęśliwą i zdrową, więc Alice postanowiła choć przez kilka minut wierzyć, że nie dzieje się nic złego.

Przy następnej piosence Paul odbił Ethanowi żonę. Porwał ją w połowie melodii, a Judy krzyknęła w udawanym proteście. Uwielbiała takie staroświeckie gesty. No dobrze, więc zapomniał nie o nich wszystkich, tylko o Alice.

Nagle zobaczyła, że ojciec idzie w jej stronę. Z litości zamierzał poprosić ją do tańca. Ale wtedy musiałaby wstać i pokazać się wszystkim w swej sukni z lat dziewięćdziesiątych. Nic z tego! Skrzywiła się, zanim ojciec zdążył się odezwać, i syknęła przez zęby jak Clint Eastwood:

- Ani się waż!

Była głodna, ale nie mogła się zmusić do jedzenia. Czowała się źle.

Przez całe życie miała pewność co do jednej kwestii, która czasami jej ciążyła, ale jednocześnie stanowiła największy dar. Paul ją kochał. Jego miłość ją wyróżniała, była zakorzeniona w tożsamości Alice. Teraz ją straciła.

Miłość jest różą, jak mówią słowa piosenki, i nie należy jej zrywać. Cóż, ona ją zerwała, a teraz została z garścią kolców. Diana miała różę, Rosie pijanego handlowca, Alice patki na ramionach i złoty pasek.

Idąc po szósty albo siódmy kieliszek wina, Paul wiedział, że głupio postępuje. Wypił go duszkiem i zgodnie z planem porzucił swoją uroczą towarzyszkę. Zbliżył się do stolika, przy którym siedziała Alice.

- Zatańczysz? - spytał.

Nie chciała. Widział to w jej oczach.

- Ładna sukienka - pochwalił niemal wyzywająco. Alice wstała. Paul wiedział, jak bardzo nie lubi odmawiać. Poszła z nim na parkiet.

Poprowadził ją do rytmu swingu, trzymając lekko. Jej policzki płonęły. Wyglądała ślicznie.

- Co u ciebie? - zapytała.

- Sprzedałem dom - oznajmił, może nazbyt skwapliwie.

W jakim stopniu na jego decyzji zaważyła chęć, żeby jej o tym powiedzieć?

Nie ma przyszłości, Alice. Nie ma nadziei. Nasze życia od tej pory będą osobnymi torami. Wszystko to przeszłość, oficjalnie.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, czekając na reakcję, że trudno było dać wiarę jego słowom.

Skinęła głową.

- Słyszałam.

No, tak! Jaką ranę mógł jej jeszcze zadać?

- Jak to dobrze, że już nie muszę tam wracać. Alice pokiwała głową.

Co mógł dodać?

Zamierzam się ożenić. Nigdy cię nie kochałem. Jak właściwie masz na imię?

Był bezlitosny i jednocześnie wstydził się za siebie.

Gdyby tak straciła panowanie nad sobą. Gdyby zachowała się jak dziecko, może on by nie musiał. Gdyby na niego nawrzeszczała - cóż to byłoby za ulga! Ale oczywiście tego nie

zrobiła. Nigdy nie dawała się sprowokować. W przeciwnym razie nie znalazłby się w takiej sytuacji.

Tak bardzo pragnął odzyskać swoją miłość. Stare sposoby zawodziły. Prawdę mówiąc, nigdy nie działały. Jak można przestać kogoś kochać? Oto jedna z tajemnic życia. Im bardziej człowiek się stara, tym słabsze są efekty.

Jeśli nie odstręczyła go jej suknia, to co innego mogło poskutkować?

Po swingu rozbrzmiała wolniejsza melodia. Powinien odprowadzić ją na miejsce, ale zamiast tego przyciągnął bliżej. Przytulił ją, wdychając znajomy zapach. Nienawidził jej, nienawidził siebie. A teraz w dodatku wyczuł pod suknią jej ciało. Przesunął dłonie w dół pleców Alice i przycisnął ją do siebie mocniej, niż wypadało. Był jej straszliwie spragniony, wygłodniały. Dlaczego? Co w sobie miała, że tak bardzo jej potrzebował?

Zobaczył z bliska jej oczy, błyszczące, szeroko otwarte. Patrzyła ponad jego ramieniem.

Puścił ją i wrócił do swojego stolika, podniecony, sfrustrowany i nieszczęśliwy. Zastanawiał się, po co w ogóle przyszedł na to głupie wesele? Kogo właściwie zamierzał podręczyć?

17

Kriogenika

Przez jakiś czas sądzili, że Riley będzie musiała przejść operację zastawki mitralnej. Tak wyglądała sytuacja w połowie listopada, ale pod koniec miesiąca usłyszeli gorsze wieści. Zastawka aortalna okazała się równie zniszczona. Lekarze myśleli, że poradzą sobie z arytmia, wszczepiając rozrusznik. Lecz nawet ta nadzieja się rozwiązała, kiedy znaleźli więcej uszkodzeń, zarówno stabilnych, jak i postępujących.

Za każdym razem, kiedy Riley wracała z wizyty, mówiła tylko:

- Chyba wszystko w porządku.

I znikła na kilka godzin. Późno w nocy matka opowiadała Alice całą historię i dzieliła się z nią obawami. Ustawiała w rzędzie nowe buteleczki leków: betablokery, antykoagulanty, antybiotyki. A wszystko to dla dziewczyny, która nienawidziła łykać pigułek.

Czasami Alice miała wrażenie, że pacjentka matki i jej siostra Riley to dwie różne osoby.

- Wciąż wykrywają nowe uszkodzenia - powiedziała Judy pod koniec roku. - Operacja tej czy innej zastawki nie rozwiąże problemu.

W styczniu nic się nie zmieniło, ale wszyscy zachowywali czujność. Riley regularnie odwiedzała centrum transplantacyjne, a ze względu na młody wiek i postępy choroby znajdowała się blisko początku listy. Lekarz wyjaśnił, że kiedy jej nazwisko przesunie się wyżej i trafi się odpowiednie serce, operacja będzie kwestią godzin.

Riley została wyposażona w urządzenie przypinane do paska spodni. Mogą minąć dni albo miesiące, zanim się odezwie, uprzedził lekarz. Tak więc czekali. Ale podczas gdy Riley zajmowała się swoimi sprawami, Alice i rodzice wpatrywali się w pager.

Pewnego ranka, kiedy Riley zostawiła go na kuchennym blacie, we trójkę stali i gapili się na niego, jakby miał zaraz skoczyć im do gardła.

- To nie jest serce - zażartowała Riley.

Gdy później, po jej wyjściu, Alice siedziała sama w kuchni, zauważyła rzeczy, których wcześniej nie dostrzegła: stojak na przyprawy zrobiony przez Riley na zajęciach praktycznych w szkolnym warsztacie, okropny dzbanek ulepiony przez nią z gliny w trzeciej klasie, pokryty glazurą i wypalony w ogniu. Judy trzymała w nim sól. Na oknie wychodzącym na szyb wentylacyjny stały dwa bluszcze i dobrze korzystały z niewielkiej ilości światła, która tam dochodziła. Alice i Riley przyniosły je kiedyś z wiosennych targów, a Judy sumiennie podlewała i pielęgnowała. Na co dzień nikt nie pamiętał o tych drobiazgach wyrażających miłość.

Następne dni i tygodnie były jednym długim oczekiwaniem. Ojciec przychodził do domu podczas przerw w lekcjach. Matka więcej pracowała w mieszkaniu, a mniej w bibliotece. Od czasu do czasu wychodziła na zakupy. Stare plany poszły w niepamięć, nowych nie układano. Kiedy rodzice wychodzili wieczorami, znajdowali głupie preteksty, żeby wciąż telefonować do domu.

Alice bała się wybiegać myślą nawet jeden dzień naprzód. Jak małe dziecko, żyła chwilą, przechodziła od jednej aktywności do drugiej, nie zastanawiając się nad przyszłością.

Wszyscy się cofamy, doszła do wniosku.

Ale pod koniec stycznia uświadomiła sobie, że czekanie nie potrwa kilka dni, a nie można miesiącami żyć w stanie ciągłej gotowości. Ludzie nie są do tego przystosowani.

- Chyba nie chcę innego serca - stwierdziła któregoś razu Riley, gdy szły przez park. Zwykle spacerowały, gdy temperatura wzrastała do plus pięciu stopni.

- W tobie to będzie już twoje serce - powiedziała Alice.

Zbyt uważnie ją obserwowali. Alice bez przerwy wyobrażała sobie pracujące serce Riley i unicestwiała w myślach groźne zakrzepy. Zadawali zbyt dużo pytań na temat leków, dopuszczalnej dawki soli i zatrzymywania wody w organizmie. Riley miała ochotę od nich uciec.

- Gdzie byłaś? - zapytała niedbałym tonem Alice, kiedy siostra wróciła do domu w wietrzny lutowy wieczór. Woląła się nie przyznawać, że od obiadu dziesięć razy sprawdziła temperaturę powietrza.

- Poszłam do miasta zobaczyć się z Paulem. Alice omal nie zakrztusiła się śliną.

- Mam nadzieję, że nie chodziliście po dworze. Siostra zmierzyła ją wzrokiem.

- Co u niego? Powiedziałas mu? - wypytywała Alice. Mówiła trochę za głośno.

Riley zaczęła się rozbierać.

- W porządku. Dobrze się bawiliśmy. Nie powiedziałam mu. Teraz czuję się dobrze. Mniej spędza się czas z ludźmi, którzy nie wiedzą, że jestem chora.

- Dzięki.

- Poważnie, Al. Wiem, jak bardzo się o mnie troszczysz, ale jesteś upierdliwa.

Ludzie zostawiają na brzegu dużo rzeczy, kiedy idą pływać. Ubrania, drobiazgi, makijaż, dopracowane fryzury, głos, słuch, wzrok. „Pod wodą wszyscy wyglądają tak samo”, stwierdził kiedyś instruktor od nurkowania. Niektórzy tracą indywidualność, ale Riley zawsze czuła się w niej najbardziej sobą. Woda miała podobno symbolizować odrodzenie, ale kiedy Riley pływała - zredukowana do prawie nagiego ciała, sama i nieosiągalna - lepiej rozumiała, kim naprawdę jest.

Ocean oczywiście był najlepszy. Riley kochała nieporównywalne z niczym wrażenie wolności, a jednocześnie poczucie wspólnoty ze wszystkimi innymi miejscami i stworzeniami podwodnego świata. Ocean był najlepszy, ale na razie musiał jej wystarczyć przegrzany basen na szczycie budynku przy Zachodniej Sześćdziesiątej Ósmej.

Riley odepchnęła się od ściany, zrobiła nawrót i długi podwodny ślizg, przechodząc do żabki. Płynęła w powolnym rytmie, zmieniała styl klasyczny na dowolny przez pierwsze pół mili i dowolny na grzbietowy przez drugie pół. Obiecała sobie na początku, że skończy po mili. Tylko na tyle sobie pozwalała.

Powtarzające się ruchy nóg i rąk były medytacją, praca mięśni narkotykiem. Riley słyszała swój oddech i bicie serca. Stopniowo przestała do niej docierać obecność paru innych osób w basenie, to, co działo się na brzegu, szum miasta za szybami.

Zwyczajne rzeczy nie miały tutaj dostępu. Można było uciec przed światem. Nawet wymagania, które człowiek sam sobie stawiał, pod wodą się zmieniały. Nic nie słychać, nie da się rozmawiać. Uszy są pełne, ale panuje cisza.

Z każdym ruchem Riley zwiększała tempo, ale pod koniec znowu zwolniła. Po sześćdziesiątej czwartej długości basenu stanęła.

Kłopot z pływaniem polega na tym, że kiedyś trzeba wyjść z wody. Trzeba się osuszyć i ubrać. Trzeba znowu stać się bardziej sobą albo, w jej wypadku, mniej sobą. Obowiązki i wymagania już czekają.

Kiedy Alice wróciła z parku i zobaczyła mrugające światełko w telefonie, ogarnęły ją złe przeczucia. Zmarzniętymi, sztywnymi palcami wcisnęła przycisk odtwarzania.

- Tu gabinet doktor Braden z centrum transplantacyjnego, próbujemy złapać Riley - usłyszała kobiecy głos.

Dalej następowały szczegółowe instrukcje, żeby natychmiast oddzwonić. Kolejna wiadomość była od tej samej zdenerwowanej recepcjonistki, a trzecia od doktor Braden. Wszystkie nagrały się w ciągu ostatnich czterdziestu minut.

Alice poczuła narastający strach, jakiego doświadczyła już kilka razy wcześniej. Drżącymi palcami wybrała numer pagera siostry, potem jej komórki. Bez rezultatu. Riley była martwa albo lekkomyślna.

Alice czekała i zamartwiała się. Przez ostatnie miesiące wkładała wiele energii w te dwa zajęcia, ale nie stała się w nich lepsza. Mimo praktyki nie robiła żadnych postępów.

Próbowała dodzwonić się jeszcze parę razy. Za szóstym Riley w końcu odebrała telefon.

- O co chodzi?

- Rozmawiałaś z doktor Braden?

- Nie, a po co?

Alice słyszała oddech siostry.

- Sprawdź pager. Chwila przerwy.

- Oddzwonię - powiedziała Riley.

Spotkały się później w mieszkaniu. Rodzice też już byli. Riley opierała stopy w skarpetkach na stole kuchennym i odchyłała się w tył na krześle.

- Jesteś pewna, że już za późno? - zapytała Judy. Ściągnęła na jej szyi były napięte.

- Jestem pewna. Doktor Braden też.

- Ktoś inny je dostał? - naciskała Judy.

- Tak. Jest dzisiaj jeden szczęśliwy biorca serca.

- Ale nie my.

- Nie ja - powiedziała Riley.

- Kochanie, dlaczego nie odebrałaś wezwania? - spytał Ethan, ściskając oparcie pustego krzesła. - Nie rozumiem, co się stało.

Alice bała się, że siostra zaraz runie z krzesłem do tyłu i wyląduje na podłodze. Cóż to byłaby za ironia, gdyby po tym wszystkim, co Riley przeszła, teraz złamała sobie kark.

- Po prostu nam to wyjaśnij - poprosiła Judy zduszonym głosem. - Chyba po coś mamy u siebie to urządzenie.

Riley postawiła krzesło z trzaskiem na czterech nogach.

- Pływałam - oznajmiła twardym tonem. - Właśnie to robiłam.

Ośmielona Riley zabroniła im rozmawiać o liście pacjentów do przeszczepu. Nie wolno było im również wspominać o temperaturze na zewnątrz, soli, tabletkach i wadze.

- Przysięgam na Boga, że się wyniosę, jeśli usłyszę choć słowo na ten temat - zagroziła.

Przestała informować ich o swoich wizytach i nie pozwoliła matce, żeby jej towarzyszyła. Po wyjściu nie dzwoniła i nie informowała, gdzie jest.

- Przestań się gapić na pager - warknęła do matki pewnego ranka; urządzenie leżało na stoliku do kawy.

Późną nocą w tym samym tygodniu Alice podsłuchiwała, jak Riley rozmawia z ojcem.

- Nie chcę stać się tą chorobą. Czuję się, jakby miała mnie opanować, a wtedy nic ze mnie nie zostanie.

W blasku jarzeniówek rozjaśniających wnętrze drogerii Riley nie od razu rozpoznała siostrę. Otoczenie było obce i nieprzyjemne, ale bardziej chodziło o wyraz twarzy Alice. Była na niej pustka zamiast tak dla niej charakterystycznego ciepła i życia. Niedobrze jest podejrzeć bliską osobę, samemu nie będąc widzianym. Szczególnie przykre okazało się to w wypadku Alice.

Riley stała ukryta za piramidą dezodorantów i od niechcienia oglądała szczoteczki do zębów. Jej siostra obsługiwała kasę. Pozostałe trzy były puste. Nikt nie podchodził, więc Alice patrzyła bezmyślnie w głąb przejścia z szamponami. Po chwili zjawiała się przygarbiona kobieta i poprosiła o kupon na loterię. Potem, szurając nogami, przyszedł jakiś mężczyzna i pokazał na towar wiszący za ladą, może baterie.

W tym miejscu świat zewnętrzny nie istniał. Dla Riley to był koszmar. Żadnego okna, przez które można wyjrzeć. Kilka par rozsuwanych drzwi, odcinających dopływ powietrza. Żółte światło o chorobliwym odcieniu, w kółko ta sama muzyka. Nikt nie prezentował się ładnie w Duane Reade, jednak Alice to otoczenie nie służyło szczególnie. To dość deprymujące mieć piękną siostrę, ale Riley nie sprawiało radości przyglądanie się jej, kiedy wyglądała źle i pospolicie.

Nie chciała tu zostać, ale nie mogła również wyjść. Potrafiła zrozumieć, że Alice pracuje w parku za minimalną stawkę, nie mieściło jej się jednak w głowie, że można wytrzymać tutaj za jakąkolwiek płacę. Tutaj siostra zarobiła na jej pływalnię?

Co ty wyprawiasz, Alice?

Siostra wychodziła wieczorami, mówiąc, że spotyka się ze znajomymi. Rodzice czerpali z tego pewną pociechę. Ktoś w rodzinie musiał żyć normalnie. Co by pomyśleli, gdyby zobaczyli, co naprawdę robi ich córka?

Alice miała studiować prawo, a nie sprzedawać kupony na loterię. W ich rodzinie każdy dostał swoją rolę do odegrania. Młodsza córka powinna zostać absolwentką któregoś z prestiżowych uniwersytetów, a potem znaleźć równie prestiżową posadę, a nie siedzieć za kasą w drogerii.

Riley pamiętała dzień, kiedy Alice dostała listy z college'ów, do których złożyła podania. Tamtej zimy Riley mieszkała w Jackson Hole w stanie Wyoming. Wiosną przyjechała na kilka tygodni, żeby przed nadejściem lata przygotować dom na Fire Island. Cała rodzina patrzyła, jak podekscytowana Alice otwiera koperty, a potem krzyczy z radości na wieść, że została przyjęta do sześciu z ośmiu wybranych uczelni, łącznie z Dartmouth, do której w końcu poszła. Tamtego wieczoru rodzice zamówili stół w Moon Palace na Broadwayu. Riley cieszyła się ze względu na Alice. Przynajmniej taki miała zamiar. Ale w ostatniej chwili wymigała się od uroczystej kolacji, twierdząc, że musi zrobić coś pilnego. Potem w głębokiej ciemności biegała wokół stawu w Central Parku, milę za milą. Teraz było jej przykro, kiedy o tym myślała. Nie chciała zazdrościć siostrze i zepsuć jej wielkiego dnia.

Nie można było złościć się na Alice.

„Wystarczyłoby mi, gdybym dostała się do jednej szkoły”, stwierdziła. Podzieliłaby się bogactwem, gdyby je miała.

Riley pamiętała dzień sprzed trzech lat, kiedy, również w kwietniu, listy przyszły do niej. Otworzyła koperty w swoim pokoju, w sekrecie, tak samo jak wysyłała podania. Wszystkie od-

powiedzi były odmowne, a ona marzyła o tym, by móc oznajmić: „Chcę iść na kursy instruktorskie w NOLS. Zawsze tego pragnęłam”. Może tak było.

„Sama wybrałam”, chciałaby móc powiedzieć. „Zawsze o to mi chodziło”.

Zdrętwiałymi rękami w grubych rękawicach ogrodniczych Alice czyściła klomby wzdłuż ścieżki konnej. To było nowe zadanie i nowe otoczenie, co bardzo ją cieszyło. Stara sceneria z czasem wchłonęła jej troski. Z tą prawdopodobnie stanie się to samo.

Nie było wiele do zrobienia, ale też nie zgłaszało się dużo chętnych. Wszyscy lubili pracować w parku wiosną i latem. W lutym ochotnicy znikali, a etatowych pracowników była garstka. Alice większość czasu spędzała samotnie, a z powodu zimna zamierał nawet umysł, co zresztą jej odpowiadało.

Usłyszała stukot kopyt. Nigdy nie jeździła konno. Widziała ludzi z psami. Właściciele wyglądali na zmarzniętych, czworonogi na szczęśliwe. Zauważyła małego kundelka, który niósł w pysku dużego, poszarpanego misia, i choć nie lubiła małych psów, ten widok ją rozczulił.

Zobaczyła biegacza stawiającego zwinne, wdzięczne kroki, co przypomniało jej Riley. Były to znajome ruchy, ale nie widziała ich od długiego czasu. Wyobraziła sobie siostrę biegnącą po plaży, po drewnianym chodniku, Dziewięćdziesiątą Siódmą Ulicą. Rzadko widywało się Riley normalnie idącą. Zwykle pokonywała dwie mile w czasie, w którym Alice przebiegała jedną.

Nagle Alice się wyprostowała. Otrzepała ręce z twardych grudek ziemi i weszła na ścieżkę. Jej serce tłukło się po klatce piersiowej. Zobaczyła, że biegacz o nogach stworzonych do tego sportu zbliża się do zakrętu. Była w zasięgu głosu. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale się powstrzymała. Ogarnęło ją tajemnicze uczucie.

Jeśli Riley chciała biegać, Alice nie mogła jej powstrzymać. Mogła jedynie patrzeć. I tak zrobiła. Patrzyła i zapamiętywała tę piękną wizję.

Riley nie czuła się dobrze tej nocy. Nie poskarżyła się, lecz wszyscy to wyczuwali, a Alice знаła powód. Judy chciała zadzwonić do lekarza, ale córka stanowczo zaprotestowała. „Jestem dorosła”, oświadczyła, kończąc w ten sposób dyskusję.

Później Alice poszła do małego pokoiku siostry i usiadła na jej łóżku. Zostało w nim niewiele rzeczy z czasów, kiedy pierwszy raz opuściły dom rodzinny: zdjęcie Alice i Riley przytulonych do siebie na szczycie zaśnieżonego pagórka w Central Parku, stara fotografia Riley i Paula na łodzi na Great South Bay, ze złowionym ogromnym tasergalem.

- Dzisiaj pracowałam przy ścieżce konnej - oznajmiła Alice.

Siostry wymieniły spojrzenia. Obie wiedziały, co to znaczy.

Twarz Riley stężała, a Alice zastanawiała się, jak poruszyć temat. Próbowała wymyślić dobry sposób na wyrażenie niepokoju i jednocześnie miłości. Szybko sobie uświadomiła, że go nie znajdzie, bo te dwie rzeczy do siebie nie pasują. Komfort jej i Riley niekoniecznie były tym samym. Zaczęła pojmować, że ich cele prawdopodobnie są całkiem różne. Czasami trzeba dostrzec rozdźwięk i go zaakceptować.

- Podoba mi się tam - rzekła w końcu. - Te wszystkie psy i konie.

Minęło kilka minut, nim Riley zrozumiała, że Alice nic więcej nie powie.

Po jakimś czasie jej twarz się rozluźniła i przybrała dawny spokojny wyraz. Podczas gdy Alice wertowała „The New Yorkera” na jej łóżku, Riley zasnęła przytulona do siostry.

Minęła chwila, zanim Paul dostrzegł Ethana w lobby budynku filozofii przy Mercer Street. Jego pierwszą odruchową reakcją była radość, drugą podejrzliwość.

- Co tutaj robisz? - zapytał.

- Miałem nadzieję, że na ciebie wpadnę - odparł Ethan.

Wyglądał dużo starzej niż zwykle. Może dlatego, że był człowiekiem lata, a Paul zobaczył go zimą.

- Coś w rodzaju obserwacji policyjnej? Jak długo tu jesteś?

Ethan spojrział na zegarek.

- Dwadzieścia minut. Riley powiedziała mi, że masz seminarium w tym budynku.

- Mogłeś zadzwonić na komórkę - stwierdził Paul. Czuł się trochę jak hipokryta.

- Mogłem.

Paul ruszył do drzwi, opatulając się płaszczem. Ethan poszedł za nim.

- Co studiujesz? - zapytał.

- Filozofię.

Ethan nie tracił cierpliwości. Pogodził się w życiu z wieloma odrzuceniami i całkiem nieźle mu to szło.

- Domyśliłem się. Jaka filozofię? Paul spojrział na niego z ukosa.

- Moralną.

Ethan pokiwał głową.

- I polityczną - dodał Paul.

Pamiętał, jak ojciec Alice starał się odegrać znaczącą rolę w jego edukacji. To on nauczył go czytać latem po drugiej klasie, kiedy szkoła zagroziła, że go wyrzuci. Przeczytał jemu i Riley całą trylogię *Władcy pierścieni* w ciągu bardzo deszczowego lata po czwartej klasie. Paul nie przyznałby się do tego, ale uwielbiał leżeć na kanapie, z wyciągniętymi nogami i Riley naprzeciwko niego, podczas gdy jej ojciec siedział w dużym, brązowym, wyściełanym fotelu i naśladował różne głosy. Byłby dobrym aktorem, myślał czasami Paul.

Słuchali, jak szum wiatru i deszczu miesza się z hukiem oceanu. Czasami Alice związała się przy nich w kłębek. Paul niemal czuł, jak, moszcząc się, wbija mu łokcie w bok. Krzyczał na nią wtedy, ale to też lubił. Alice uciekała w najstraszniejszych momentach, a on potem nabijał się z niej z tego powodu.

W tamtym czasie sądził, że Ethan go kocha, ale później doszedł do wniosku, że się mylił. To nie on interesował Ethana. Tamto lato po czwartej klasie było najszczęśliwsze ze wszystkich, ale skończyło się źle.

- Lubisz swoje studia? - zapytał Ethan.

- Jasne.

- Zrobisz doktorat?

- Taki mam plan - odparł Paul.

Ethan zrezygnował z doktoratu z historii Ameryki gdzieś w połowie pisania pracy. Kiedyś na dorocznym pikniku na plaży opisał swoją akademicką karierę skrótowo WTND, co oznaczało, jak później Paul się dowiedział: „wszystko, tylko nie dysertacja”. Określenie pasowało do Ethana; pełen dobrych zamiarów, ale mało skuteczny.

Przeszli przez Washington Square Park, pod łukiem triumfalnym. Paul zastanawiał się, jak długo Ethan będzie mu towarzyszył. Jakoś nie wierzył w jego determinację.

- Widziałeś ostatnio dziewczyny?

Paul przyśpieszył kroku. Czyżby Ethan coś wiedział? Ta myśl nie przyszła mu wcześniej do głowy. Ogarnął go niepokój.

- Widziałem się z Riley jakiś tydzień temu - odparł niedbałym tonem.

- Jaka ci się wydawała?

Paul gwałtownie skręcił w Ósmą Ulicę.

- Posłuchaj, muszę coś załatwić, a już jestem spóźniony. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował, dobrze?

Zostawił Ethana przy Piątej Alei i bez żadnego celu pomaszerował szybko w stronę West Side. Poczł ulgę, że Ethan nie próbuje go dogonić.

Dopiero później uświłdmił sobie, że w swoim egoizmie i rozdrażnieniu, zapomniał go zapytać, jaką ma do niego sprawę.

18

Rozdarta sieć

Na początku marca Alice dostała nowy przydział: sprzątanie Ancient Playground. Wielki plac zabaw znajdował się na East Side przy Osiemdziesiątej Czwartej, na północ od Metropolitan Museum. Alice pamiętała go dobrze z czasów dzieciństwa, kiedy po wizycie w muzeum zabierali je tam rodzice. Najbardziej cieszyła się wtedy Riley, znudzona wystawami.

Praca Alice polegała na szorowaniu toalet, o czym matce przezornie nie wspomniała. Musiałaby wysłuchać uszczypliwych uwag na temat kosztownego bakalaureatu. Była zadowolona, że wykonuje to zadanie w marcu, a nie latem. W sierpniu śmierdziało całe miasto i dlatego ludzie, którzy mogli sobie na to pozwolić, jechali na plażę.

Alice ucieszyła się, kiedy trzeciego dnia na plac zabaw przysła Riley, choć było zimno.

- Co tutaj robisz? - zapytała ją, ale bez niepokoju. Twarz Riley była zbyt ożywiona jak na złe wieści.

- Pomyślałam o tobie i nie mogłam się oprzeć - odparła siostra.

Podczas gdy Alice zamiatała uschnięte liście, Riley huśtała się na linie i od czasu do czasu coś do niej krzyczała.

Park świecił pustkami. Na pewno z powodu zimna, uznała Alice, i dlatego że trwał rok szkolny.

Gdy Riley znudziła się liną i wspinaniem na ziggurat, usiadła na piasku, który grabiła Alice.

- Lubię ten plac zabaw, między innymi z powodu piaskownic - powiedziała.

Właściwie to nie były piaskownice, tylko wielkie ławice piachu pod większością przyrządów do zabawy i budowli. Alice pamiętała, że matka kazała im zdejmować buty i wytrzepywać je, zanim pojechały autobusem do domu.

Po jakimś czasie Riley również zaczęła grabić piasek, tyle że palcami.

- Hej, spójrz. - Podniosła kawałek szkła.

Alice wzięła go od niej i wrzuciła do worka na śmieci.

- Dobrze, że to znalazłaś.

Riley pracowała pilnie i z coraz większą satysfakcją usuwała potencjalnie niebezpieczne przedmioty.

Koło obiadu zjawiała się pani Boxer, szefowa Alice. Gdy zobaczyła obcą osobę, zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem.

- Nie zapłacę wam obu - oznajmiła.

- Dobrze - powiedziała Riley miłym tonem.

- Wiemy - dodała Alice.

W następnym tygodniu pogoda się zmieniła, lecz Alice wiedziała, że to zdecydowanie przedwczesna zapowiedź wiosny. Mimo to jej skóra raptem zyskała milion nowych porów i wszystkie się otworzyły, żeby chłonać ciepło i łagodne powietrze. Wystawiając twarz do słońca, miała ochotę aż krzyknąć. Była zadowolona, że plac zabaw jest pusty i tego dnia Riley się nie pokazała.

Leżała na piasku i czuła odwilż w kościach. Jej mięśnie, tak wyćwiczone przez ostatnie miesiące, zmieniły się w galaretę. Nie była pewna, czy jest w stanie podjąć grabienie albo chociaż dotrzeć do domu.

Do tych milionów otwartych porów docierało ciepło słońca i inne bodźce. Była cała porowata.

Powietrze pachniało jak na plaży. Słońce pachniało jak słońce. Toalety znajdujące się kilka metrów dalej pachniały jak toalety. Jedyne dysonans wobec nieba nad głową i piasku stanowił warkot samochodów i autobusów dobiegający z pobliskiej ulicy.

Alice pomyślała o Paulu i o tym, jakie zapiaszczone były jego plecy, kiedy pierwszy raz go objęła. Pomyślała o Riley, o zwijającym się linoleum, o kanapkach z jajkiem, o brodziku, który działał, i o prysznicu, który nie działał. Pomyślała o swoich stratach. Pozwalała myślom błądzić. Czuła się całkiem rozleniwiona.

Zrobiło jej się głupio, kiedy pani Boxer stanęła nad nią i zapytała, co robi. Alice zerwała się szybko.

- Odpoczywałam przez chwilę - powiedziała, wycierając oczy wierzchem dłoni.

Kiedy wróciła do domu, zobaczyła, że Riley siedzi z książką na kanapie. - Co czytasz?

Siostra odwróciła okładkę w jej stronę, pokazując ognistowłosą kobietę w sukni z dużym dekoltem, objętą przez długowłosego awanturnika. Obrazek rozśmieszył Alice. Tytuł głosił: - *Anna i pirat*.

- Dobrze?

- Dość głupie - odparła Riley. - Ale dobre.

Alice nie pamiętała, żeby siostra kiedykolwiek czytała książkę z własnej woli. Usiadła obok niej na kanapie. Uświadomiła sobie, że nadal ma słońce na skórze.

- Pięknie dzisiaj. Czuć już lato.

Riley skinęła głową. Wyglądała na zmęczoną.

- Byłam dzisiaj na spacerze.

Alice skrzyżowała nogi, a Riley położyła stopy na jej kolanach i czytała dalej. To było miłe. W mieszkaniu panowała cisza, żadnych sygnałów karetek ani hałaśliwych ciężarówek na Amsterdam Avenue.

Po jakimś czasie Riley odłożyła książkę i przesunęła się, żeby zrobić siostrze miejsce. Alice wyciągnęła się tak, że stopy Riley spoczywały jej na brzuchu, a ona sięgała palcami jej brody. Często tak leżały.

- Mogę ci coś powiedzieć? - spytała Riley.

- Tak.

- O tacie.

Alice kiwnęła głową.

- Pamiętasz, jak przed laty zdradził mamę, a ty pytałaś mnie, czy wiem, z kim?

Alice znowu pokiwała głową. Jej serce zaczęło bić szybciej.

- Wiedziałaś - powiedziała Riley.

- Naprawdę?

- Tak.

- Więc kto to był?

- Lia.

Słowo dotarło do uszu Alice, ale nie do jej świadomości.

- Mama Paula?

- Tak.

- Tata miał romans z Lią? - Umysł Alice jeszcze się bronił przed prawdą. - Mamą Paula?

- Tak.

- Ale to nie mogła być ona. Tata zawsze mówił, że jest nieznośna.

Riley odetchnęła głęboko.

- Możesz uwierzyć mi na słowo, Al.

- Skąd wiesz?

Siostra przekrzywiła w zamyśleniu głowę.

- Bo ich widziałam.

Alice dostrzegła kruchość Riley. Nie chciała jej naciskać.

- Widziałaś ich... razem?

- Tak razem, jak tylko może być dwoje ludzi - odparła z powagą Riley, ale dla demonstracji uniosła książkę.

- O, nie. - Imię „Lia” dotarło wreszcie do jej mózgu, ale utknęło w jednym miejscu i nie chciało się rozpuścić ani wchłonąć.

- Paul i ja widzieliśmy. - Riley naciągnęła kołnierz koszuli na brodę. - Byliśmy nad zatoką, próbowaliśmy nałapać siatką ryb na przynętę. Pamiętasz ten stary podbierak z zieloną rączką?

Alice pokiwała głową. Doskonale go pamiętała.

- Pamiętasz, że miał rozdarcie? Paul wpadł na pomysł, żeby skleić je lakierem do paznokci. Przypomniał sobie, że jego mama ma lakier, więc pobiegliśmy do jego domu, a potem na górę do łazienki.

Alice wolno pokiwała głową.

- Domyślam się, że nie zapukaliście.

- Nie.

- O, nie! - Alice chętnie poznałaby szczegóły, ale widząc wyraz twarzy Riley, zrozumiała, że lepiej nie pytać. - Co zrobił Paul? - Woląla nie dociekać, jak zachowali się ojciec i Lia.

- Złapał mnie za rękę i wybiegliśmy stamtąd. Było mi niedobrze i kręciło mi się w głowie. Pamiętam, że staliśmy na środku Main Walk i nie wiedzieliśmy co robić.

- I co postanowiliście?

- Ja poszłam do domu. On... nie wiem dokąd, ale raczej nie do siebie, prawda? Nie widzieliśmy się ani nie rozmawialiśmy ze sobą przez trzy dni.

- Chyba je pamiętam.

- A na czwarty dzień przyszedł jak zwykle na płatki i to był koniec historii.

- Co masz na myśli?

- Dla nas koniec. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.
- Nie rozmawialiście?
- Nie. - Riley wzruszyła ramionami. - Nie wprost. Nie mogliśmy.
- Boże!
- Tata próbował ze mną o tym pogadać, ale odmówiłam.

Alice skinęła głową.

- Na początku piątej klasy kazał mi iść do szkolnego psychologa.
- Pamiętam.

- Z mamą też nie chciałam rozmawiać. Wierz mi albo nie, ale ani ja, ani Paul nigdy z nikim o tym nie mówiliśmy.

Alice była oszołomiona i lekko ją mdliło. Żałowała, że ma milion porów, a nie jeden albo wcale. Przyszło jej na myśl, żeby zapytać Riley, dlaczego akurat dzisiaj postanowiła zdradzić jej sekret, ale nie była pewna, czy chce znać odpowiedź.

Popatrzyła na nią uważnie.

- Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

Po krótkim zastanowieniu Riley pokręciła głową i spytała:

- A ty?

Alice ucieszyła się, kiedy siostra odwiedziła ją na placu zabaw. Nie była natomiast zadowolona, gdy ujrzała ją w świetle jarzeniówek w Duane Reade.

- Skąd się tu wzięłaś? - przywitała ją niezbyt uprzejmie.

Była rozdrażniona i zaaferowana. Myślała o Lii, ojcu i o wszystkim, co sprawiało, że niechętnie wracała do przeszłości.

- Sprawdzam - odparła Riley beznamiętnym tonem.
- Poważnie, co tutaj robisz?
- Śledziłam cię. Znalazłam uniform i wiedziałam, że nie należy do taty ani do mamy.
- Jesteś szpiclem, wiesz? Riley się rozejrzała.
- Martwisz mnie, Al.

Alice wcisnęła kilka guzików w kasie.

- Dlaczego tu pracujesz? - naciskała Riley.
- Mówisz zupełnie jak mama.
- Robisz to dla mnie? Alice pokręciła głową.
- Bo jeśli tak, to przestań - zażądała siostra. Alice spojrzała na paznokieć kciuka.

- Powinnaś mieć dobrą pracę. Prawdziwą pracę. Stać się na coś lepszego niż to. Ty jesteś ta mądra.

Alice nie mogła wykrztusić słowa. Zaczęła płakać w rękaw fartucha, ale materiał był sztuczny i nieprzemakalny. Nie chciał wchłonąć łez.

Sądziła, że wie, co tutaj robi, ale teraz uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia. Myślała, że dobrze zna poczucie winy, ale okazało się, że jest go więcej rodzajów.

Oddałaby wszystkie swoje zdolności Riley, gdyby mogła. A skoro nie mogła, udawała, że nie ma żadnych.

Do lady zbliżyła się stara kobieta w zielonym swetrze z Fair Isle. W ręce trzymała opakowanie szczoteczki do zębów.

- Czynna kasa? - zapytała.

- Tak - powiedziała Riley.

Weszła za ladę i odsunęła na bok płaczącą siostrę. Wzięła zakupy od klientki.

- Osiem dziewięćdziesiąt dziewięć.

- Pani tu pracuje? - upewniła się kobieta.

- Nie codziennie - odparła Riley. Miała ogólne pojęcie o tym, jak obsługiwać kasę.

Klientka wręczyła jej dziesięć dolarów, Riley wydała resztę z szuflady. Do torby wrzuciła rachunek.

- Dziękuję i dobranoc - powiedziała.

Alice ją obserwowała. Nadal miała łzy w oczach, ale jednocześnie była rozbawiona.

- Z czasem znajdę dobrą pracę - obiecała, wycierając nos.

- Na co czekasz? - zapytała Riley. Alice wzruszyła ramionami.

Jazda metrem była długa. Dawniej Riley czuła podczas wypraw radosne podniecenie. Jej umysł nie znał wtedy niepokoju. Ufała swojemu sercu. I nie puchły jej stopy.

Odkąd zabroniła rodzicom mówić o ich zmartwieniach w związku z jej chorobą, miała więcej czasu i spokoju na własne. Położyła rękę na piersi, jak to ostatnio miała w zwyczaju.

Kupiła bilet do akwarium i weszła przez kołowrót. Kasjer podał jej mapę, ale Riley uprzejmie odmówiła. Znała tutaj wszystkie zakamarki. Najpierw szerokim, ciemnym korytarzem dotarła do podwodnej platformy widokowej, z której oglądało się delfiny.

W pierwszej chwili nie zobaczyła żadnych delfinów. Potem wypatrzyła jednego. To była Marny, ale jej niegdyś gruba, lśniąca skóra wyglądała na cienką i pokrytą szramami. Ona też się starzała. Ten widok napełnił Riley bólem.

Z jakiegoś powodu nie mogła tym razem uwierzyć, że ma przed sobą prawdziwy habitat. Widziała nie morski ekosystem, tylko rury, urządzenia, plamy na tynku, wodę o brzydkim żółtawym zabarwieniu.

Obeszła wolno zbiorniki i pawilony. Był wtorek rano, w środku prawie pusto, nie licząc grupki uczniów o nieszczęśliwych minach. Wyglądali na siódmą albo ósmą klasę. Riley przez chwilę patrzyła na mewy, które krążyły w powietrzu, skrzeczały gniewnie i wyjadały popcorn z asfaltu. Oprócz niej tylko one były tutaj z własnej woli.

Kiedyś całą uwagę poświęcała wielkim stworzeniom o dużych pyskach i dużych płetwach, ale dzisiaj wydry morskie i mors o spuchniętych oczach wyglądały na zniewolone i nieszczęśliwe. Czy sprawiało im różnicę, że nikt nie chce ich oglądać? Riley dużo czasu spędziła na obserwowaniu mniejszych zbiorników z mnóstwem pełzających i pływających stworzeń, gdzie można zrozumieć całość ekosystemu. Te małe istoty żyły dla siebie, nie zauważały człowieka i wyglądały na zadowolone.

Kiedyś Riley gardziła wystawami przedstawiającymi podmorski świat. Wszystkie ekspozycje zawsze były brązowe.

Ale dzisiaj przyjrzała się im uważniej i zobaczyła więcej. Przeczytała tabliczki.

Nogi ją bolały, w głowie lekko się kręciło, kiedy wchodziła po schodach do starego delfinarium. Brzeg basenu był odgradzony liną od czasów, kiedy odbywały się tutaj pokazy.

Samotny pracownik szorował boki zbiornika mopem na długim kijku. Riley wciągnęła w nozdrza intensywny słony zapach starych śledzi i stojącej wody. Rozejrzała się za znajomym szarym grzbietem, ale Marny wolała zostać na dole.

- Co się stało z Turkiem?! - zawołała do człowieka z mopem.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok.

- Zdechł w zeszłym roku. Mamy dostać nową parę.

Riley pokiwała głową i ruszyła wzdłuż basenu, zastanawiając się, co to oznacza dla jej ulubienicy. Chciała, żeby Marny wypłynęła na powierzchnię choć na minutę i przemknęła obok niej na grzbiecie, jak to miała w zwyczaju. To byłoby dla niej pociecha.

Riley wyszła z akwarium na nieznęwaną plażę Coney Island. Nie zdjęła butów do biegania i pozwoliła, żeby nasypał się do nich piasek. Wiosenny wiatr wciskał się pod jej kurtkę i czapkę. Piasek, morze i niebo układały się w trzy poziome pasy jasnych, wyblakłych kolorów.

Riley spojrzała doświadczonym okiem na ocean. Poczwała smutek z powodu straty Turka i jednocześnie zadowolenie, że odzyskał wolność. Jeśli chodzi o Marny, czuła tylko smutek.

Paul był zaskoczony, że Riley chce się z nim spotkać na kawie. Nie lubiła kawy i nie lubiła przebywać w zamkniętych pomieszczeniach. Kiedy się zjawiała, wyglądała na zmęczoną.

- Co się dzieje? - spytał.

- Zaczekaj.

Riley poszła do lady i wróciła z dwiema gorącymi czekoladami. Podała mu jedną, choć już stała przed nim filiżanka kawy.

Dziwnie nie pasowała do tego otoczenia, gdy tak przeliczała pieniądze, a potem szła wśród stolików, mijając obcych ludzi. Zupełnie jakby została wklejona do tej sceny, dość niefachowo, bez zastosowania najnowszych technik.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

Paul poczuł ściskanie w żołądku. Położył dłonie na udach, stopy oparł mocno na ziemi.

- Powinnam była ci to powiedzieć wiele miesięcy temu, ale nie miałam ochoty. - Riley zaczęła mieszać warstwę bitej śmietany na czekoladzie. - Alice też nie pozwoliłam.

Paul pokiwał głową.

- W porządku. - Czuł się tak, jakby zmuszano go do spojrzenia na coś, na co nie chciał patrzeć.

- Nie mam ochoty wdawać się we wszystkie szczegóły ani odpowiadać na pytania.

Paul znowu skinął głową. Niepokój rósł z każdą chwilą.

- Przebyłam reumatyczną chorobę serca, prawdopodobnie po raz drugi. Za pierwszym razem byłam mała. Zeszłego lata zachorowałam dużo poważniej.

Paul wypił łyk kawy. Potem gorącej czekolady.

- Mogły też być inne kłopoty z moim sercem. Tak czy inaczej, bardzo mi się pogorszyło.

Paul pokiwał głową. Riley nie oczekiwała wyrazów współczucia. Miała zniecierpliwioną minę.

- Z moim sercem jest naprawdę źle. Zdaje się, że potrzebuję nowego.

Paul nie potrafił dłużej ukrywać zaskoczenia.

- Nowego?

- Nowego serca.

- Czego?!

- Słyszałeś.

- Co?!

- Posłuchaj, Paul. Moja rodzina jest zdruzgotana, Alice jest wrakiem. Lubię cię, kiedy nie jesteś wrakiem, więc wyświadcz mi tę przysługę. Naprawdę by mi to pomogło.

Pokiwał głową. Nagle zapragnął ukryć się gdzieś, gdzie mógłby się rozkleić. Niestety, musiał wykazać się odwagą.

- Dzięki - powiedziała Riley. - Zawsze byłeś moim najlepszym przyjacielem. Zawsze mnie rozumiałeś.

Paul zauważył, że twarz ma zarumienioną i błyszczą jej oczy. Zakrył dłońmi usta, żeby nie dostrzegła wyrazu jego twarzy.

- A ty moją najlepszą przyjaciółką - wymamrotał w końcu.

Riley przez następną minutę mówiła coś o Coney Island, ale on nie mógł jej słuchać, tylko patrzył na małą bliznę, która przecinała jej brew, i przełykał ślinę, gorączkowo szukając w myślach jakiegoś pocieszenia. Czuł się, jakby zaraz miał umrzeć.

Do tej pory prześladowało go wspomnienie chwili, w której po raz pierwszy dostrzegł jej kruchość. Wśród najgorszych obrazów, które przechowywał w pamięci, był ten, jak dziesięcioletnia Riley patrzy na niego ze zdumieniem, a po jej policzku płynie krew. Próbował ją wtedy skrzywdzić, ale nie wierzył, że to możliwe. Nie uważał jej za zwyczajną ludzką istotą. Nikt nie potrafiłby jej zranić. Miał ochotę na nią nakrzyczeć, jakby to ona zawiniła. Był na nią wściekły. Nie potrafił jej współczuć.

Wstali od stolika, bo Riley oznajmiła, że się śpieszy. Paul ruszył za nią oszołomiony. Nie miał ochoty zmierzyć się ze światem z tą wiedzą w głowie. Nie chciał jej puścić, nie chciał, żeby go zostawiła, ponieważ wiedział, że stanie się wrakiem.

- Uda ci się dostać nowe serce? - spytał głosem tak zdławionym, że ledwo go rozpoznał.

- Nie jestem pewna, czy je chcę.

Co? Co to znaczy? Co będzie, jeśli go nie dostaniesz? Gdy szedł obok niej ulicą, na usta cisnęły mu się pytania, ale wiedział, że Riley nie chce, żeby je zadał. Zeszła po kilku stopniach prowadzących na stację metra.

- To na razie - powiedziała.

- Kiedy to się stało? - zapytał łamiącym się głosem. Było mu za siebie wstyd.

- Co?

- Nieważne - rzucił do jej znikających pleców. Zrozumiał, że zna odpowiedź na to pytanie.

Zadzwoił jeszcze tego samego wieczoru. Poczuł ulgę, kiedy odebrał Ethan.

- Tu Paul. - Skubał kawałek czerwonego wosku ze świecy, siedząc przy biurku. Ilekroć się przeprowadzał, zawsze udawało mu się zatrzymać ten mebel.

- Cześć, Paul - powiedział Ethan, przybierając pogodny ton, który miał zamaskować głębokie znużenie w jego głosie. - Z kim chcesz rozmawiać?

- Z tobą.

Ethan milczał przez chwilę.

- To dobrze.

- Chciałem ci powiedzieć, że mi przykro.

Ethan odczekał chwilę. Było wiele spraw, z powodu których im obu mogło być przykro.

- Nie wysłuchałem cię, kiedy przyszedłeś do mnie kilka tygodni temu.

- Spieszyłeś się. Wszystko w porządku. Miałeś rację, że powinienem wcześniej zatelefonować.

- Nie. Powinienem być z tobą porozmawiać. Ethan westchnął.

- Cóż. Uznaj, że ci wybaczyłem.

Zawsze był dla niego zbyt pobłażliwy. Myślał, że jeśli będzie miły, jeśli przejdzie do porządku nad jego zachowaniem, Paul poczuje się zbyt winny, żeby nadal go nienawidzić. Myślał, że jeśli sam wciąż będzie wybaczał, Paul w końcu wybaczy jemu.

- Nie zasłużyłem - stwierdził Paul. - Widzisz, kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem sobie, że przyszedłeś mi coś zaproponować. Mecz Metsów, bilety na koncert albo coś w tym rodzaju. Teraz rozumiem, że mogłeś przyjść, żeby mnie o coś poprosić. Jeśli tak, chciałbym ci to dać.

Wydawało się, że Ethan na chwilę odłożył słuchawkę. Kiedy znowu się odezwał, jego głos był lekko stłumiony.

- Dzięki, Paul. Doceniam to.

Piec i ogień

Kiedy pierwszego maja wreszcie zrobiło się ciepło, Paul pojechał na Fire Island. W ciągu czterech dni wysłuchał ponad stu albumów. Kręcił się w fotelu. Siedział na dywanie. Dużo myślał o Riley.

Odłożył dla siebie i starannie spakował czterdzieści dwa albumy, głównie te, z którymi wiązały się jakieś wspomnienia, na przykład Ian i Sylwia, „Godspell”. Na widok okładki longplaya Joni Mitchell, na której była naga i pokazana od tyłu, przypomniał sobie, jak patrzył na nią w dzieciństwie. Trafił też na płytę z głosami delfinów i wielorybów, więc zachował ją dla Riley. Resztę schował z powrotem do pudeł. Pomyślał, że sprzeda je na eBayu albo komuś odda. Nie chciał trzymać ich w muzeum Robbiego.

Wyrzucił siedem worków śmieci, co sprawiło mu wielką satysfakcję. Im więcej czasu spędzał z pamiątkami po ojcu, tym mniej cenne się stawały. Coraz łatwiej przychodziło mu ich wyrzucanie. Podobnie jest wtedy, gdy człowiek czuje się na tyle swobodnie w towarzystwie drugiej osoby, że potrafi razem z nią marnować czas. Powinien może się wstydzić, że tak postępuje z rzeczami zmarłego ojca, ale uznał, że tę śmierć już przebolewał, a jego samego nigdy nie zapomni.

Był tym zaskoczony, bo wyobrażał sobie, że każde zetknięcie się z dawną tragedią spotęguje ból, ale okazało się, że nie miał racji. Widać, żeby rosnać, gorycz wymagała ciemnego i pozbawionego tlenu środowiska.

Nastawił ścieżkę dźwiękową z *Hair*. Pamiętał, jak jego matka wyła do wtóru „Let the Sunshine In”. Było to przygnębiające i jednocześnie zabawne wspomnienie. Let the sunshine iiiin.

Jak można aż tak bardzo się zmienić? W tym domu kiedyś panował chaos i bałagan, ryczała muzyka, kręcili się goście. Mnóstwo narkotyków, żadnych wątpliwości. Stół pingpongowy zamiast jadalnianego. Czasami na nim jedli. Teraz był lakierowany mahoń, trzy porcelanowe zastawy, komody pełne obrusów i prawdziwego srebra. Kiedy przypominał sobie dawne włosy matki, nie mógł jej sobie teraz wyobrazić w takiej fryzurze. Tamta kojarzyła się z utraconym czasem.

Ojciec też należał do przeszłości i odszedł razem z nią. Niektórzy ludzie, jak Lia, potrafili się zmieniać. Inni, jak Robbie, nie.

Choć Paul urodził się za późno, miał sentyment do dawnych czasów. Między innymi dzięki historiom opowiadanym przez Ethana, kiedy jeszcze go słuchał.

Przejrzał i zachował niemal wszystkie fotografie. Wczesne pochodziły z wieców w kampusie i protestów antywojennych. Ojciec zawsze był na nich bez koszuli, miał włosy do pasa i zwisał ze słupa albo coś krzyczał. Zachowały się dwa wycinki z gazet i fotka policyjna zrobiona tuż po aresztowaniu. Spoglądał z niej dumny jak absolwent. Z rozdania dyplomów nie było żadnych zdjęć. Robbie został wyrzucony z uczelni, zanim ją ukończył.

Przez jakiś czas mieszkał w Dystrykcie Kolumbii. Pracował przy kampanii prezydenckiej McGoverna, pierwszej ze swoich spektakularnych porażek. Przez trzy zimowe miesiące podobno nocował w samochodzie i został aresztowany, kiedy leżał na masce i popalał trawkę. Na jednym ze zdjęć widać, jak chodzi z plakatem przed Białym Domem.

Śladem Beatlesów pojechał do Indii. Tam nauczył się brać więcej narkotyków i dla pamięci przywiózł do domu kilka eksperymentalnych obrazów namalowanych na haju. On sam chyba musiał wtedy bujać wysoko w obłokach.

Lię poznał na festiwalu muzycznym w Georgii pod koniec lat siedemdziesiątych. W drodze do domu kupił słynne sandały od rzemieślnika z Wirginii. Zamieszkali razem w East Village. Na jednej ze ślubnych fotografii Lia jest w widocznej ciąży, a na głowie ma burzę włosów, gospodarz występuje boso, a dziadków Paula nigdzie nie widać.

Lata siedemdziesiąte dobiegły końca. Skończył się nawet kac. Z okresu po 1982 roku pochodziło kilka zdjęć małego Paula, ale zabrakło psychodelicznych malowideł Robbiego, jego narkotycznej poezji i tekstów piosenek. Nie było broszur politycznych ani wycinków z lewicowych gazet. O ile Paul się orientował, ojciec już nie kupował potem żadnej muzyki. Może parę albumów jazzowych.

Nie był pewien, kiedy to się stało, ale wiedział, że ojciec na jakiś czas zwrócił się ku Bogu. W latach wczesnego dzieciństwa syna na nowo odkrył album „Godspell”. Paul nie zdawał sobie sprawy, ile piosenek z tej płyty zna, dopóki jej nie nastawił. Przyprawiła go o smutek, zwłaszcza ten moment, kiedy aktor o aksamitnym głosie grający Jezusa, błaga Boga, żeby oszczędził jego lud. Smutne było również to, że Pan raczej nie pomógł Robbiemu.

Nie wiedzieć dlaczego, Paul odnosił wrażenie, że Lię irytowała ta faza życia męża.

Na kilku zachowanych zdjęciach ojciec miał krótkie włosy, był wychudzony i miał lekko nieprzytomny wzrok, na większości mrużył oczy. Jedno sympatyczne, z Pauliem na rękach, zostało zrobione w zoo w Central Parku. Upozowane, ale mimo to ładne.

Mniej więcej w tym czasie rodzice kupili rezydencję na plaży. Robbie poznał komunizującą parę z „Village Voice”, która miała willę nad zatoką. Lia wybrała duży dom z widokiem. Paul znalazł zdjęcie swoje z Riley i Robbiem i nawet jedno, na którym we trójkę z dumą trzymają na rękach malutką, płaczącą Alice. Czasami zapominał, że Alice urodziła się jeszcze za życia jego ojca.

Kilka lat później rodzice kupili dom w Brooklyn Heights. Ten również Lia wybrała ze względu na widok. Kazała obić wszystkie meble starannie dobranymi tkaninami, a do kuchni zamówiła profesjonalny piec. Paul sądził, że zrobiła to już po śmierci ojca, ale znalazł fotografię ojca w nowej kuchni.

Ethan zdradził mu, że Robbie wpadł przed śmiercią w nałóg narkotykowy. Twierdził, że często tak się dzieje.

- Robbie naprawdę kochał kontrkulturę - powiedział do Paula i Riley pewnego wieczoru po zbyt wielu piwach. - Trudno wam, dzieciakom, to zrozumieć, bo teraz jest inaczej. Kiedyś ludzie rozmawiali o wojnie, muzyce i polityce. Teraz rozmawiają o akcjach i nieruchomościach.

Paul rozejrzał się w myślach po tym domu i miasteczku, szukając ludzi takich, jak jego tata i Riley, ludzi, którzy się nie zmieniają. Czuł dla nich podziw za to, że są wierni sobie, czy litość dlatego, że nie nadążają za resztą?

Był zadowolony, że ojciec nie widzi, co się stało z jego żoną, z tym miejscem, ze światem.

Jak na wczesny maj było wyjątkowo ciepło i pogodnie. Riley uparła się, żeby pojechać na wyspę, i Alice właściwie też tego chciała. Jednocześnie bała się powodów, dla których siostra wpadła na ten pomysł. Woląaby, żeby Riley nie szukała okazji do pożegnań.

Na promie usiadły na górnym pokładzie. Alice przyłapała się na tym, że stara się zapamiętać każdy szczegół.

- Wiosna przychodzi tutaj o wiele później - zauważyła Riley, kiedy podpłynęli do nabrzeża.

Gałęzie drzew okrywała mgiełka żółtozielonych pączków. Gdy tylko wysiadły, Alice poszła po wózek. Wpakowała do niego torby, czując ulgę, że Riley nie próbuje jej pomagać.

- Oszczędzam siły - poinformowała ją siostra.

Alice roześmiała się, ale nie zapytała, na co je oszczędza.

Uznała, że przez jeden dzień obejdą się bez wody, ale już godzinę po przybyciu stała pod domem w waderach siostry, z kluczem w ręce, i wpatrywała się w płataninę rur. Riley wykrzykiwała instrukcje, a Alice starała się je wypełniać. Nie chciała zdobywać nowych umiejętności, ale Riley nie dała jej wyboru. Omal jej nie powiedziała: „Nie myśl, że od tej pory będziesz miała święty spokój”.

Ale kiedy potem splukała toaletę i okazało się, że wszystko działa, poczuła się z siebie dumna. Jeszcze raz pociągnęła za spłuczkę.

Gdy później szły na plażę, Riley wygrażała palcem każdej terenówce, która ich mijała.

- To nie autostrada! - krzyczała za nimi. Samochody były jednym z największych problemów wyspy poza sezonem.

Przy Fair Harbour Alice usłyszała, że Riley ma płytki oddech i rzezi jej w płucach. Ogarnął ją niepokój.

- Jestem głodna - oznajmiła. - Umieram z głodu. Musimy wracać.

W domu otworzyła lodówkę i rozpoczęła coroczne rozmrażanie. Gdy wyjęła sok pomarańczowy, stwierdziła, że w którymś momencie musiało zabraknąć prądu. Był płynny, z grudkami lodu w środku.

- Wiesz, co? - Riley weszła do kuchni, gdzie Alice przyrządzała sos do spaghetti. - W domu Paula świeci się światło.

- Naprawdę? Nowa rodzina już się wprowadziła?

- Nie sądzę, żeby to byli oni. Paul jeszcze nie zamknął domu. Wciąż to odkłada. Mówił mi, że musi dokończyć sprzątanie.

- Myślisz, że to może być Paul? - Alice ze zdenerwowania ścisnął się żołądek. „Wszystko zepsuliśmy”, chciała powiedzieć siostrze. „Przez cały czas miałaś rację”.

- Albo zostawił światło, kiedy był tu ostatnio.

- Pewnie tak - zgodziła się Alice.

- Dowiemy się za minutę - stwierdziła Riley.

- Dowiemy się?

- Tak. Przecież gotujesz.

Rzeczywiście, kiedy siadały do stołu, na którym stała zapalona świeca i duża miska spaghetti, rozległo się pukanie i drzwi kuchenne stanęły otworem. Był to widok znajomy i jednocześnie dziwny.

- Nie wiedziałem, że tu będziecie - powiedział Paul. Jest całkiem spokojny, pomyślała Alice.

Wyglądał inaczej niż przy ostatnich dwóch okazjach, kiedy się widzieli.

Riley położyła na stole jeszcze jedno nakrycie, zanim Paul zdążył usiąść.

- Na pewno wystarczy dla was? - zapytał.

- Nie certil się, Paul. Wprawiasz nas w zakłopotanie.

Roześmiał się. Zachowywał się uprzejmie. Uprzejmie, trochę nieśmiało, czujnie i dorosłe, stwierdziła Alice.

Poczuła, że się zamyka. Już nie potrafiła myśleć o wielu rzeczach naraz. Przez ostatnie miesiące tylko się martwiła, bała, zastanawiała, żałowała. Przyzwyczyła się do niewielkiej liczby bodźców. Teraz nastąpiło spięcie w sieci neuronów i jej mózg odmówił posłuszeństwa.

Nie mogła otworzyć ust, bo gdyby to zrobiła, wszystko by wygadała. Zdradziłaby, że Riley jest chora. Zdradziłaby, że kochała się z Paulem, że ich stara przyjaźń legła w gruzach. Nie mogła na niego spojrzeć. Nie mogła spojrzeć na siostrę. Wpatrywała się w talerz. Nienawidziła sekretów. Swoich i cudzych.

Ale kiedy uniosła wzrok, zobaczyła, że Riley i Paul z czegoś się śmieją. Oboje pochłaniali makaron, podczas gdy ona nie tknęła swojego. Dlaczego tylko ona była nieszczęśliwa? To niesprawiedliwe. Nigdy nie potrafiła za nimi nadążyć. Gdy próbowała włączyć się do zabawy, oni już przechodzili do innej.

- Zagrajmy w pokera - zaproponowała po kolacji Riley.

Kiedy byli nastolatkami, grali w pokera w prawie każdą letnią noc. Inne dzieciaki brały ecstazy, upijały się i uprawiały seks, a oni sięgali po karty. Riley była prawdziwą mistrzynią, Alice kiepsko sobie radziła. Podejrzewała, że specjalnie źle ją nauczyli, żeby przegrywała w grze na pieniądze.

- Ja pozmywam naczynia - zaoferowała się.

- Musisz zagrać - oświadczył Paul.

Alice spojrzała na niego uważnie. Były to pierwsze słowa, które skierował do niej bezpośrednio tego wieczoru.

- Dlaczego? - Jej głos brzmiał dziwnie.

- Bo musisz.
- Chodzi ci o moje pieniądze - odparowała.
- Bo dwoję to za mało do gry.
- Może i tak.

Oczywiście skończyło się na tym, że im ustąpiła. Paul i Riley rozpalili w kominku, a ona pozmywała naczynia. Potem Paul wyłożył karty, Alice usiadła po turecku na kanapie. Przegrała dwa razy, Riley jak zwykle zgarnęła bank.

Alice wypłaciła pieniądze. Za oknami świstał wiatr, szumiał ocean, fale rozbijały się z hukiem o brzeg, a ona myślała o tym, jak dobrze i swobodnie czuje się w towarzystwie Paula i Riley. Była zaskoczona, że mimo wszystkich podskórnych spustoszeń tak niewiele zmieniło się na powierzchni.

Riley poszła do łóżka, a Alice odprowadziła Paula do drzwi, choć wcześniej nigdy nie zawracali sobie głowy takimi ceremoniami. Żegnając się, nie potrafili na siebie spojrzeć i zachowali dystans wobec siebie.

Paul chciał powiedzieć jej tysiąc rzeczy, ale w końcu nie zdobył się na żadną. Jakie słowa mogły wyrazić to, co czuł? Tęsknił za nią. Współczuł jej. Nareszcie ją rozumiał. Gniew zniknął, zastąpiony przez wstyd.

Przez lata bezlitośnie podkopywał jej pewność siebie, tożsamość, wiarę. I wszystko to robił w imię miłości. Lekceważył jej ambicje, możliwości i plany. Pojął to już wcześniej. Teraz czuł się zdruzgotany. Jak mógł robić jej coś takiego?

Przywykł do tego, że zazdrości jej bezpieczeństwa, rodziny, tego, że jest kochana, podczas gdy jemu tych rzeczy brakowało. Alice miała wszystko, czego on nie miał, łącznie z jego miłością. Uważał, że tak nad nim góruje, że nic, co on powie albo zrobi, nigdy jej nie złamie. A teraz z czym została? On natomiast w przewrotny sposób dostał to, o co się starał. Często lepiej jest czegoś pragnąć, niż się doczekać spełnienia.

Pod koniec ostatniego lata nie umiał znaleźć powodu, dla którego zniknęła w taki dziwny sposób. Po prostu był dupkiem, zawsze skupionym na własnych kłopotach i niedostrzegającym cudzych. Nie podobała mu się ta diagnoza, ale dobrze, że nareszcie zrozumiał własne pobudki. Pomyślał o próbach wzbudzenia zazdrości w Alice i poczuł się jak idiota. Wyobrażał sobie, że jest okrutna, zimna i wiarołomna, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że jej ucieczka nie ma z nim nic wspólnego.

Brakowało mu wiary. To była ciężka porażka, większa niż wszystkie inne. Być może właśnie ona spowodowała kolejne. Lubował się w wątpliwościach, a nie miał za grosz ufności. W przeciwieństwie do Alice.

„Teraz cię rozumiem”, chciał jej powiedzieć. „Ja też ją kocham. Czuję to samo, co ty. Postąpiłbym tak samo”.

Oboje zdradzili Riley. Taka była prawda. Wtedy próbował ją ignorować, ale teraz jasno to wszystko widział. Chciał się wymknąć, uciec bez wyjaśnienia. Może byłoby to usprawiedliwione w normalnym świecie, gdzie obowiązują normalne zasady, ale ich trójka zgodziła się żyć według innych reguł. Musiał ich przestrzegać. Nie mógł po prostu zapomnieć. Żadna miłość tego nie usprawiedliwiała.

Ale co on i Alice mieli zrobić? Jaka była alternatywa? Pozostać w dotychczasowych stosunkach do końca życia? To wydawało się niemożliwe.

On mógł zostać w Kalifornii. To było jakieś wyjście. Mieszkałby tam na stałe i prowadził całkiem inne życie. Kiedy zeszłego lata wrócił na Fire Island, wmawiał sobie, że się zjawi, powie „cześć” i zniknie. Ale w głębi duszy wiedział, że przyjeżdżając na wyspę, wybrał Riley i Alice. Przeszłość i przyszłość. Kłopot polegał na tym, że te dwie kwestie nie współistniały ze sobą.

Och, Riley. Przypomniawszy sobie, jak zerkała znad kart, wygrywając raz za razem. Wbrew wszystkiemu nie straciła swojej prostolinijności i szczególnej niewinności. Nie możemy cię zabrać, nie możemy zostawić. Paul uświadomił sobie, że to była prawda, zanim się dowiedzieli, że coś jest nie w porządku z jej sercem.

Alice próbowała wyłączyć swój hałaśliwy, nieznośny mózg i trochę się przespać, kiedy w drzwiach stanęła Riley.

- Marznę - powiedziała.

Alice zauważyła, że siostra rzeczywiście jest sina.

Z Riley i Paula była dobrana para. Najpierw nią dyrygowali, zabierali jej różne rzeczy, a potem szukali ciepła w jej łóżku.

- Nie powinnyśmy były zostawać dzisiaj na noc - stwierdziła Alice zatroskanym, macierzyńskim tonem.

- Dobrze, że zostałyśmy.

- Jest za zimno.

- Nie tutaj.

- No, dobrze.

Alice pozwoliła Riley przyłożyć lodowate stopy do jej ciepłej łydki. Ujęła zimne dłonie siostry i schowała je sobie w zgięciu łokcia. Udawała, że jest zła, ale w rzeczywistości lubiła te chwile bliskości. Je również umieściła w albumie pamięci.

- Hej, Al.

- Tak?

- Powiedziałaś Paulowi.

- Co powiedziałaś? - Alice przysunęła się do ściany, żeby zrobić Riley więcej miejsca.

- O moim sercu.

- Naprawdę? - Obwody w mózgu Alice znowu zaiskrzyły i wysiadły.

- Tak.

- Dzisiaj?

- Nie. Prawie miesiąc temu.

Alice doszła do wniosku, że nigdy nie zaśnie. Była zbyt zagniewana, oszołomiona i zmęczona. Paul wiedział o Riley. Wiedział od miesiąca. Dlaczego siostra nie powiedziała jej tego od razu?

A czy to twoja sprawa? Dlaczego miałyby ci mówić?

Już nigdy nie zaśnie.

Kiedy następnego ranka otworzyła oczy, przez okno wpadało słońce i przygrzewało prawie jak w lecie. Alice wciągnęła dzinsy i spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Riley już wyszła.

Alice była lekko otępiąta i głodna. Miała ochotę na kanapkę z jajkiem, ale sklep otwierano dopiero w Memorial Day. Przygotowała więc sobie miskę starych płatków owsianych i zaczęła jeść, gapiąc się w przestrzeń. Zastanawiała się, jak długo wytrzyma bez skupiania wzroku.

Potem z książką i ręcznikiem poszła na plażę. Słońce aż kłuło w oczy i choć tęskniła za nim przez całe miesiące, teraz miała go prawie dosyć.

Fale były rozkołysane, woda chłodna i niebieska. Nie była to łagodna plaża, ale jej widok działał kojąco.

Alice dostrzegła daleko od brzegu ciemną głowę, a po chwili niedaleko od niej drugą. Pływacy podskakiwali jak foki, zatrzymywali się, żeby spojrzeć za siebie, a potem znów ruszali

w stronę latarni. Alice obserwowała ich przez dłuższy czas z uczuciem tęsknoty, ale również ulgi. Sama nie chciałaby zapuścić się aż tak daleko.

Nagle przyszło jej do głowy, że odkąd wstała z łóżka, nie widziała Riley ani Paula. Pewnie są razem, pomyślała. Łowią ryby albo szukają łodzi, żeby wypłynąć w morze. Alice zaczęła się zastanawiać, na ile uczciwie Riley przedstawiła Paulowi swój stan.

Dobrze przynajmniej, że w ogóle coś wiedział. Ciekawe, czy zdoła teraz spojrzeć mu w oczy i z nim porozmawiać. Uda im się uratować przyjaźń? Czy on zrozumie? A może jest za późno?

Alice nadal obserwowała pływaków, z wolna nabierając podejrzeń. Wkrótce ogarnął ją lęk. Wstała z ręcznika i ruszyła w stronę brzegu. Przyśpieszyła kroku, po chwili niemal biegła. Latarnia znajdowała się pół mili dalej, ale w przejrzystym powietrzu wydawało się, że wyrasta tuż przed nią. Serce jej dudniło.

Co ty wyprawiasz?

Nie widziała twarzy pływaków, ale pędząc przed siebie, w pewnym momencie stwierdziła, że wie, kim są.

Wolno wróciła na ręcznik i usiadła. Co mogła zrobić? To nie było jej serce. W każdym razie oficjalnie.

Paul pojawił się w drzwiach kuchni późnym popołudniem, obładowany torbami i pudłami. Powiedział Alice, że sprzątał. Było to ostateczne pożegnanie z wielkim domem.

Riley wróciła do domu po dwóch godzinach pływania, ożywiona, ale tak zmęczona, że ledwo się ruszała. Powłokła się na piętro i natychmiast zasnęła. Gdy Alice została sama z Pauliem, poczuła się skrępowana.

- Muszę złapać prom - oznajmił Paul po chwili niezręcznego milczenia.

- W porządku.

Zniknęła jego nonszalancja z wesela Megan Cooley. Z ciemnych oczu wyzierała niepewność. Wyglądał dojrzej, albo młodziej, Alice sama nie wiedziała.

- No to cześć.

- Cześć.

Postawił rzeczy na podłodze i ku zdumieniu Alice podszedł do niej, sztywny jak zombi, i objął ją. Uścisnęli się wyjątkowo niezdarnie.

- Przykro mi, Alice.

Alice pomyślała, że wszystko się zmieniło, ale ich ciała nadal do siebie pasują i doskonale potrafią się porozumieć. Wiedziała również, co miał na myśli.

20

Ja kochałam cię pierwsza

Tuż przed Memorial Day Paul otrzymał czek na trzy miliony dolarów, stanowiące zapłatę za rezydencję na plaży. Tego samego dnia dostał czek na dwieście siedemdziesiąt jeden dolarów za sprzedaną kolekcję płyt ojca. Robbie cenił to drugie o wiele więcej niż pierwsze.

Niemal bezwiednie schował oba чеki do portfela, a portfel do tylnej kieszeni spodni. Włożył buty i wyszedł z domu. Kiedy dotarł do Dwudziestej Siódmej, skręcił na wschód, w stronę rzeki, aż dotarł do szpitala Bellevue. Na dystansie ponad dwudziestu przecznic przestał być zły na pieniądze, które miał w kieszeni, i zaczął je lubić.

- Mogę porozmawiać z kimś z administracji? - zapytał.

Gdy wyjawiał swój zamiar cierplivej urzędniczce siedzącej za biurkiem, wysłała go na oddział leczenia uzależnień. Kiedy tam dotarł i innej pracownicy wręczył dwa чеki, zrobiła się nerwowa. Gdy zobaczyła sumę, na chwilę straciła zawodowe opanowanie.

- Nie żartuje pan sobie? - Była kobietą w średnim wieku o otwartej twarzy, mówiącą z hinduskim akcentem.

- Mój ojciec tutaj zmarł. Może pani przyjąć to ode mnie?

Urzędniczka zmierzyła go wzrokiem - od zdartych butów po źle przystrzyżone włosy. Próbowwała go rozszyfrować.

- Cóż, nie widzę powodu, żeby odmówić. Zostawi mi pan swój numer telefonu na wypadek, gdybyśmy mieli jakiś problem, dobrze?

- Oczywiście. - Paul z uśmiechem wziął od niej wizytówkę.

Kobieta przez chwilę studiowała чеki, mrużąc oczy.

- Jest pan pewien, że tego właśnie pan chce?

- Jestem pewien... - Paul sprawdził nazwisko na wizytówce - ...Jasmine.

„Dużo o tym myślałem”, zamierzał powiedzieć, ale nie chciał kłamać. Nogi same go tutaj przyniosły. Widać były bardziej godne zaufania niż reszta jego osoby.

- Bank nie odrzuci tych czeków? - upewniła się Jasmine.

Odczekała chwilę i uśmiechnęła się do niego, a Paul pośpiesznie odwzajemnił uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie.

Jego pieniądze nie zrobiły na niej zbytniego wrażenia. Pozostała wobec niego trochę podejrzliwa, i za to Paul polubił ją jeszcze bardziej.

- Chce pan porozmawiać z dyrektorem oddziału? - zapytała. - Myślę, że chętnie pana przyjmie.

- Nie, dzięki. Jestem szczęśliwy, że panią poznałem. - Zawsze był wyczulony na kobiety o macierzyńskim wyglądzie i zachowaniu.

- Jest pan dobrym człowiekiem, panie...

- Paul.

Jasmine wyciągnęła rękę i ucisnęła jego dłoń.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Paul.

- Zadbaj pani o to, żeby pieniądze zostały przeznaczone dla ludzi, którzy ich potrzebują? Pani sama będzie wiedziała najlepiej, którzy to są.

- Z pewnością to zrobię. - Uśmiechnęła się znowu. - Jeśli czeki mają pokrycie.

Po wyjściu ze szpitala Paul ruszył wzdłuż East River, rozkoszując się słońcem, które zalewało ulice pomarańczowym blaskiem. Nagle przyszła mu do głowy myśl, która sprawiła, że poczuł radość, jakiej nie zaznał od bardzo dawna.

Miał dużo pieniędzy, dziadkowie jeszcze więcej. Dowie się wszystkiego o przeszczepach serca. Sprawdzi, kto prowadzi badania w tej dziedzinie. Zajmie się tym dzisiaj wieczorem. Nie kupi Riley nowego serca, ale zrobi wszystko, żeby jej pomóc.

Szedł szybko, niemal podskakując, jak Riley. Może w końcu dotrze do celu.

Na początku czerwca Alice leżała na kanapie naprzeciwko Riley w ich mieszkaniu przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej Ósmej. Zauważyła, że siostra nie wychodziła przez cały dzień. Czytała książkę, trochę spała, niewiele zjadła. Alice wymieniła w kuchni zmartwione spojrzenia z matką, ale żadna się nie odezwała.

- Miałam dzisiaj pewien pomysł - powiedziała Alice. Riley położyła książkę na piersi.

- Jaki?

- Chyba już wiem, co chciałabym robić. Siostra usadowiła się wygodniej.

- Mów.

Alice przekonała Riley, żeby dała sobie pomalować paznokcie na perłowo, i teraz widziała je przez dziurę w skarpetce.

- Przechodzę czasami koło budynku uniwerku w śródmieściu. Znasz Szkołę dla Pracowników Socjalnych na Washington Square? Kilka tygodni temu weszłam tam i się rozejrzałam. Dziś rano mijałam ją znowu i postanowiłam złożyć podanie. Zaczęłam je wypełniać po południu.

- Naprawdę?

- Tak. W następnym tygodniu spotykam się z kimś z biura rekrutacji. Uznałam, że powinnam przynajmniej spróbować. Mogłabym pracować z dziećmi i nastolatkami. Zajmować się doradztwem. Jak zauważyłaś, jestem dobra w martwieniu się o innych.

Riley popatrzyła na nią w zamyśleniu.

- Jesteś dobra w troszczeniu się o ludzi, Al. Zawsze byłaś.

- Często myślę, że próbuję wmuszać im rzeczy, których wcale nie chcą.

- Chcą, Al. Wszyscy chcemy. Ale jesteś tak wspaniałomyślna, że pozwalasz nam zachowywać się tak, jakbyśmy nie chcieli.

Uwaga Riley zaskoczyła Alice. Jej nigdy nie przyszło to do głowy. Właśnie tego oczekują dzieci od swoich matek, pomyślała.

- Wprawdzie pieniądze będą dużo mniejsze, niż gdybym została prawnikiem, ale sądzę, że bardziej mi się to spodoba.

Riley pokiwała głową i ścisnęła stopy Alice.

- Też tak myślę.

- Nawet jeśli się tam dostanę, raczej nie zacznę nauki przed styczniem, ale chyba warto spróbować.

- Wiem, że się dostaniesz.

- Ale mam jeden kłopot. Boję się, że będę musiała zrezygnować z pracy w Duane Reade.

Riley się roześmiała, ale Alice odniosła wrażenie, że wymagało to od niej wysiłku.

- Wszystko co dobre wymaga poświęcenia.

W drugą sobotę czerwca Riley miała ochotę pospacerować, więc choć wyglądała słabo, Alice nie miała sumienia się sprzeciwić. Poszły do parku. Ranek był nadzwyczajny, pogoda wręcz plażowa. Alice i rodzice myśleli, że Riley będzie chciała jechać na Fire Island, ale ona nie wspomniała o tym nawet słowem.

Na Strawberry Fields stały przez chwilę w kręgu z czarnych i białych płytek, które układały się w napis Imagine.

Potem Riley kupiła w budce lizaki, od których ich usta zrobiły się fioletowe.

- Alice, jak to się stało, że nie masz chłopaka? - zapytała Riley, kiedy szły w dół zbocza.

- Co?

Zatrzymały się na tarasie z widokiem na Bethesda Fountain i jezioro.

- Jesteś piękna. Gdybyś chciała, mogłabyś mieć każdego. Alice próbowała ukryć zaskoczenie. Pokazała w uśmiechu fioletowe zęby.

- Riley, o czym ty mówisz? A dlaczego ty nie masz chłopaka? - Siliła się na lekki ton, ale Riley spojrzała na nią z powagą, która wcale się jej nie spodobała.

- Chyba nie mam do tego serca - odparła.

Riley zwykle nie zawodziła, jeśli chodziło o poczucie humoru, ale dzisiaj jej nastrój był inny. Ta odpowiedź nappełniła Alice smutkiem.

- Może ja też nie mam.

- Myślę, że masz - stwierdziła Riley, opierając się o poręcz.

- Ty też.

- To z powodu Paula?

Alice z trudem zapanowała nad paniką. Minęło trochę czasu, zanim zdołała wykrztusić:

- Co masz na myśli?

- Widziałam was zeszłego lata.

Przez chwilę Alice zastanawiała się, czy nie udać niewinnej albo przynajmniej głupiej, ale uznała, że lepiej nie. Próbowała odgadnąć, co widziała Riley, ocenić rozmiar szkód, zanim wszystko wyzna, ale nie chciała uciekać się do takich sztuczek, skoro rozmowa była wyjątkowo szczerą. Półprawdami i kłamstewkami mogli posługiwać się ludzie stojący po przeciwnych stronach barykady.

- Przykro mi - powiedziała w końcu.

- Dlaczego? - zapytała Riley.

- Przykro mi, że to się stało. Żałuję, że ci nie powiedziałam, tylko sama dowiedziałaś się w inny sposób.

Riley wrzuciła patyk od lizaka do śmietnika.

- Nie musisz mówić mi wszystkiego.

- Ale o tamtym powinnam ci powiedzieć.

Brązowy kundelek zatrzymał się przy nich i powąchał jej kostkę. Alice z roztargnieniem podrapała go za uszami. Riley też to zrobiła.

- Myślałaś, że będę cierpieć - stwierdziła.

Alice odwróciła się i spojrzała jej w oczy. Dostrzegła w nich tyle dobrych chęci, że próby zachowania powściągliwości byłyby beznadziejne.

- A cierpiałaś? - spytała.

Riley położyła łokcie na balustradzie i oparła brodę na dłoniach. Nie miała gotowej odpowiedzi. Ufała Alice na tyle, żeby wszystko przemyśleć w jej obecności. Ufała nawet po tym, co siostra zrobiła.

- Może tak, ale przede wszystkim byłam przestraszona. Alice pokiwała głową. Nie pamiętała, żeby Riley kiedykolwiek przyznała się do strachu.

- Czego się bałaś?

Riley przygryzła policzek.

- Bałam się, że stracę was oboje. Że dalej pójdziecie razem beze mnie.

Alice znowu pokiwała głową. Dotknęła ciemnych włosów siostry, sięgających do ramion.

- Ja też się tego bałam. I za to przepraszam.

Szczerłość to trudna rzecz. Do takiego wniosku doszła Alice, kiedy wieczorem siedziała na łóżku z drutami i wełną. Zaczęła robić nowy szalik dla Riley, ale nie mogła jej tego powiedzieć, bo siostra pomyślałaby, że Alice się nad nią trzęsie, i na pewno by się rozzłościła. Gdy człowiek raz pozwoli sobie na szczerłość, nie może potem ograniczyć jej tylko do jednej sfery życia. Ona jest jak bluszcz albo wymagający gość, któremu trudno narzucić reguły. Trzeba ostro walczyć, żeby nie przejął władzy.

Szczerłość wymagała, żeby Alice kochała Riley w sposób, który wydawał się niebezpieczny, zważywszy na jej stan.

- Czasami próbuję być na nią wściekła - wyznała matka kilka tygodni wcześniej. - Chodzi mi o zachowania, które doprowadzają mnie do szału. Ale wiem, że ona robi wszystko po to, żeby mi było łatwiej.

Od tamtej pory Alice dużo o tym rozmyślała. Kusilo ją, żeby wznieść mur między sobą a Riley. Wyszukiwała różne powody, żeby jej nie kochać, bo wiedziała, że później tym większy będzie żal.

Szczerłość zadomowiła się w jeszcze jednym miejscu, i zaczęła stawiać żądania. Jeśli Alice miała być uczciwa wobec siebie, nie mogła udawać obojętności wobec Paula. Choć nie widziała się z nim ani nie rozmawiała od wizyty na Fire Island, wciąż o nim myślała. Tęskniła.

Można znaleźć sposób, żeby się zamknąć przed uczuciami, ale kiedy już dopuści się je do siebie, traci się nad nimi kontrolę. I wtedy zaczynają się prawdziwe kłopoty.

- To twoje? - zapytała Alice, pokazując stary egzemplarz *Huckleberry Finna* w twardej oprawie.

Wróciła z pracy w szklarniach i zastała Riley na kanapie w salonie, przykrytą kocem, choć w mieszkaniu było ciepło.

- Paula. Przyszedł dzisiaj i przeczytał mi kilka rozdziałów.

Gdy Alice usadowiła się z robótką przy siostrze, ogarnęła ją tęsknota.

- Kocham tę książkę - powiedziała.

Siedziała tam, gdzie zapewne niedawno siedział Paul. Wydawało jej się, że czuje ciepło, które zostawił w tym miejscu. Zdjęła buty i skarpety i wyciągnęła się na kanapie w swój ulubiony sposób.

- Było miło - powiedziała Riley. - Rozmawialiśmy o jego ojcu. Miał ze sobą stare zdjęcia. Chciał mi je pokazać.

- Naprawdę?

- Tak.

- Zwykle nie rozmawia o ojcu.

- Nigdy wcześniej tego nie robił. Chciał, żebym opowiedziała mu wszystko, co pamiętam.

Alice potrafiła wyobrazić sobie ciepło, które zachowało się w miejscu, gdzie siedział Paul, ale taka prośba nie mieściła się jej w głowie.

- I zrobiłaś to?

- Z wielką chęcią - odparła Riley. Zaczęła skubać nitki koca. - Chciał również dowiedzieć się, co u ciebie.

- Tak? I co powiedziałaś? - Alice nie próbowała udawać, że jej to nie obchodzi.

- Że u ciebie wszystko w porządku, ale uważam, że powinnaś mieć chłopaka.

Mimo napięcia Alice się roześmiała.

- Nie zrobiłaś tego.

- Zrobiłam.

- I co on na to?

- Całkiem szczerze przyznał, że wolałby, żebyś nie miała chłopaka.

Alice uniosła brwi tak wysoko, że pewnie zniknęły we włosach.

- Tak powiedział?

Riley milczała przez chwilę. Otuliła się kocem.

- Paul zawsze cię kochał, Alice. On wie, że ja wiem. Wiem, że mnie też kocha. Ale z wami to co innego.

Alice, otworzywszy usta, patrzyła przez chwilę na siostrę.

- Kiedyś mnie kochał. Ale myślę, że to się skończyło.

- Nie, nawet się nie zaczęło. - Riley uściśniła bosą stopę Alice. - Powiedziałam mu, żeby był dla ciebie dobry. Powiedziałam, że podzielę się tobą, ale kazałam mu pamiętać, że jesteś moją siostrą. Ja pierwsza ciebie kochałam.

21

Rzeczy zabrane i oddane

Kiedy Alice wróciła do domu z późnej zmiany w Duane Rade i włożyła klucz do zamka, stwierdziła, że drzwi są otwarte. Upuściła klucze i zamknęła oczy. Nie musiała wchodzić do mieszkania, żeby wiedzieć, co się stało.

Dotarła do szpitala Columbia Presbyterian tuż przed północą. Miała nadzieję, łudziła się, ale wiedziała.

Rodzice czekali na nią na korytarzu. Jej nadzieje się rozwiały. Oboje ją przytulili.

- Było już za późno, kiedy ją tutaj przywieźli - powiedziała matka.

Alice pokiwała głową opartą na ramieniu ojca.

- To był chyba zakrzep - wyjaśniła Judy. - Wkrótce będą wiedzieć na pewno.

Jakie to miało znaczenie? Zakrzep, tętniak, udar, atak serca. Byli przygotowani na każdą z tych możliwości. Nieistotne, co naprawdę się stało.

- Nic nie mogli zrobić.

Alice czuła znajome zapachy: szampon przeciwłupieżowy ojca, różany aromat matczynej szminki i rzadka, szczególna woń będąca połączeniem woni ich dwojga. Na szyi ludzie pachną sobą, pomyślała. Potrafiłaby przypomnieć sobie zapach szyi Riley, gdyby się postarała.

Ludzie, którzy ich mijali, od razu wiedzieli, że ich trójka straciła kogoś bliskiego. Podobnie jak po wypadku na autostradzie, nie zawsze potrafili ukryć ciekawość. „Hej, kto umarł?” - pytały ich oczy.

„Moja siostra, ich córka. Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat”, chciała im powiedzieć Alice. Zastanawiała się, co jest z nią nie tak, że w chwili takiej tragedii myśli o innych ludziach.

- To stało się szybko - dodała matka.

Czyżby usiłowała sprowokować ją do pytań, jak to dokładnie przebiegało. Alice nie chciała ich zadawać ani słuchać odpowiedzi. Rozgniewały ją te próby. A potem zaczęła się zastanawiać, co jest z nią nie tak, że złości się na matkę w takiej chwili.

Smutek zmieniał człowieka, ale jednocześnie pozostawiał go samemu sobie.

- Widzieliście ją? - zapytała Alice.

- Byliśmy przy niej - odparł ojciec.

- Szkoda, że mnie nie było - powiedziała Alice i z jej gardła wyrwał się szloch.

- Byłaś.

Zalany łzami Ethan wyglądał jak dziecko, a Paul czuł się stary i dorosły. Stał w salonie mieszkania przy Dziewięćdziesiątej Ósmej i wiedział, że może przynieść pociechę. Choć, odkąd skończył dziesięć lat, nie pozwalał Ethanowi na więcej niż klepnięcie po plecach, teraz go objął. Rozumiał jego cierpienie. Sam też cierpiał, ale wiedział, że jego ból jest innego rodzaju. Nie próbował się nim dzielić.

- Wiedzieliśmy, że to może się stać - powiedział Ethan. - Próbowaliśmy się przygotować.

- Nie można się do tego przygotować - stwierdził Paul.

Rozejrzał się po pokoju. Był wewnętrznie odrętwiały i dużo bardziej zainteresowany tym, co się dzieje na zewnątrz. Uważał, że prawdziwym domem rodziny Alice jest Fire Island, bo on też należał do tamtego świata. Ale oni żyli tutaj. Zważywszy na to, jak bardzo był z nimi związany, odwiedzał ich w mieście bardzo rzadko. Uświadomił sobie, że tutaj dostrzega więcej niż na wyspie. Zauważył, na przykład, że mieszkanie jest małe i prawie pozbawione naturalnego światła. Zawsze myślał, że są zamożni, ale sądząc po stanie mebli, zaciekach na suficie, wypaczonych półkach na książki, najwyraźniej przeceniał ich status.

- Tyle rzeczy chciałbym zmienić - odezwał się Ethan po jakimś czasie.

O dziwo, Paul wcale nie był skrupowany, że widzi jego łzy. Szczerze mu współczuł.

- A ja wiele chciałbym zrobić inaczej.

Paul pokiwał głową. Domyślał się, do czego Ethan robi aluzję.

- Ze względu na Riley. Ze względu na ciebie.

- Uznaj, że ci przebaczyłem. - Paul uświadomił sobie, że odgrywa Boga, ale wyczuł, że Ethan tego potrzebuje. - Nic z tamtego czasu już nie ma znaczenia.

Ethan na razie nie był w stanie ucieszyć się z tych zapewnień, ale tęsknił do chwili, kiedy będzie mógł je przyjąć.

- Naprawdę nie ma - powtórzył Paul i sam uwierzył w swoje słowa.

Alice nie mogła zostać z rodzicami. Nie była w stanie przebywać w zamkniętym pomieszczeniu. Ledwo wytrzymywała we własnej skórze. Akurat w tej ostatniej kwestii nie miała wyboru, ale przynajmniej poszła do Central Parku.

Spacerowała po Ramble jak inni ludzie w każdy inny dzień.

„Wiecie, co się stało?” - pytała nieba, drzew, kałuż błota i każdego stworzenia, a nawet małych dzieci, które mijała po drodze. Tego dnia nie miały własnych zmartwień.

„Nic nie wiecie!” - chciała wykrzyknąć. Nie przypuszczała, że można być dumnym ze swojego żalu.

W południe nie mogła już znieść parku i obcych ludzi, więc wróciła do domu, gdzie też się dusiła. Żałowała, że nie może pójść spać. Było na to za wcześnie. Najchętniej przespałaby kilka następnych dni albo nawet całe lato. Ciekawe, czy czas tracił wtedy swoje właściwości uzdrawiające?

Padła na łóżko w ubraniu. Zwykle czynności, takie jak rozbieranie się, otwierały drogę dla bólu, a ona nie chciała, żeby zaskoczył ją nieprzygotowaną.

Akurat obok jej pokoju przechodził ojciec.

- Paul tutaj był - powiedział, kiedy ją zobaczył. - Miał nadzieję, że cię spotka.

Idąc Columbus Avenue, Paul stwierdził, że jeszcze nie jest w stanie pogрузić się w osobistym żalu, ale może płakać z powodu Alice. Zamiast samemu oddać się rozpacz, cierpiał za nią. Łatwiej mu było przeżywać jej smutek niż swój.

Wyobrażanie sobie jej twarzy i bólu miało niemal magiczną moc przekładania abstrakcyjnych pojęć na uczucia.

Riley była dzielnym obrońcą Alice, jej buforem. Czasami Paul się zastanawiał, czy to, że starsza siostra odbierała za nią ciosy, sprawiało, że młodsza wyrosła na taką łagodną osobę. Trudności może czynią człowieka silniejszym, ale raczej nie szczęśliwszym.

Pomyślał o rezydencji na wydmach, smaganej przez wiatr, deszcz i piasek, osłaniającej ich mały domek. Wszyscy uważali go za szczęściarza, że ma taki wielki dom nad samą wodą, z widokiem na wieczność. Może i tak było. Ale z drugiej strony, nic nie stało między nim a bezlitosnym niebem. Za tę scenerię czasami zbierało się ciężki.

Riley odeszła. Domu też już nie było. Paul odtrącił Alice i odmawiał tej niewielkiej pociechy, jaką mógłby jej dać. Kiedy ostatni raz ją widział, jej kolory wyblakły, ruchy stały się wolniejsze, głos zmatowiał.

Chciałby móc jakoś temu zaradzić. Zrobiłby wszystko, żeby oddać Alice to, co zabrał, nawet gdyby oznaczało to konieczność usunięcia się z jej życia. Może tak byłoby dla niej najlepiej. Wszystkie podejmowane przez niego próby, żeby ją kochać, tylko sprawiały jej ból.

Kiedy dotarł do swojego mieszkania, zobaczył na biurku stos artykułów na temat przeszczepów i sztucznego serca. Odłożył na bok wszystko, co wiązało się ze studiami, i skupił na tym projekcie. Już wykonał większość roboty papierkowej, żeby w imieniu Riley przekazać dar na rzecz szpitala Columbia Presbyterian.

Ale teraz, siedząc przy biurku, nie chciał już na nie patrzeć. Z brodą opartą na rękach gapił się w ścianę przed sobą i wspominał Riley. Po jakimś czasie zrozumiał, że ona na pewno nie chciałaby być już zawsze kojarzona z chorobami serca. Postanowił wymyślić coś, co bardziej by się jej spodobało, na przykład ochrona przyrody na Fire Island, nowa budka ratownicza dla długiego odcinka plaży za Cutter Walk, fundusze na ratowanie białych delfinów.

Oparł głowę na rękach i dopuścił do głosu Riley.

Freeport. Merrick, Bellmore, Wantach, Seaford, Amityville, Copiague, Londehursy, Babylon.

Nigdy nie zatrzymał się w żadnym z tych miejsc, tylko przez nie przejeżdżał, ale nazwy brzmiały w jego uszach jak osobliwa poezja, zwłaszcza odkąd wpadł na pomysł, żeby po raz ostatni zrobić sobie tam wycieczkę.

Wysiadł z pociągu podmiejskiego Long Island Railroad w Bay Shore. Po niecałej minucie czekania na taksówkę zniecierpliwił się i ruszył na piechotę. Słońce już dawno zaszło, była wtorkowa noc. Pobiegł na nabrzeże, ale spóźnił się na ostatni prom, więc wsiadł na łódź płynącą do Saltaire i dalej poszedł pieszo.

Niczym w dziwnym śnie maszerował ulicą Lighthouse, a potem Main Walk, główną arterią, którą znał tak dobrze, że już nie zwracał na nią uwagi. Dzisiaj zobaczył ją oczami Riley. I Alice.

Udał się prosto do rodzinnej rezydencji, nakazując sobie po drodze nie traktować jej dłużej jak swojej. Oto, co potrafią zdziałać pieniądze. Przelewając dużą sumę z konta jednej osoby na konto drugiej, traciło się prawo do miejsca, z którym wiązały się najważniejsze doświadczenia życia. Właściwie byłoby łatwiej, gdyby nowi właściciele zburzyli dom. W ten sposób jego

przeżycia i wspomnienia można by pogrzebać w ziemi, zamiast zastępować je innymi. Nasu-
nęło mu się skojarzenie z ciałem, z którego uszła dusza.

Pokonując ostatnią przecznicę, starał się przygotować jakieś wyjaśnienie swojej obecno-
ści. Ale okazało się, że go nie potrzebuje, bo kiedy zapukał, nikt mu nie otworzył. Przeszedł na
tył domu, ale uznał, że nikogo nie ma w środku, ponieważ nie paliły się żadne światła. Spróbo-
wał przekręcić gałkę, ale kuchenne drzwi były zamknięte na klucz. Sprawdzał wszystkie po ko-
lei, nawet przesuwane ogrodowe. To samo.

Kiedy on i matka w ogóle używali kluczy? Kto tutaj ryglował swoje rezydencje? Paul
pamiętał, jak poza sezonem, w wieku piętnastu i szesnastu lat, zachodził do pustych domów
przy Dune Walk i w każdym częstował się jedzeniem i pić. Ale tak było, zanim ceny wzros-
ły do trzech milionów dolarów.

I co teraz? Był wyjątkowo zdeterminowany. Nie zamierzał rezygnować. Nie mógł za-
bardzo się tutaj kręcić, ale również nie mógł się wycofać. Gdyby zdołał załatwić tę jedną spra-
wę, może resztę też udałoby się naprawić.

Pomaszerował do domu Weinsteinów, stojącego w najbliższym sąsiedztwie, i zapukał.
Zrobiło mu się trochę głupio na widok pana Weinsteina w szlafroku.

- Przepraszam, że niepokoję o tej porze. Jest Barbara?

- Zaczekaj.

Pani domu na szczęście nie przywitała go w piżamie.

- Muszę cię prosić o przysługę - powiedział Paul. - Możesz mi dać klucz od starego do-
mu? Chcę tam wejść na parę minut.

Barbara spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Paul! - Zerknęła za zegarek. - Jest jedenasta w nocy, a ty prosisz mnie o klucze do do-
mu, który już do ciebie nie należy.

- Przepraszam. Wiem, że to kłopot, ale nie zostanę tam długo, obiecuję.

- Paul, nie rozumiesz. Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

Uświadomił sobie, że wygląda nieszczególnie. Nie czesał się ani nie golił od wielu dni.
Koszulę miał brudną, a oczy, jak podejrzewał, dzikie.

- Rezydencja już do ciebie nie należy. Nie masz prawa do niej wejść, podobnie jak do in-
nych na wyspie. Do tamtych też nie dałabym ci kluczy.

Paul nie chciał wpaść w gniew. Nie chciał jej przypominać, że niedawno zgarnęła prowizję w wysokości ponad dwustu tysięcy dolarów.

- Mieszkaliśmy tutaj przez dwadzieścia trzy lata, jeszcze trzy tygodnie temu byłem jego właścicielem. Riley nie żyje. Nie rozumiesz?

- Przykro mi - powiedziała Barbara. - Pomogłabym ci, gdyby to było możliwe.

Nie zamierzał się poddać. Wrócił pod swój dom. Nie chciał patrzeć na plażę. Widok byłby zbyt przytłaczający. Zaatakowałyby go wspomnienia o wszystkim, co się tam wydarzyło, a on nie potrafiłby się od nich opędzić.

Czasami przerażający był sam ogrom otaczającego go wszechświata. Tajemnica oceanicznych głębi. Nieskończona natura czasu od początku istnienia aż po bezlitosną wieczność.

Mógł zrobić tylko jedno. Wspiął się po donicy do pierwszego piętra. Wiał silny wiatr. Paul bał się, że zdmuchnie go ze ściany domu i ciśnie w mrok. Czy Riley będzie w tej ciemności? Złapał za parapet okna, nogami ślizgając się po okapie daszku. Jeden gont oderwał się i spadł. Paulowi ręce drżały z wysiłku. W końcu znalazł oparcie dla stóp, umieścił czubek trampka w wąskiej dziurze po gonce. Podciągnął się na parapet, uklęknął na nim i próbował otworzyć okno. Oczywiście było zamknięte. Co jest z tymi ludźmi? Co takiego cennego chronią?

Chciał uniknąć wybijania szyby. Przesunął się po fasadzie w bok do następnej framugi. Słyszał, jak za jego plecami ocean rozbija się z hukiem o brzeg. Co gorsza, do jego uszu dotarły również głosy. Plażą szli jacyś ludzie, a on tkwił przyklejony do ściany domu jak pająk. Znieruchomiał. Palce drżały mu z wysiłku. Odgłosy rozmowy przybliżyły się, a po, wydawało się, jakiejś godzinie albo dwóch, oddaliły. Paul podziękował Bogu, że nikt go nie zauważył.

Dobrze, że adrenalina chroniła go przed bólem mięśni. Zamierzał dotrzeć do narożnika. Tam była rynna. Pamiętał ją jako solidną, ale teraz wyglądała na kruchą, zwłaszcza w porównaniu z ciężarem jego ciała. Paul zerknął w dół na taras. Wyobraził sobie, że leży na nim pogruhotany. Chwycił się rynny jedną ręką i zawisł na niej, a ona z jękiem i skrzypieniem odewała się od muru. Na szczęście udało mu się dosięgnąć framugi okna za rogiem, zanim spadł z nią na ziemię.

Riley by się to spodobało, przyszło mu do głowy. Poczł jej obecność, choć nie wierzył w takie rzeczy.

Na razie bezpieczny, ocenił stan wygiętej i przemieszczonej rynny. Zastanawiał się, czy powinien zwrócić nabywcom rezydencji część pieniędzy.

Od okna przeszedł na wąski balkon z boku domu. Prawdopodobnie stał na nim tylko dwa razy w życiu. Ludzie już nie wychodzą na balkony. Ciekawe, dlaczego? Pamiętał jednak, że kiedyś drzwi nie do końca się zamykały. Trzeba było użyć sporej siły, żeby obrócić gałkę. I rzeczywiście, teraz otworzyły się zapraszająco. Paul wszedł do domu, który już do niego nie należał.

Właśnie dokonałem włamania, pomyślał. Czy człowiek może zostać skazany za to, że zakradł się do domu, którego właścicielem był przez dwadzieścia trzy lata, i odzyskać z niego pewną rzecz?

Paul poszedł cicho do swojego pokoju. Słyszał znajome trzaski. Nie zapalił światła, ale w blasku księżycy zobaczył, że nie ma już jego biurka ani łóżka, w którym rzadko sypiał, a często kochał się z Alice. Poczul ból, fizyczny ból w dole brzucha. W sypialni stała kołyska, stolik do przewijania, huśtawka. Na podłodze leżał dywan w wałki.

Podszedł do szafy wnękowej i wysunął starą szufladę, pokrytą wieloma warstwami farby. Włożył rękę do środka i namacał to, co schował tam piętnaście lat temu.

Idąc w dół po schodach do kuchennych drzwi, uświadomił sobie, że wcale nie odzyskał swojej własności, tylko zabrał coś, co kiedyś ukradł. Dwa złe uczynki nie składają się na dobry, ale w głębi serca Paul czuł, że czasami tak może się stać.

Jadąc pociągiem do domu, ścisnął w dłoni różaniec Alice.

Myślał o Bogu, w którego do tej pory niezbyt wierzył. Ani w Ojca, ani w Syna. Ale czując w ręce ciepły różaniec, miał wyrzuty sumienia, że go trzyma, choć jest poganinem, i nie wie co z nim zrobić. Przypomniało mu się, jak

Kościół Świętego Sakramentu przy Zachodniej Siedemdziesiątej Trzeciej zapełniały osoby o smutnych twarzach. Do tej pory uczestniczyli w wielu mszach, które się tutaj odbywały, zawsze anonimowi, często spóźnieni, źle ubrani, ale dopiero teraz traktowano ich jak VIP-ów, tylko dlatego że spotkała ich tragedia.

Zupełnie jak msza pogrzebowa za dziecko, pomyślała Alice. Żałobnicy pochodzili ze wsi letniskowej, w której rodzina czuła się jak u siebie w domu, głównie znajomi Judy i Ethana, koledzy ze szkoły, w której uczył, przyjaciele z dzieciństwa na Fire Island. Zjawily się trzy osoby z NOLS, mężczyzna, z którym Riley pracowała w restauracji w Jackson Hole tej zimy, kiedy jeździła tam na nartach. Riley nie studiowała ani nie pracowała w żadnej instytucji. Trudno stworzyć własny krąg znajomych, gdy lubi się wolność i otwarte przestrzenie.

Kiedy już wszyscy usiedli w ławkach, przybyli ratownicy. Tak, pomyślała Alice, to była firma Riley. W jej oczach znowu wezbrały łzy. Koledzy siostry zjawili się grupą złożoną poszedł z Alice i Riley do kościoła i przez pomyłkę przyjął komunię.

Nie chciał wadzić się z Bogiem, choćby dlatego, że Alice w niego wierzyła. Zastanawiał się, czy Bóg by go wysłuchał, gdyby istniał, a Paul go przeprosił. Miał nadzieję, że tak, teraz kiedy zabrakło Riley. Przepraszam, pomyślał na wszelki wypadek. Wspomnił ojca i znowu poczuł się winny. „To nie była twoja wina”, powiedział Bogu, na wszelki wypadek. z co najmniej dwudziestu pięciu osób, łącznie z Chuckiem, Timem i dwoma weteranami. Wszyscy co do jednego byli wysocy i dostojni. Doceniali wielkość Riley.

Alice rozejrzała się za Paulem. Miała nadzieję, że przyjdzie i usiądzie z nimi, ale wiedziała, że to nie w jego stylu. Był najbliższym przyjacielem Riley, towarzyszem tysiąca przygód. Tylko do niego pisała listy. Wszyscy następni wydawali się w porównaniu z nim nieprawdziwi.

I jeszcze to pożegnanie akurat w kościele. Co za ironia losu! Siedzenie w półmroku w niedzielne poranki sprawiało Riley niemal ból, podczas gdy Alice w głębi serca to lubiła.

Paul zjawił się chyba ostatni. Podeszedł do nich, ale nie usiadł. Powiedział tylko, że ma coś dla niej, i włożył jej w dłoń jakiś łańcuszek. Alice nie miała pojęcia, co to jest, dopóki na to nie spojrzała. Wtedy zalały ją wspomnienia.

Zabrał go jej kiedyś i teraz oddał. Spojrzała na niego pytająco. Jego twarz była ściągnięta, oczy podpuchnięte.

- Przepraszam - wyszeptał bezgłośnie.

I oddalił się, żeby poszukać sobie miejsca w głębi kościoła.

Alice ścisnęła w rękach stary różaniec. Kiedyś uważała go za wyjątkowo piękny.

- To prawdziwe kamienie? - zapytała matkę dawno temu.

- Myślę, że to szkło - odparła matka.

Alice pamiętała noce, kiedy w kółko odmawiała „Zdrowaś Mario” i „Ojcze Nasz” i zastanawiała, czy już jest zbawiona.

Więc Paul go jej zabrał. Podejrzewała go wtedy, ale wątpliwości rozstrzygnęła na jego korzyść, jak to często robiła. Co za głupota. Przecież to za niego głównie się modliła.

Paul zadzwonił do matki, żeby poinformować ją o śmierci Riley. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wykręcił jej numer. Teraz czuł, że powinien to zrobić, ale nie był pewien dlaczego.

Kiedy przekazywał jej smutną nowinę, płakał cicho do słuchawki. Potem Lia zadała kilka pytań i wygłosiła parę stosownych uwag.

- Jaka szkoda! Co za tragedia dla rodziny! - Po krótkiej pauzie zaczęła wygłaszać tyradę o starym znajomym, który ukradł jej pieniądze.

Paul trzymał telefon z dala od ucha i zastanawiał się, po co do niej zadzwonił?

Może dlatego, że Lia знаła Riley w dawnych czasach, kiedy wszystko było inne. Może dlatego, że miał w pamięci inną matkę, z innymi włosami i innym sposobem bycia. Może łudził się, że w tak tragicznych okolicznościach odzyska ją choćby na krótko.

Kiedy odłożył słuchawkę, zrozumiał swój błąd.

Lia w pewnym sensie miała szczęście, że Robbie zmarł tak młodo. Uważała śmierć męża za największe nieszczęście w życiu, ale teraz Paul rozumiał, że dla niej to było dobre.

Oglądając stare zdjęcia, zauważył coś, czego już wcześniej się domyślał. Drogi jego rodziców rozeszły się na długo przed śmiercią Robbiego. Wiedział, jak wszystko by się skończyło, gdyby ojciec żył.

A tak Lia mogła sobie wmawiać, że było im ze sobą dobrze. Mogła się łudzić, że w głębi serca jest szlachetna i że jeszcze kiedyś będzie znowu szczęśliwa.

Paul, na swój sposób, żywił podobne złudzenia. Był bierny i pozbawiony wiary, dopóki uważał, że mógłby być kochany, gdyby ojciec żył. Czy naprawdę? Miał oddanie Ethana, ale je odrzucił. Widać idea miłości przemawiała do niego bardziej niż praktyka.

Idea urzeczywistniła się dopiero po śmierci ojca. Oboje z matką powinni mu podziękować, że Robbie męczennik zostawił im tę jedyną, świetlaną, nieskażoną rzecz. Może niewiele, ale więcej, niż mają niektórzy ludzie.

Człowiek to nie prochy

Alice i rodzice wybrali się na plażę w ostatni tydzień lipca, czego aż do tej pory unikali. Pomaszerowali w stronę latarni morskiej, rozebrali się do kostiumów i weszli do oceanu. Fale były wysokie i silne. Na twarzy matki Alice dostrzegła lęk; Judy rzadko pływała w morzu. Ona sama raptem poczuła się bardziej doświadczona i pewniejsza siebie, niż była w rzeczywistości. Zbliżyła się do matki i wzięła ją za rękę. Ojciec dzielnie kroczył przed siebie, trzymając z uroczystą miną urnę nad głową.

Trudno wyglądać poważnie, gdy w kostiumie kąpielowym uskakuje się przed falami. To właśnie było dobre w tym pomysśle, że człowiek mógł choć na chwilę zapomnieć o smutku.

Alice żałowała, że nie ma z nimi Paula. Jego miejsce było tutaj, przy nich. Niestety, wyjechał. Pozbył się domu na wyspie. Mógłby mieszkać u nich, ale gdzie by spał? W pokoju Riley? W łóżku Alice?

Jej ojciec upewnił się, że nie stoi pod wiatr. Dzisiaj wiało z północnego zachodu, oceniła Alice, więc ustawili się plecami do niego. Gdy Ethan otworzył urnę, prochy zaczęły się unosić w powietrze. Alice myślała, że ojciec coś powie, i zrobiła poważną minę. Trudno na zawołanie odczuwać właściwe emocje. Nie pojawiają się wcale, gdy człowiek na nie czeka, albo opadają go znienacka, kiedy spokojnie czyści sobie nitką zęby albo je płatki. Ale Ethan nic nie powiedział, tylko podał urnę żonie.

Alice musiała puścić rękę matki i zrobiła to z żalem. Na twarzy Judy malowało się takie cierpienie, że trudno było na nią patrzeć. Ale mimo bólu dzielnie wzięła na siebie smutny obowiązek. Wydała Riley na ten świat i teraz odsyłała ją do drugiego. W tym czasie starsza córka nie bardzo pozwalała jej na matkowanie.

Prochy wydawały się jednocześnie ciężkie i lekkie. Lśnią, opadały na wodę. Ocean przyjmował je obojętnie, ale taka była jego rola. Nie mieszał się do ludzkich spraw.

Popioły wirowały przez chwilę na powierzchni, a potem zatonęły, wchłonięte przez morze. Alice zastanawiała się, czy to naprawdę Riley. Nie. Człowiek to nie prochy.

Ręce Judy nawet nie drgnęły, twarz wyrażała determinację. Alice przez chwilę widziała Riley, ale nie w popiołach, tylko w ułożeniu dłoni matki.

Alice zgłosiła się na ochotnika, by się zająć sprawami związanymi z domem, czyli znalezieniem kupca, sprzedażą i uprzątnięciem wszystkich rzeczy. Bardzo jej to odpowiadało. Nie miała gdzie się podziać, o czym myśleć, kogo kochać.

Istnieją subtelne hierarchie, małe wzloty i upadki, scenariusze, według których toczy się życie, a potem nagle jedna tragedia wszystko zmienia i zostawia po sobie ogromną wyrwę. Choć łatanie jej wydawało się bezcelowe, cóż innego można było zrobić?

Drugiego ranka, Alice po obudzeniu się przygotowała sobie płatki i zjadła je samotnie na werandzie. Kiedy traci się bliską osobę, trzeba wymyślić nowe rytuały.

Z lękiem zerkąła na dawną rezydencję Paula. Bała się, że zobaczy obcych ludzi, wprowadzających nowe zwyczaje w miejsce starych i dobrze znanych. Niepokoiła ją sama myśl o nich, jakby posiadali moc odebrania jej części dotychczasowego życia. Teraz, kiedy Riley odeszła, tym bardziej zależało jej na zachowaniu wspomnień.

Zamierzała do wieczora robić same pożyteczne rzeczy, ale po południu wylądowała z kryminałem na plaży. Jej zadanie było poważne i pracochłonne, ale nie mogła poświęcić mu całego dnia. Do dziesiątej rano odwiedziła dwa biura nieruchomości i wystawiła dom na sprzedaż. Doniosłe wydarzenia zabierają nieproporcjonalnie mało czasu. Na przykład, śmierć. Albo zamiana przyjaciela w kochanka.

- Cześć, Alice.

Gabriel Cohen usiadł obok niej i w niecałą minutę jej ręcznik był cały skotłowany i zapiaszczony.

- Co u ciebie? - zapytała.

Chłopiec wyraźnie urósł. Miał dłuższe i smuklejsze kończyny. Kolana, łokcie i kostki zaznaczały się wyraźniej w resztkach dziecięcego tłuszczu. Ciemne włosy opadały jedwabistymi kosmykami na czoło. Czasami Alice żałowała, że dzieci rosną w takim tempie i zmieniają się fizycznie. Gdy tego nie widać, można się oszukiwać, że czas stoi w miejscu.

- Zrobiłem basen.

- Tak?

- Tam. - Chłopiec wskazał dziurę wygrzebaną w piasku na samym brzegu. - Helen mi pomogła.

- Kto to jest Helen?

- Taka mała. Przyniosłaś coś do jedzenia?

Alice się roześmiała. Chyba już zawsze będzie jego opiekunką.

- Nie. Ale mam coś w domu. Przynieść ci?

- Tak.

Gabriel ruszył za nią.

- Pójdiesz ze mną? - zapytała Alice.

- Tak.

- Gdzie twoja mama? Idź i jej powiedz.

Chłopiec pobiegł plażą do matki, która siedziała pod parasolem. Gdy pani Cohen poma-chała jej ręką, Alice zobaczyła na jej twarzy wyraz, który ostatnio często widywała. Sąsiadka słyszała o ich tragedii, jak wszyscy znajomi z wyspy. Chciała okazać należny szacunek, ale nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Alice z ulgą przeniosła wzrok na Gabriela, który jedynie chciał smakołyków.

Chłopiec wrócił po chwili z mniejszą od niego blondyneczką.

- Helen może też iść? - zapytał.

- Jasne - odparła Alice, uznawszy, że zgoda pani Cohen dotyczy obojga dzieci.

Helen miała krótkie, tłuste udka, które ocierały się o siebie, kiedy szła, równo obcięte włosy, żółty, jednoczęściowy kostium kąpielowy i małe usteczka amorka.

Dzieci były całe oklejone piaskiem, jak dwa pączki posypane cukrem pudrem. Alice przyszło do głowy, żeby je umyć przed zaprowadzeniem do kuchni, ale dała sobie spokój. Przypomniała sobie, jak żartowała jej matka, kiedy szykowały w kuchni ucztę, brudząc wszystkie garnki i patelnie. „Po prostu sprzedamy dom”.

- Krakery, jabłka czy ser? - zapytała Alice, przeglądając szafki i lodówkę.

Mili sąsiedzi przynieśli jej tace z ciastem, ale uznała, że lepiej dać dzieciom coś zdrowego. Helen spojrzała na Gabriela.

- Krakery - zdecydował chłopiec.

- Krakery - powtórzyła za nim Helen.

Alice zauważyła, że dziewczynka nie chce popełnić błędu. Była młodsza i musiała jakoś wkupić się w łaski nowego kolegi. Gabriel mógł ją łatwo przepędzić, albo nadal się z nią bawić.

- Jak twój brat? - zapytała Alice.

- Poszedł na corkball - odparł Gabriel, wypluwając przy okazji prawie całego przeżutego krakersa.

- No, no. Już jest taki duży?

- Ma siedem lat - oznajmił Gabriel, niemal z szacunkiem. Zerknął na Helen, żeby sprawdzić jej reakcję.

- A ty ile masz lat? - zwróciła się Alice do dziewczynki.

- Cztery.

- A ja pięć i trzy miesiące - pochwalił się Gabriel.

- Wiem, bo zeszłego lata skończyłeś cztery - powiedziała Alice, a chłopiec zrobił niezadowoloną minę, że mu o tym przypomniano.

- Ja mam cztery - powtórzyła Helen z wielką dumą. Wyszli na werandę, żeby tam dokończyć krakersy.

- Mieszkasz tutaj? - zapytała dziewczynka.

Alice usłyszała, że w ząbkach trzeszczy jej piasek. Zauważyła, że ręce malej są całe zapiaszczone. Powinna jednak była kazać im się umyć.

- Tak. A ty gdzie mieszkasz?

Helen odwróciła się i wskazała palcem na dom Paula.

- Tutaj.

Śniadania już nie były samotne. Gdy Helen zobaczyła, jak blisko jest do domu Alice i ile w nim smakołyków, nie tylko złożyła jej wizytę, ale przyprowadziła swoją siostrę, dwuletnią Bonnie. Powiedziała, że mogłaby również wziąć Henry'ego, ale on miał dopiero siedem miesięcy i jeszcze nie potrafił chodzić. Pół godziny później przyszła ich matka Emily i przedstawiła się sąsiadce. Była w szortach khaki i gorze od kostiumu kąpielowego; włosy wiązała w kucyk. Trzymała na biodrze synka i wyglądała na trochę zmęczoną.

- Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzają - powiedziała.

- Ani trochę - zapewniła ją Alice. We trójkę zjadły po misce Cheerios, siedząc na werandzie, choć Bonnie połowę swoich płatków wylała na stół. - Cieszę się, że mam towarzystwo.

- Mieszka tu pani sama?

Alice wcale nie zdeprimowała ani nie uraziła bezpośrednio Emily. Wszyscy, których знаła, na ogół unikali zadawania pytań.

- Tak. Na razie. Moi rodzice zwykle spędzają tu weekendy, ale nie jestem pewna, czy w tym roku przyjadą.

- Szkoda - powiedziała Emily. - Cóż, miło mi było panią poznać. Cieszę się, że będziemy sąsiadkami.

Alice popatrzyła na nią z zazdrością. Już nawet nie pamiętała, dlaczego, nie znając jej jeszcze, z góry była nastawiona do niej wrogo. Emily sprawiała wrażenie osoby, która ma cel w życiu.

- Chodźcie, dziewczynki - powiedziała.

- Zostaniemy z Alice - oświadczyła Helen.

- Skarbie, Alice ma swoje sprawy.

Nie, nie miała żadnych. Nagle stwierdziła, że nie chce, żeby Helen i Bonnie już poszły. Bonnie może do woli bałaganić po całym domu. A ona jej w tym pomoże.

- Mogą zostać - wstawiła się za nimi. - Naprawdę lubię, kiedy tu są. Odprowadzę je przed obiadem.

Emily posłała jej spojrzenie pełne wdzięczności i wróciła do siebie.

Po jej odejściu Alice rozkroiła arbuza i nauczyła dziewczynki wypluwać pestki poza werandę.

- Będziemy miały cały las arbuzów! - wykrzyknęła Helen.

Potem Alice odszukała swoje stare kredki i razem zaczęły malować podwodny świat. Wszystkie stworzenia, nawet te z kłami, uwiecznione przez nie na kartkach, wyglądały bardzo przyjaźnie. Alice narysowała delfina.

Następnie Alice znalazła swoje ulubione książki z obrazkami autorstwa Williama Steiga i Dr. Seussa i przeczytała je dziewczynkom. Jeszcze później obserwowały kolibry fruujące wokół pomarańczowych kwiatów milinu. Alice podniosła Bonnie, żeby miała lepiej wszystko widzieć. Cieszyła ją bliskość małego nabitego ciała.

- No dobrze, czas do domu - powiedziała w końcu. Kiedy Helen i Bonnie zaczęły protestować, wpadła na

pewien pomysł.

- Chodźcie ze mną, to coś wam pokażę.

Ścieżką wśród trzciny zaprowadziła dziewczynki do tylnych drzwi ich domu.

- To tajny skrót - wyszeptała. - Tędy mój najlepszy przyjaciel przychodził do mnie i do mojej siostry.

Następnego ranka, kiedy wyszła z miską płatków na werandę, żeby się nacieszyć porannym słońcem, spomiędzy trzciny wyłoniły się dwie jasne główki. Życie toczy się dalej, pomyślała Alice.

Przez miesiąc zabawiała swoje małe stadko. Przychodziły nie tylko Helen i Bonnie, ale również Gabriel i inne dzieci. Alice lubiła uczyć je różnych rzeczy: łapać kraby, szukać pcheł piaskowych, pływać na krótkiej desce surfingowej. Nie można pozwolić, żeby pewne tradycje zagięły. Pokazała im, jak zabijać rybiki i komary.

Nauczyła Helen, Gabriela i drugiego pięcioletka o imieniu Bo jeździć na dwóch kółkach, a Bonnie na trójkołowcu. Potem nauczyła ich, jak robić to bez trzymanki. Ci, którzy, sami czegoś nie potrafią, uczą innych, pomyślała.

Zaczęła znowu dostrzegać piękno wyspy. Niekoniecznie w pocztówkowych krajobrazach, tylko w zwyczajnych rzeczach, takich jak rzędy słupów telefonicznych biegnących wzdłuż Main Walk i sposób, w jaki słońce odbijało się od zwisających drutów. Zwróciła uwagę na to, że gałęzie drzew tworzą łuk nad alejkami biegnącymi w poprzek wyspy, tak że stojąc plecami do otwartego morza, widziało się zielony tunel, który prowadził do niebieskiej zatoki. Alice zauważyła, jak szybko wyrastają trzciny przez pęknięcia między deskami i jak szybko szarzeją nowe pomarańczowe deski, tak że pod koniec sezonu prawie nie różnią się od starych.

Pewnego dnia, gdy stała na plaży tuż przed burzą, woda odsunęła się tak daleko od brzegu, że ukazały się fundamenty i palenisko starego domu, który dawno temu został zmyty przez fale.

Czasami patrzyła na swoje małe stadko i miała ochotę je ostrzec. Bądźcie ostrożne, maluchy. Ta wyspa potrafi człowieka złapać i zniewolić, tak że przez resztę życia będzie tęsknił za jedną wyidealizowaną chwilą, która być może nigdy się nie zdarzyła.

Wieczorami robiła na drutach szalik. Zaczęła go z myślą o Riley i dlatego nie mogła go nie skończyć. W drugim tygodniu sierpnia przemyślała sprawę i postanowiła, że podaruje go Emily. Nawet gdyby nie zdobyła się na odwagę, żeby go wręczyć, musiała wiedzieć, dla kogo go robi.

Z tamtego świata do tego

Pierwszego września w altance oplecionej milinem pojawił się przybysz, który zajmował dużo więcej przestrzeni niż jej zwykli goście.

Alice zamarła w dziwnej pozycji. Dziewczynki z zaciekawieniem spojrzały na nieznanego.

- Kim pan jest? - zapytała Helen z lekką naganą w głosie, że jakiś obcy przerwał im rysowanie.

- Jestem Paul. A ty?

- Helen. Mieszkam tam. - Dziewczynka pokazała na swój dom.

Alice zobaczyła, że na twarzy Paula odmalowało się zrozumienie.

- Naprawdę?

- Tak.

- I jak ci się tutaj podoba? - zapytał Paul.

- Lubimy przychodzić do Alice - odparła Helen.

Była zaskoczona i zadowolona, kiedy Paul się roześmiał.

- Ja też - powiedział.

- To jest Bonnie.

- Cześć, Bonnie.

Mała nie oderwała się od malowania wody niebieską kredką.

- To moja siostra.

- O, szczęściara.

- Znamy tajny skrót - wypaliła Helen, a potem zerknęła na Alice, zaniepokojona, że za dużo powiedziała.

- Wszystko w porządku - uspokoiła ją Alice. - On też go zna.

Paul siedział przy drewnianym stole na werandzie i odprowadzał wzrokiem dwie główki znikające wśród trzciny. Bał się spojrzeć na Alice, która siedziała naprzeciwko niego ze stopami na krześle i rękoma oplatała kolana. Miała na sobie jego ulubione szorty i podkoszulek, który kiedyś mógł należeć do niego. Słońce nadało jej skórze brzoskwiniowe zabarwienie, charakterystyczne dla Alice, zostawiło ślady w postaci kilku piegów, na włosy rzuciło brązowe i rude

refleksy, przywróciło złoty blask zielonym oczom. Rozkwitła i aż oślepiła urodą. Ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, pomyślał Paul. Widział po jej zachowaniu, że nie ma o tym pojęcia. Widział po poskubanych paznokciach.

Znajome emocje otworzyły się przed nim jak korytarz zachęcający do wejścia. Mógł mieć jej za złe piękno. Mógł znowu czuć się przez nią zagrożony. Mógł się przestraszyć, że Alice zdobyła serca dwóch dziewczynek, które teraz mieszkały w jego domu. Nic dziwnego. Jak mieszkać tuż obok Alice i nie zakochać się w niej? A ona, tak przez wszystkich lubiana, naprawdę go potrzebowała? Po co jej jego miłość? Co miał jej do zaoferowania?

Raptem, jak kiedyś, zapragnął ją zdominować. Zażądać zwrotu rzeczy, których nie dał jej z własnej woli. Ale nie poddał się temu impulsowi. Uznał, że prędzej wstanie, pójdzie na prom i nigdy więcej jej nie zobaczy. Już raz wrócił.

Potem drugi. Nie zasłużył na kolejną szansę. Obiecał sobie, że nie zostanie, jeśli nie trafi jej pokochać lepiej.

Musiał jej zaufać. Ze swoimi darami mogła dostać od świata wszystko. Mogła żądać. Ale ona nie brała, tylko dawała. Musiał wierzyć, że nawet jeśli pozna swoją moc, dobrze ją wykorzysta.

Najtrudniej było mu uwierzyć, że ona go kocha. Wiedział, że to nie jest próba dla Alice, utalentowanej w kochaniu i przyjmowaniu miłości, ale raczej dla niego, kiepskiego i w jednym, i w drugim.

- Zostaniesz na noc? - zapytała.

- Nie wiem. - Nie chciał jej spłoszyć. - Mógłbym zatrzymać się u Cooleyów albo Loebów. Płynąłem promem z Frankiem. Są u nich wolne pokoje, odkąd dzieciaki wyjechały. Zauważyłaś, ile ma włosów w uszach?

Alice się roześmiała. Potem zapadła cisza.

- Chcesz pójść ze mną na spacer? - zapytał Paul. - Długi i męczący?

Uśmiechnęła się i skinęła głową, ale widział, że chce o coś zapytać,

- Dlaczego przyjechałeś?

Paul pomyślał o kilku różnych odpowiedziach. „Musiałem załatwić parę spraw w związku z domem”. „Tom Cooley namawia mnie, żebym wystartował w turnieju piłki nożnej”. „Nie miałem nic innego do roboty, a pogoda była dobra”.

- Żeby ciebie zobaczyć - powiedział.

Alice zerknęła z boku na Paula. Trzymał się trochę bardziej prosto. Nareszcie porządnie się ostrzygł. U fryzjera.

Wyglądał dojrzałe. Jak mężczyzna. I choć oczy miał ciemnobrązowe jak ojciec i podobny zarys szczęki, pomyślała, że niewiele przypomina Robbiego, którego знаła ze zdjęć.

Próbowała rozszyfrować jego nastrój. Był zły? Smutny? Wielkoduszny? Czuł żal z powodu straty? Oddałaby życie, żeby przeanalizować to, o czym dzisiaj mówili, i zorientować się, czy to ostatni epizod ich znajomości?

Było coś w jego oczach, kiedy na nią patrzył. Wątpliwości, chęć nawiązania kontaktu. To coś pojawiała się i znikało. Miał do niej jakieś pytanie, ale nie potrafił go zadać.

- Rok temu przyszedłem do ciebie i stwierdziłem, że cię nie ma - powiedział w końcu.

Alice pokiwała głową. Pamiętała tamten dzień z innego powodu.

- Najpierw czekałem u was, później poszedłem do Cohenów, żeby zobaczyć, czy jeszcze pracujesz. Szukałem cię w klubie jachtowym, na kortach, na polach, na plaży. Nigdzie nie mogłem znaleźć ciebie ani Riley. Przez wiele godzin siedziałem sam w waszej kuchni. I czekałem.

Alice wiedziała to i owo o czekaniu. Być może po raz pierwszy to on czekał, a nie ona.

- Tam cię zastałam, kiedy wróciłam - powiedziała. Paul pokiwał głową.

- Wiesz, gdzie byłam? - W głębi duszy nadal czuła się zobowiązana do zachowania tajemnicy.

- Tak sądzę. Teraz wiem.

- Riley nie chciała, żebyś poznał prawdę. Nie mogłam ci powiedzieć.

- Wiem.

Współczucie, które schowała głęboko, teraz znowu doszło do głosu. Współczucie dla Paula, że nie dostał żadnego wyjaśnienia. Współczucie dla nich obojga, bo się kochali.

Ale najsilniejsze było współczucie dla samej siebie za ciężki rok pokuty i żałoby. Myślała, że jeszcze może coś naprawić, ale nie potrafiła.

Minęli Lonelyville, z rozmieszczonymi chaotycznie bungalowami i chałupami. Ze wszystkich miasteczek na wyspie tylko to prawie się nie zmieniło.

Paul ujął jej dłoń. Z początku Alice czuła się nieswojo. Jego dotyk przywołał wspomnienia wielu innych, z których każdy znaczył coś innego.

- To nie przez nas zachorowała - powiedział. - Wiem, że tak mogło się wydawać, ale to nie nasza wina.

Alice bezwiednie uścisnęła jego rękę. Ledwo widziała przed sobą drogę. Przełknęła ślinę i spróbowała coś powiedzieć.

- Tak się czułam.

- Wiem, Alice.

Odwrócił się do niej i sięgnął po jej drugą dłoń. Pociągnął ją na piasek i objął. Przytulił ją, odgarnął włosy z twarzy i otarł łzy jak dziecku. Alice pozwalała mu na to, czerpiąc pociechę z bliskości jego silnego ciała. Paul suszył jej łzy, choć sam miał wilgotne oczy.

- Było tak, jakbyśmy ją zostawili. Zdradziliśmy ją. Paul pokiwał głową.

- Wiem.

- Zostaliśmy za to ukarani.

Paul znowu kiwnął głową. Alice poczuła na policzku jego zarost. Zapadła długa cisza, nie licząc fal i okrzyków pływających.

- Myślisz, że kto nas ukarał? - zapytał Paul, jakby nie znał odpowiedzi. - Riley?

Alice usiadła prosto.

- Nie. To nie ona.

Paul miał zamyśloną minę.

- Skąd wiesz?

- Bo nas kochała. Powiedziała mi kiedyś, że od początku o nas wiedziała, ale jednocześnie bała się, że nas straci.

- Więc kto chciał nas ukarać? Alice odgarnęła włosy za uszy.

- Nie wiem. Bóg. Los. Ja. Może sami się ukaraliśmy.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc na wodę. Alice oparła się ramieniem o Paula. Obok nich przebiegł pies bez smyczy, potem minął ich terenowy ambulans. Alice pomyślała o Riley, która złorzeczyła samochodom wjeżdżającym na plażę. Trudno jednak przeklinać karetkę. Paul wstał pierwszy i wyciągnął do niej rękę.

- Możesz już dorosnąć - powiedział.

Ruszyli dalej spacerowym krokiem przez Lonelyville, ale Alice nie otworzyła ust, dopóki nie dotarli do nabrzeża w Ocean Beach. Dopiero wtedy wpadła w rozmowny nastrój. Zdziwiło ją, że z tylu rzeczy, które miała mu do powiedzenia, wybrała akurat tę.

- Tamtego lata często myślałam, że na coś czekam, że boję się pójść naprzód, bo nie wiem, jak tam dotrzeć. - Paul milczał, więc kontynuowała: - Czasami widzę trudną górską przełęcz łączącą dwie doliny. Kiedy indziej jest to niebezpieczna cieśnina między dwoma lądami.

Chyba boję się samej podróży, ale również tego, że nie będę w stanie wrócić, że się obejrzę i zobaczę chmury wiszące nisko nad górami. Albo że woda się podniesie i odetnie mi drogę do domu.

Paul pokiwał głową. Wziął ją za rękę. Była mu za to wdzięczna.

- Ale nie ten strach najbardziej mnie dręczy.

Paul posłał jej dziwny uśmiech. Niewesoły, ale pełen uczucia.

- A jaki?

- Że nie będę chciała wracać do domu.

- Rodzice wystawili dom na sprzedaż - oznajmiła mu gdzieś na wschód od Seaview. Nie śpieszyło jej się z tą informacją.

Na twarzy Paula odmalowało się niedowierzenie.

- Wasz dom?

- Tak. Ja mam pokazywać go chętnym i wszystko później załatwić, ale idzie mi to dość wolno. W ciągu miesiąca przyszła tylko jedna klientka i nawet nie obejrzała piętra. Pytała, czy można zburzyć dom i na jego miejscu zbudować większy.

- Nie rozumiem, dlaczego go sprzedajecie - powiedział z wyraźnym niezadowoleniem Paul.

- Cóż. - Alice przekrzywiła głowę. - Ty też sprzedałeś swój.

- Twój to co innego. Jest naprawdę coś wart.

- Powiedz to pośrednikowi.

- Pośrednicy nigdy nie wiedzą, ile co jest naprawdę warte.

Alice sunęła palcami stóp po piasku, zostawiając za sobą powiązany łańcuch śladów.

- Twój starzy są zdecydowani? - zapytał Paul.

- Nie chcą przyjeżdżać tutaj bez Riley - wyjaśniła Alice. - Musisz to zrozumieć.

- Ale to miejsce było dla niej całym życiem. W ten sposób mogliby przebywać blisko niej.

Alice zastanawiała się nad tym przez całe dni i noce, które tutaj spędziła. Nieobecność Riley rzucała się w oczy, ale jej obecność wyczuwało się jeszcze bardziej.

- Też tak uważam. - Wzruszyła ramionami. - Ale jaki jest wybór? Otaczasz się swoim bólem albo go unikasz i pozwalasz, żeby cię dopadł, kiedy próbujesz robić inne rzeczy.

- To jedyna alternatywa?

- Potrafisz wymyślić inną?

- Nie można po prostu żyć dalej?

Alice myślała o tym, kiedy mijali Ocean Beach Park. Uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie spacerowała po żadnym z tych miejsc, tylko obok nich przechodziła.

- W każdym razie kobieta, która obejrzała dom, złożyła propozycję zburzenia go, a moi rodzice się nie zgodzili. Powiedzieli, że nie chcą do tego dopuścić, ale pośrednik stwierdził, że nic nie można na to poradzić i że każdy, kto kupi dom, prawdopodobnie go wyburzy.

Paul pokręcił głową.

- Co roku człowiek tu wraca i widzi, że ubyło kilka kolejnych.

- Niemal się cieszę, że Riley tego nie ogląda - powiedziała Alice.

Na plaży Point O'Woods Paul przypomniał sobie o historii, którą chciał jej opowiedzieć.

- Mój ojciec przyjaźnił się z facetem, który stracił nogę w wypadku motocyklowym. Pewnego razu, kiedy byłem bardzo mały, chyba miałem cztery lata, bo tata jeszcze żył, ten człowiek przyszedł do nas i kiedy rodzice byli w innym pokoju, pokazał mi kikut.

- Boże. Dlaczego to zrobił?

- Chyba nie był człowiekiem, który kieruje się w życiu rozsądkiem.

- Chyba nie.

- W każdym razie później przez całe lata o tym myślałem. Leżałem w łóżku i martwiłem się, że dostanę motocykl i będę miał wypadek.

- Nie wiedziałam.

- Nienawidziłem motorów. Powiedziałem matce, że nigdy nie chcę mieć motocykla. A ona na to: „Człowiek nigdy nie wie, czego naprawdę chce, dopóki nie dorośnie”. Potem przerażały mnie nie tyle motory, ile myśl, że mogę się stać zupełnie kimś innym, obcym dla siebie samego.

- To potrafię zrozumieć.

- Więc kiedy miałem jakieś dziewięć lat, napisałem do siebie list. Sprzątając w maju dom, znalazłem go oprócz wielu innych rzeczy.

Spodobał mu się wyraz rozbawienia na twarzy Alice.

- Co w nim było? - zapytała.

- Zaadresowałem go do swojego przyszłego ja. „Nieważne, jak bardzo może ci się wydawać, że chcesz mieć motocykl, proszę, nie kupuj go sobie”. A dużymi literami dopisałem: „PAMIĘTAJ O NODZE HENDERSONA”.

Alice zastanawiała się przez chwilę.

- Chciałeś kiedyś mieć motor?

- Nigdy.

- Jesienią wracam do szkoły - oznajmiła Alice na długiej piaszczystej drodze prowadzącej do Sunken Forest.

- Naprawdę?

Paul starał się zachować neutralną minę. Już zrobił sobie pogadankę na ten temat. Prawdziwa miłość oznaczała, między innymi to, że musi odłożyć na bok własne opinie i uprzedzenia i pozwolić jej zostać prawnikiem.

- Tak. Riley mnie namówiła. Roześmiał się.

- Tak?

- Przyłapała mnie na pracy w Duane Reade na Jedenastej. Powiedziała, że przecież to ja podobno jestem ta mądra. Naprawdę się wtedy zdenerwowała.

- Cóż, sama mówiłaś, że trzeba być bystrym, żeby iść na prawo. - Paul starał się, żeby jego głos brzmiał lekko.

- Nie idę na prawo.

- Nie?

- Nie. Złożyłam podanie do Szkoły dla Pracowników Socjalnych przy Uniwersytecie Nowojorskim. Byli tacy mili, że przyjęli je po terminie. Siódmego sierpnia dostałam list.

- Hej! Gratulacje! - Tak jak opinię o jej przydatności do kariery prawniczej zachował dla siebie, teraz uznał, że powinien ukryć niewczesną radość z powodu jej rezygnacji.

- Ufaliśmy sobie, kiedy byliśmy młodszy, prawda? - rzuciła Alice w zadumie gdzieś między Sunken Forest a Sailor s Haven.

- Riley tak. My też, w mniejszym stopniu.

- Ufaliśmy Riley.

- Tak.

- Nie wierzyliśmy jednak, że będziemy dorośli. Myśleliśmy, że jesteśmy na to za mądrzy. Paul potrząsnął w zamyśleniu głową.

- Dorośli, których mieliśmy wokół siebie, nie stanowili dla nas najlepszego przykładu. Byli raczej ostrzeżeniem, czego nie należy robić, dlatego nie potrafiliśmy dostrzec innych możliwości.

Alice spojrzała na jego twarz, szukając na niej rozgoryczenia albo zniechęcenia, ale nie dostrzegła żadnej z tych emocji.

- Wiem o Ethanie i Lii - wyjawiała.
- Tak. Riley mówiła, że ci powiedziała.
- Wcześniej nie miałam pojęcia.

Szła w milczeniu, czując słońce na karku, mokry piasek pod stopami, ból w mięśniach nóg. Przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Wiesz, co sędzę?
- Nie. - Paul ścisnął jej dłoń. - Może.
- Riley chyba próbowała nam powiedzieć, że musimy pójść tą drogą i że sobie poradzi-

my.

- Widzę księżyc - stwierdziła Alice, kiedy dotarli do Talisman, tuż przed Water Island. Uzgodnili wcześniej, że właśnie tam zawrócą. - Ale słońce jeszcze świeci, więc chyba to się nie liczy.

- Uważam, że powinniśmy iść dalej - rzekł Paul. - Myślę, że powinniśmy wędrować aż do rana.

Słońce powoli opadało nad zatoką. Wydawało się, że do nocy jest jeszcze daleko.

- Nie mamy wody do picia - stwierdziła Alice. Na karku i plecach czuła pot.

- To prawda, ale mam portfel. - To też był swego rodzaju znak. Tylko jednodniowi włóczędzy nosili przy sobie portfele. - Możemy kupić wodę w Cherry Grove.

Zrobili coś innego. Zamówili po dwa martini w The Ice Palace i obejrzeni show transwestytów ze specjalnym występem zwycięzcy konkursu na mistera Fire Island.

- W tym roku fetyszem były kły i ugryzienia - poinformował ich barman.

- Za każdym razem, kiedy mówisz, że jedziesz na Fire Island, ludzie myślą, że chcesz się zabawić właśnie w ten sposób - zauważył Paul, gdy wrócili na plażę.

- Niewiele wiedzą - skwitowała Alice.

Zostało im jeszcze siedem mil do domu, księżyc miał niebo tylko dla siebie, a oni oboje byli pijani.

- My jesteśmy heterykami. To prostackie - stwierdziła Alice, opadając obok niego na miękkiego piasek przy samej wodzie.

- To tolerancyjne miejsce - odparł Paul.

Położył jej głowę na swojej piersi i przytulił ją mocno do siebie. Zasnęli.

Gdy Paul otworzył oczy, słońce oświetlało powierzchnię morza, choć było jeszcze pod wodą. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest ani jak się tutaj znalazł. Potem zobaczył Alice.

Ona musiała wyczuć, że się poruszył, bo też otworzyła oczy. Uwielbiał ją obserwować w momencie, gdy się budziła, gdy przechodziła ze świata snu do rzeczywistości. Miał wrażenie, że za każdym razem poznaje ją trochę lepiej. Lubił czuć kroplę śliny na swoim obojczyku.

- Już jest jutro? - zapytała cicho Alice.

- Tak.

Paula bolały wszystkie kości, kiedy wstawali i przeciągali się, ale było to miłe uczucie. Potem ruszyli na zachód, w stronę domu. Paul sięgnął po rękę Alice. Nigdzie nie musieli być, nic pilnego zrobić, nikt na nich nie czekał. Przed nimi całymi milami ciągnął się piasek, ale pustka, która poprzedniego dnia kojarzyła się z samotnością, dzisiaj wydawała się zupełnie inna.

To była ta sama plaża, ten sam ocean, to samo słońce. Ta sama koszula i spodnie. Ta sama dziewczyna idąca obok niego. A jednak było jakoś inaczej.

24

Nie kupić motocykla

Okazało się, że jednak ktoś na nich czeka. A dokładnie mówiąc, dwie osoby.

- Nie jadłyśmy śniadania - oznajmiła Helen, kierując wnętrza dłoni ku niebu. Nie było jasne, czy to prośba, skarga, czy jedynie stwierdzenie faktu. - Bonnie też jest głodna.

- O, to dobrze, bo ja umieram z głodu - ucieszyła się Alice. - Co powiecie na Cheerios?

Helen pokazała na Paula.

- On jeszcze tu jest.

- Prawda? - rzuciła Alice, idąc do kuchni.

Przyniosła cztery miski i cztery łyżki w jednej ręce, a w drugiej pudełko płatków i karton mleka. Paulowi podobało się, że w tak naturalny sposób opiekuje się dziećmi. Zawsze taka była. Macierzyńska. Od samego początku.

Usiedli we czwórkę na werandzie. W pewnym momencie Paul podniósł wzrok znad miski i zawołał:

- O, Boże! Zobaczcie! Dziewczynki zerwały się z krzeseł.

- Alice! Spójrz na swoje kwiaty!

Alice patrzyła ze szczerym zachwytem na setki motyli, które jednocześnie, zdawało się, osiadły jej milin. Po chwili trzepoczące skrzydełka znieruchomiały i wszystkie owady zapadły w owadzią drzemkę.

Dziewczynki podskakiwały pod altanką, próbując coś zobaczyć.

- Cii, postarajcie się ich nie spłoszyć - wyszeptała Alice.

To był jeden z najwspanialszych widoków, jakie Paul kiedykolwiek widział. Pomarańczowe kwiaty pokryte chmurą pomarańczowych motyli.

- To monarchowie - powiedział szeptem. - Tutaj bardzo rzadko można je zobaczyć.

Widząc, jak dziewczynki wyciągają szyje, wziął Helen na jedną rękę, Bonnie na drugą. Był wzruszony ich podnieceniem i tym, jak bardzo starają się być cicho.

Gdy wszystkie motyle jednocześnie wzbiły się powietrze, usłyszał, jak Alice wzdycha z podziwem, patrząc na pomarańczowe skrzydełka na tle błękitnego nieba. Sięgnęła po jego dłoń i razem stali z twarzami zwróconymi w górę. Dziewczynki wkrótce pobiegły opowiedzieć matce, co widziały.

Alice i Paul długo leżeli na deskach werandy, zmęczeni słońcem i głęboko poruszeni. Kiedy Paul zamknął oczy, widział same skrzydła.

W końcu się podniósł.

- Miałem wcześniej bardzo dziwne uczucie. Właściwie nie dziwne, tylko naturalne. Dziwne tylko dla mnie.

- Jakie? - zapytała Alice, siadając obok niego.

- Trzymałem dziewczynki na rękach i zanim motyle odleciały, pomyślałem najpierw o tym, że ja też kiedyś byłem mały, a potem o tym, że mógłbym mieć takie córki. Myślisz, że tak szybko przeszłość może się zmienić w przyszłość?

Paul nocował na starej, dobrze mu znanej kanapie. Nienawidził jej, ale jeszcze bardziej nie podobało mu się to, że śpi na niej po raz ostatni.

Nie mógł zasnąć. Wyszedł na werandę i spojrzął na swój stary dom. Potem na księżyc. Przypomniawszy sobie motyle. Ciekawe, jak tam Alice? Wyobraził ją sobie pogrążoną we śnie i ruszył na palcach do jej sypialni. Drzwi były otwarte. Serce mu podskoczyło, kiedy wśliznął się cicho do środka.

Oczy miała zamknięte. Włosy zasłaniały jej twarz. Czy zrobiłby źle, gdyby ją obudził? Miał jej coś do powiedzenia i nie zamierzał znowu tchórzliwie zrobić tego, kiedy nie będzie

mogła usłyszeć. Delikatnie odgarnął kosmyki z jej twarzy. Alice otworzyła oczy i odwróciła się do niego.

- Hej, Alice.

Uśmiechnęła się.

- Tak?

Paul ukląkł na podłodze przy łóżku, tak że jego głowa znalazła się przy jej głowie. Chciał patrzeć jej w oczy.

- Mam ci coś do powiedzenia.

- Tak? - Alice zamrugła, żeby odpędzić sen, i spojrzała na niego wyczekująco.

Zachowywał się irytująco niezręcznie.

- Alice?

- Tak. - Była wyjątkowo cierpliwa.

- Kocham cię - wykrztusił w końcu. Jak dobrze było wreszcie powiedzieć to na głos.

Alice znowu się uśmiechnęła.

- Wiem.

- W porządku. Dobranoc.

Wrócił na dół i położył się na swojej kanapie. Może teraz uda mu się zasnąć.

Alice zakradła się na dół przed świtem. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła Paula na kanapie. W koszuli nocnej, z gołymi nogami, usiadła na krześle naprzeciwko niego i patrzyła, jak śpi. Skopał z siebie cienki koc, tak że pierś i ramiona miał nagie. Jedną rękę miał odwróconą tak, że widziała delikatny spód przedramienia i nadgarstka, błękitne żyły biegnące pod skórą. I dostrzegła coś jeszcze.

Wstała i podeszła bliżej, żeby się przyjrzeć. Nachyliła się i na wewnętrznej stronie przedramienia, tuż nad nadgarstkiem zobaczyła mały niebieski tatuaż. Wyglądał na nowy, jakby jeszcze się goił. Przedstawiał delfina.

Alice przycupnęła na poręczy werandy, w miejscu z którego mogła dojrzeć, jak za domem Helen i Bonnie z oceanu wynurza się słońce. Siedziała tam przez długi czas, ze splecionymi rękami, a drewno wbijało się jej w uda. Czekwała, aż słońce uwolni się z wody i na dobre usadowi na błękitniejącym niebie. Wtedy wróciła do środka.

Paul już się obudził. Siedział na kanapie, ze stopami na podłodze i głową opartą na rękach. Alice zauważyła, że włosy z jednej strony ma przylizane, z drugiej sterczące. Spojrzał na nią, kiedy weszła.

Gdy podeszła bliżej, wyciągnął do niej ręce. Alice opadła na jego kolana. Położyła mu głowę na jego ramieniu i objęła go mocno. Czuła radość, że Paul znowu ją przytula.

Oplotła go nogami, przywarła do niego mocniej. To również jej się spodobało. Zwłaszcza jego reakcja.

- Przepraszam, Alice - powiedział zdławionym głosem. - Nic nie mogę na to poradzić. Chyba będziesz musiała wstać.

- Nie chcę, żebyś coś z tym robił - odparła Alice. - Nie chcę wstawać.

Nie była pewna, czy Paul pamięta, ale to była ostatnia pozycja, w jakiej się kochali ponad rok temu.

Uniosła się i zsunęła mu bokserki. On ściągnął jej koszulę nocną przez głowę i przycisnął ją do siebie naga.

- Możemy... tutaj? - zapytał szeptem.

- Myślę, że powinniśmy jak najlepiej wykorzystać dom, zanim go zburzą - powiedziała cicho Alice, choć nie było potrzeby szeptać.

Roześmiała się z jego pośpiechu i oszołomionej miny, ale Paul nagle znieruchomiał.

- Nie mamy...

- Zaczekaj chwilę. - Alice wstała z jego kolan. - Może znajdę jakąś.

- Tak? - Na twarzy Paula odmalowały się sprzeczne uczucia.

- Tak. Z dawnych czasów. Zostawiłeś je u mnie.

- Aha.

Zaśmiała się znowu.

- Zaraz wracam.

Alice nie tylko znalazła prezerwatywy, ale zamknęła również drzwi wejściowe na wypadek, gdyby dziewczynki przyszły na śniadanie.

Paul niecierpliwie wyczekiwał jej powrotu. Chwycił ją w ramiona, gdy tylko weszła do pokoju.

Tym razem było inaczej niż ostatniego lata. Alice zastanawiała się, czy Paul również to czuje. Wtedy ukrywali się w alternatywnej rzeczywistości jak zbiegowie albo ostrożni secesjoniści. Wtedy przeprowadzili pucz, teraz żyli w zgodzie ze światem. Może byli teraz w mniej uprzywilejowanej sytuacji, ale przynajmniej mogli myśleć o przyszłości.

Paul wsiadł na prom razem z Alice. Myślał, że robi to po raz ostatni, ale nauczony doświadczeniem postanowił zostawić sprawę otwartą.

To był tradycyjny pożegnalny rejs, późnym popołudniem w święto pracy. Paul próbował wczuć się w nastrój nastolatków, którzy obejmowali się na nabrzeżu i płakali.

Ale tym razem miał przy sobie Alice. Choć trzymał ją za rękę, nadal nie mógł uwierzyć, że będzie tak przez całą drogę i później również. Nigdy wcześniej razem nie opuszczali wyspy. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jaka to radość nie musieć się z nią żegnać. Zabierał ze sobą to, co najbardziej kochał na tej wyspie. Niestety, tylko jedną z dwóch rzeczy, pomyślał z żalem. I wraz z tą myślą ogarnął go ból, ale taki, do którego człowiek się z czasem przyzwyczaja.

Weszli na górny pokład i znaleźli miejsca przy poręczy. Paul położył dłoń na udzie Alice. Był szczęśliwy, że może to zrobić. Spojrzał w błękitne niebo i rozejrzał się za bladym, dziennym księżycem, który widywał tylko tutaj, nigdzie indziej.

Podczas gdy wokół nich kręcili się ludzie, a Paul trzymał ją za rękę, Alice myślała o przejściu z jednej części życia do innej.

Czy to jest to? Będę wiedziała, że to jest to? Będę gotowa? Uda mi się? Czy stchórzę? Będę wiedziała, kiedy powiedzieć „żegnaj”? Gdy się obejrzę, zobaczę to, co zostawiłam za sobą?

Dotąd sądziła, że będzie wiedziała, kiedy to się stanie. Ale teraz już nie była pewna. Może to dzieje się na milion różnych sposobów, czy się o tym myślało, czy nie. Może nie ma przepaści, skoku, nagłej zmiany. Nie zapomina się wszystkiego tak od razu. Czasami trzeba się obejrzeć i zastanowić.

Gdy silniki ożyły i prom odbił od nabrzeża, Paul wstał. Alice też. Razem obserwowali, jak nastolatki z zapalem machają z pokładu do przyjaciół, a ci z kolei krzyczą coś do nich z mo-
lo.

Paul ujął w obie ręce dłoń Alice i przytulił ją do piersi. Potem patrzyli, jak grupa dzieciaków, które zostały na przystani, daje nurka do wody.

